UNIA: NOWE ROZDANIE
Jak nie oddać Europy populistom

URODZIĆ PO LUDZKU
Gdy zawodzi system lub człowiek

DOŚĆ POSŁUSZEŃSTWA
Uczcie dzieci być niegrzecznymi

PIĘKNY JĘK
Jacek Podsiadło słucha dzwonów

Kraków 26 maja 2019 nr 21 (3646)
cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

KS. JACEK PRUSAK

Idzie sąd nad Kościołem

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Wydanie specjalne na 30-lecie

nowej Polski!

Malarz hodujący kury, zakonnica adoptująca niepełnosprawnego chłopca, blogerka kulinarna, chłopak zjeżdżający na nartach z K2, były więzień i była prezydentowa oraz matematyczka-kwakierka.

Poznajcie dowody na wolność – rozmowy, reportaże, spotkania, czyli najlepsze opowieści o nowej Polsce.

weź, czytaj!

Wydanie specjalne „Smak wolności” **W SPRZEDAŻY**
w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą.
Więcej informacji **powszech.net/smakwolnosci**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI // RYSUNEK: PATRYK SROCZYŃSKI

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA

Kraków

GDAŃSK '89 2019 GDAŃSK

GDYNIA moje miasto '89 2019 GDYNIA

Sopot '89 2019 SOPOT

Mazowsze serce Polski

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

POZnań

ECS europejskie centrum solidarności

KS. ADAM

Boniecki: *Strach jest złym doradcą*

Obrońcy chrześcijaństwa biją na alarm: Unia Europejska i niektóre inne organizacje międzynarodowe są zagrożeniem dla chrześcijaństwa. W polskim przekładzie ukazała się właśnie książka pt. „Wojna z chrześcijaństwem. ONZ i Unia Europejska jako nowa ideologia" (wydana we Włoszech w 2005 r.). Autorki – prof. Lucetta Scaraffia (wykładowca historii współczesnej na rzymskim uniwersytecie Sapienza), Eugenia Roccella (dziennikarka) oraz Assuntina Morresi (z uniwersytetu w Perugii) – opierając się na ogólnie dostępnych dokumentach, zarzucają ONZ i Unii Europejskiej propagowanie materialistycznej i utylitarystycznej wizji człowieka, całkowicie sprzecznej z antropologią chrześcijańską, oraz narzucanie nowych „praw" i „wolności". Symptomatyczne było ich zdaniem usunięcie z projektu Konstytucji dla Europy wzmianki o chrześcijańskich korzeniach kontynentu. Lucetta Scaraffia w wywiadzie udzielonym „Niedzieli" powiedziała: „Znaczna część naszej książki poświęcona jest tej antykatolickiej polityce. Szczególnie dużo przykładów dotyczy Unii Europejskiej. Wystarczy przypomnieć zarzuty wysuwane pod adresem Kościoła za niedopuszczanie kobiet do sakramentu kapłaństwa, za potępianie aborcji i małżeństw osób tej samej płci, które w kręgach unijnych uznawane są za niezbywalne prawa. Jest to forma dyskredytowania działalności Kościoła. W ten sposób próbuje się wmówić ludziom, że Kościół nie respektuje praw człowieka, a co za tym idzie – jest instytucją przeszłości, instytucją nie na poziomie współczesności".

Przykładów niepokoju o przyszłość chrześcijaństwa i chrześcijańskiej kultury europejskiej można wymienić o wiele więcej. Czy należy je uznać za nieuzasadnioną histerię? Sądzę, że raczej nie. Chrześcijaństwo w Europie jest dziś wystawione na konfrontację z tymi, którzy, jak organizacja Secular Europe, walczą o „nowoczesną formę naszego kontynentu poprzez całkowitą laicyzację" i domagają się „wolnej od symboliki religijnej przestrzeni publicznej oraz zaprzestania praktyk oficjalnego uczestniczenia najważniejszych osób w państwie w mszach z okazji świąt narodowych, świąt państwowych i innych ważnych rocznic", a także wielu innych, sprzecznych z chrześcijańską wiarą, a czasem nie tyle wiarą, co tradycją, rzeczy.

Co wobec tych doświadczeń ma myśleć chrześcijanin? Po pierwsze nie powinniśmy demonizować tych zagrożeń. Unia Europejska nie anulowała przecież art. 18 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka: „Każdy człowiek ma prawo wolności myśli, sumienia i wyznania; prawo to obejmuje swobodę zmiany wyznania lub wiary oraz swobodę głoszenia swego wyznania lub wiary bądź indywidualnie, bądź wespół z innymi ludźmi, publicznie i prywatnie, poprzez nauczanie, praktykowanie, uprawianie kultu i przestrzeganie obyczajów". Po drugie, powinniśmy kierować się wezwaniem Jana Pawła II wypowiedzianym podczas Światowego Dnia Młodzieży 4 kwietnia 2004 r.: „Nie lękajcie się głosić Ewangelii krzyża w każdej sytuacji. Nie lękajcie się iść pod prąd!". Po trzecie Kościół, żeby był wiarygodny, musi odzyskać pokorę i słuchać – jak napisał papież Franciszek w adhortacji apostolskiej „Christus vivit". Nie można zakładać, że w żadnej krytyce Kościoła nie ma słusznych racji. I po czwarte, pamiętajmy, że „gdzie wzmógł się grzech, tam jeszcze obficiej rozlała się łaska" (Rz 5, 20) – bo Kościół to coś więcej niż jego kiepski personel. Kościół to sprawa Pana Boga. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Znowu na szczycie!

2,72% – o tyle wzrosła sprzedaż* „Tygodnika Powszechnego", który jest ponownie jedynym pismem opinii w Polsce z rosnącą sprzedażą!

Dane nie uwzględniają sprzedaży w aplikacji, wydania Kindle czy płatnych dostępów – a ich sprzedaż także rośnie.

Dziękujemy Czytelniczkom i Czytelnikom!

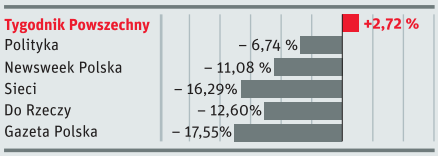

* DANE: ZKDP, WYNIKI marzec 2019 vs. 2018, ANALIZA: wirtualnemedia.pl

Spotkanie z ks. Adamem Bonieckim w Gdańsku

poniedziałek, 3 czerwca, godz. 16.30
STREFA SPOŁECZNA, plac przy ECS

Zapraszamy do Strefy Społecznej Święta Wolności i Solidarności w Gdańsku, w dniach 1–4 czerwca. Na naszym stoisku – wydania specjalne, animacje, warsztaty i Lekcja Czytania oraz spotkania z autorami i gośćmi „Tygodnika".

Pełny program na **2019gdansk.pl**

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

'89 2019 GDAŃSK STREFA SPOŁECZNA

38 Sąd idzie
Z KS. JACKIEM PRUSAKIEM SJ, PSYCHOTERAPEUTĄ, ROZMAWIAJĄ ANNA GOC I ARTUR SPORNIAK:
Mamy do czynienia z największym kryzysem w Kościele od czasów Reformacji – i stworzyliśmy go na własne życzenie.

24 I ty będziesz mieć emeryturę obywatelską
Z AGNIESZKĄ CHŁOŃ-DOMIŃCZAK, EKONOMISTKĄ, ROZMAWIA MAREK RABIJ:
Ilekroć w polskiej debacie publicznej pojawiają się emerytury, mowa albo o budżecie, albo o kosztach pracy. Jak gdyby w tej sprawie nie chodziło o ludzi.

50 Cmentarz bezimiennych
MONIKA PROŃCZUK Z TUNEZJI
Chamseddine jest wolontariuszem: organizuje pochówki imigrantów z Afryki Subsaharyjskiej, których ciała Morze Śródziemne wyrzuciło na tunezyjski brzeg.

34 To ta bez dziecka
MAŁGORZATA NOCUŃ
Kobiety w ciąży patologicznej wymagają szczególnej opieki. Zdarza się jednak, że prowadzący ciążę ginekolog lekceważy objawy, które opisane są w każdym podręczniku medycyny.

78 Terytorium Wajda
DARIUSZ KOSIŃSKI
Na wystawie w Muzeum Narodowym w Krakowie są pamiątki, dokumenty pracy, egzemplarze scenariuszy, ale to nie one tworzą rdzeń ekspozycji.

94 Za wiatru obrotem
JACEK PODSIADŁO
Dźwięk dzwonu wydaje mi się jednym z najpiękniejszych, jakie można usłyszeć na ziemi. I nie chodzi o przejmujący, potężny, święty hałas dzwonu, ale o dźwięk płynący z daleka, kojarzący się bardziej z muzyką niż hałasem, może nawet z dźwiękami natury.

GRAŻYNA MAKARA // CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA GAZETA // JOANNA RUSINEK // ANATOLY GORDIENKO / GETTY IMAGES // JOANNA HELANDER / ZE ZBIORÓW OŚRODKA KARTA / MNK // FATHI NASRI / AFP / EAST NEWS

6 Od zaostrzenia kar nie ubędzie pedofilów MARCIN MATCZAK

7-12 Wiadomości / Komentarze

13 Tygodnik Czytelników

22-23 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

24 I ty będziesz mieć emeryturę obywatelską ROZMOWA Z AGNIESZKĄ CHŁOŃ-DOMIŃCZAK

28 Nie wszyscy wierzący głosują na PiS
JAROSŁAW FLIS *przed wyborami do Parlamentu Europejskiego*

30 Nie bądź niegrzeczna
ANNA GOLUS: *Skończmy z wychowywaniem dzieci do posłuszeństwa*

REPORTAŻ

34 To ta bez dziecka
MAŁGORZATA NOCUŃ

WIARA

38 Sąd idzie ROZMOWA Z KS. JACKIEM PRUSAKIEM SJ

43 Z komuną walczył satyrą
STANISŁAW ZASADA: *Portret ojca Władysława Wołoszyna*

45 Ekumenizm w cieniu islamu
ANNA I KAROL WILCZYŃSCY
o marokańskiej szkole dla liderów afrykańskich wspólnot

ŚWIAT

50 Cmentarz bezimiennych
MONIKA PROŃCZUK

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

14 Unia: koniec wielkiej normalności
DARIUSZ ROSIAK
Populiści realizują program fundamentalnej zmiany Europy. A partie tradycyjne nie mają pomysłu na wersję alternatywną.

18 Granice integracji
ROZMOWA Z RADOSŁAWEM MARZĘCKIM, SOCJOLOGIEM:
Nie ma socjologicznych podstaw do polexitu. Ale istnieje, także wśród młodych, lęk przed utratą tożsamości.

MATERIAŁY PROMOCYJNE

46 Sztuka Rozmowy

72 Wielkie Pytania na nowo

92 59. Krakowski Festiwal Filmowy

FELIETONY

33 ANNA DZIEWIT-MELLER **47** SZYMON HOŁOWNIA **63** WOJCIECH BONOWICZ **90** JAN KLATA **91** PAWEŁ BRAVO **98** STANISŁAW MANCEWICZ **98** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: KS. JACEK PRUSAK SJ
Fotografia: GRAŻYNA MAKARA
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

54 Polka na Madagaskarze
ROZMOWA Z PATRYCJĄ MALIK

57 Ja się przemęczę
ULA IDZIKOWSKA: *Polacy w Holandii*

60 Ormiański węzeł
WOJCIECH JAGIELSKI

Z ODDECHEM

64 Czego nas uczy Havel
ALEKSANDER KACZOROWSKI

HISTORIA

68 Misja eksa BARTŁOMIEJ NOSZCZAK: *Tajna misja jezuity*

71 Yad Vashem i „grupa berneńska" WOJCIECH PIĘCIAK

NAUKA

74 Poszukiwanie języka w mózgu MARCIN MIŁKOWSKI

KULTURA

78 Terytorium Wajda
DARIUSZ KOSIŃSKI

82 Sztuka w ciekawych czasach
PIOTR KOSIEWSKI
o Biennale Sztuki w Wenecji

85 Cienka czarna linia ROZMOWA Z NINO HARATISCHWILI, GRUZIŃSKĄ PISARKĄ

88 Spirytus i pingwiny
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Syndrom zimowników"

90 Poezja żywa LEKTOR
o tomie wierszy Ewy Lipskiej „Miłość w trybie awaryjnym"

ZMYSŁY

94 Za wiatru obrotem
JACEK PODSIADŁO

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata

W zachodnioafrykańskim Burkina Faso mnożą się ataki na chrześcijan – **WOJCIECH JAGIELSKI** *opisuje, jak pustynny kraj, jeden z najbiedniejszych na świecie, przeradza się w państwo upadłe*
tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Zakazane piosenki

W Muzeum II Wojny Światowej przerwano występ zespołu śpiewającego miłosną piosenkę. Zaiste, ciemna jest noc – **MICHAŁ OKOŃSKI** *pisze o Armii Czerwonej, Tuwimie i tęsknocie za światopoglądową spójnością.*
powszech.net/zakazane-piosenki

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Konferencja ministra Zbigniewa Ziobry nt. domniemanych zaniedbań PO w walce z pedofilią, Warszawa, 17 maja 2019 r.

OD ZAOSTRZENIA KAR NIE UBĘDZIE PEDOFILÓW

Szybkie zmienianie prawa jest jak szybka jazda samochodem – budzi podziw głupich i pozbawionych wyobraźni, a przerażenie mądrych i doświadczonych.

MARCIN MATCZAK

Jeden z badaczy obliczył właśnie, że w ciągu ostatnich 150 tygodni mieliśmy w Polsce ponad 120 poważnych zmian prawa dotyczących wymiaru sprawiedliwości. W minionym tygodniu parlament uchwalił kolejną: nowelizację kodeksu karnego. Zrewidował nie tylko przepisy dotyczące karania pedofilów – w delikatną materię prawa karnego zaingerował znacznie poważniej.

Częste zmiany prawa szkodzą jego stabilności i przejrzystości. Zwłaszcza że ich wprowadzenie odbyło się tak, jak to się zwykle dzieje w czasie tej kadencji Sejmu: w ciągu kilkudziesięciu godzin i bez dyskusji. Wywołało to krytykę, bo zmienianie kodeksów, najważniejszych po konstytucji aktów prawnych, powinno się odbywać w wymagającej większego namysłu procedurze. Tempo prac znalazło jednak także

swoich admiratorów. Jedni się cieszą z zaostrzenia kar, inni twierdzą, że nic ono nie da. Kto ma rację?

Szybkie zmienianie prawa jest jak szybka jazda samochodem – budzi podziw głupich i pozbawionych wyobraźni, a przerażenie mądrych i doświadczonych. Karzemy piratów drogowych, bo wiemy, jak łatwo o błąd w pośpiechu. Jednocześnie zdarza nam się chwalić piratów legislacyjnych, choć zachowują się podobnie. Zmiana prawa musi odbywać się po zdiagnozowaniu, dlaczego nie działają dotychczasowe przepisy, i dokonaniu oceny skutków nowej regulacji. Gdy namysłu zabraknie, rozwagę zastępuje populistyczny odruch, a szybko uchwalone prawo zawiera błędy i jest nieskuteczne. W efekcie w krótkim czasie ponownie musi zostać zmienione. Takie działanie można nazwać legislacją gestów – nie o rozwiązanie społecznego problemu w niej chodzi, ale o sygnał w kierunku społeczeństwa: jestem twardy, zdecydowany i zawsze przede wszystkim działam (nawet jeśli przed działaniem zbyt długo nie myślę).

To nie wysokość kary, ale nieuchronność jej wymierzenia odstrasza potencjalnych przestępców. Pedofil działa z nadzieją, że jego zbrodnia nie wyjdzie na jaw, i robi wszystko, by tak się stało („Tylko nie mów nikomu"). To, czy za przestępstwo grozi mu 12, 18 czy 30 lat więzienia, nie jest kluczowym elementem kalkulacji przestępcy. A zwłaszcza księdza-przestępcy, dla którego sam fakt odkrycia jego czynu oznacza szczególne potępienie. Czy którykolwiek z dotychczas skazanych pedofilów pomyślał: „Gdyby groziło mi o pięć lat więzienia więcej, na pewno bym tego nie zrobił"?

To nie więzienie przeciwdziała pedofilii, ale kontrola i przejrzystość relacji potencjalnego sprawcy z potencjalną ofiarą. Pedofilię trzeba zwalczać przede wszystkim niedopuszczaniem do okazji, w której może zaistnieć. Potrzeba rozwiązań systemowych: dobrego systemu sygnalizacji, pozwalającego zgłosić fakt napaści, i jasnego określenia obowiązków tego, któremu napaść pedofilską zgłoszono. Potrzeba sankcji dla osób i instytucji, które przez brak procedur doprowadziły do długotrwałego niewykrycia pedofila lub tolerowania jego działań. Podobną konstrukcję mają przepisy o odpowiedzialności zbiorowej firm za korupcję ich pracowników – można z nich teraz skorzystać.

Kto zaostrza kary za przestępstwa zamiast im systemowo przeciwdziałać, w pewnym sensie zakłada, że przestępstwa będą dalej popełniane. Tak jak ktoś, kto zwiększa karę za zabicie pieszego na pasach, w pewnym sensie zgadza się z tym, że ludzie na pasach będą ginąć. Ten natomiast, kto działa systemowo, ulepszając oświetlenie i oznakowanie przejść, czy też budując przed nimi progi spowalniające, chce śmierci na pasach zapobiec i nie musieć za nią karać. Tyle tylko, że władzy łatwiej jest w populistycznym geście podnieść kary, niż problemem zająć się systemowo. ©

MARCIN MATCZAK *jest prawnikiem, profesorem UW i praktykującym radcą prawnym.*

PO FILMIE SEKIELSKICH

KTO OSĄDZI PEDOFILIĘ? Niezależna komisja państwowa działająca przy Rzeczniku Praw Dziecka z uprawnieniami prokuratorskimi i z dostępem do kościelnych akt – taki jest pomysł PO na społeczne poruszenie wywołane projekcją filmu braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu". Film o nadużyciach seksualnych wobec dzieci dokonywanych przez księży, zamieszczony w internecie 11 maja, w chwili zamykania tego numeru miał już ponad 20 mln odsłon.

ODPOWIEDŹ PIS. „Prawo i Sprawiedliwość jest gotowe poprzeć komisję, która będzie badać sprawę pedofilii, ale nie tylko w Kościele, ale we wszystkich środowiskach" – odpowiedział Jarosław Kaczyński. „Ani purpura, ani Nobel, ani światowa czy europejska sława nikogo nie uchroni przed odpowiedzialnością za tego rodzaju zbrodnie" – obiecywał prezes partii.

ZDANIE PRYMASA. „Nie mam wątpliwości, że trzeba przyjrzeć się odpowiedzialności hierarchów w poszczególnych przypadkach pokazanych w filmie, ale wymaga to gruntownego zbadania" – mówił abp Wojciech Polak w wywiadzie dla KAI. Dodał, że w każdej ze wspomnianych diecezji należałoby powołać kościelną komisję. Jego zdaniem papież, publikując ostatnio nowe normy, wyposażył Kościół w wystarczające narzędzia, by sam rozwiązał problem.

ŁUKASZ GDAK / / POLSKA PRESS / EAST NEWS

KŁOPOT Z POMNIKIEM. Tymczasem marianie zasłonili białą płachtą stojący przed bazyliką licheńską pomnik Jana Pawła II (na zdjęciu), który przedstawia także budowniczego i honorowego kustosza sanktuarium ks. Eugeniusza Makulskiego, oskarżonego w filmie o gwałty na nieletnim chłopcu.

Biskup Libera postępuje inaczej

ARTUR SPORNIAK

Był jedynym hierarchą, który przygotował się medialnie na kryzys wywołany filmem Sekielskich. A teraz bp Piotr Libera zaskoczył wszystkich decyzją zamknięcia się na pół roku w klasztorze. Od chwili objęcia diecezji płockiej w 2007 r. miał do czynienia z aż dziewięcioma pedofilami w sutannach. Tylko dwóch wydalono ze stanu kapłańskiego. „Są przypadki, że występowałem o usunięcie księdza ze stanu duchownego, bo skrzywdził dziecko, a watykańska Kongregacja Nauki Wiary zdecydowała się pozostawić go w stanie duchownym" – tłumaczył w rozmowie dla Wirtualnej Polski opublikowanej na pięć dni przed emisją filmu „Tylko nie mów nikomu".

W sobotę ogłosił, że od 1 lipca do końca roku przenosi się do klasztoru kamedułów pod Krakowem – papież pozwolił mu skorzystać z tzw. roku szabatowego. Do tego nieformalnego zwyczaju odwołują się księża, którzy chcą podładować duchowe akumulatory. Po raz pierwszy w Polsce czyni to biskup. „W kontekście tego, co się dzieje, siłą rzeczy mój pobyt nabiera w jakimś sensie charakteru pokutnego" – wyjaśniał. Ale w opublikowanej prośbie do Franciszka z 21 stycznia tłumaczył, że „dźwiga również poważny ciężar pewnych skomplikowanych spraw ekonomicznych »odziedziczonych« po poprzednikach" (mając zapewne na myśli aferę z defraudacją publicznych pieniędzy przez płocką Caritas i fałszowanie dokumentów przez jej byłego dyrektora).

Jednego na pewno mogą się inni biskupi od niego uczyć: transparentności. ©℗

LICZBA TYGODNIA

54

procent Polaków uważa, że Episkopat powinien podać się do dymisji. Badanie przeprowadził Instytut Badań Pollster po projekcji filmu „Tylko nie mów nikomu".

Pielgrzymki – tak, objawienia – nie

EDWARD AUGUSTYN

Watykan ogłosił, że instytucje kościelne mogą oficjalnie organizować pielgrzymki do Medziugorja. Mimo wcześniejszych zastrzeżeń miejscowego biskupa czy sceptycznych, choć żartobliwych wypowiedzi papieża („Maryja nie jest dyrektorem poczty, który codziennie wydaje przesyłki"), w ubiegłym tygodniu Franciszek oficjalnie przyznał, że słynne sanktuarium w Bośni i Hercegowinie może być godne polecenia jako miejsce kultu. Decyzję podjął po zapoznaniu się z raportem specjalnego wizytatora, abp. Henryka Hosera, który zwracał uwagę na „duchowe dobro, jakie się tam dokonuje".

Nie oznacza to jednak akceptacji samych objawień, trwających – jak twierdzą „widzący" – nieustannie od 1981 r. Kościół nie ma zwyczaju stwierdzania autentyczności zjawisk przed ich zakończeniem. Watykan przestrzega więc, by organizatorzy pielgrzymek unikali jakichkolwiek sugestii na temat prawdziwości zjawisk i „nie przyczyniali się do doktrynalnego zamętu". ©℗

Gigant miłości bliźniego

TOMASZ PIETRZYK DLA „TP"

ZMARŁ BRAT JERZY MARSZAŁKOWICZ, jedna z najważniejszych w powojennej Polsce osób zaangażowanych w pomoc bezdomnym, twórca Towarzystwa św. Brata Alberta prowadzącego liczne domy i miejsca pomocy. Urodził się w 1931 r. w Zgłobicach pod Tarnowem. Ukończył wrocławskie seminarium duchowne, ale z powodu słabego zdrowia nie przyjął święceń kapłańskich, był diakonem. Pracując na furcie w seminarium, opiekował się bezdomnymi, z którymi w końcu zamieszkał. W 1981 r. założył Towarzystwo św. Brata Alberta. W 1995 r. „za ofiarną służbę bezdomnym" otrzymał Medal św. Jerzego. W chwili śmierci miał 88 lat. ©℗ ASK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PRZYSZŁOŚĆ. Kwestie etyczne dotyczące możliwej „świadomości" robotów, relacji człowiek–robot i konsekwencji robotyzacji dla rynku pracy dyskutowano w Watykanie na konferencji „Robotics, AI, and Humanity" zorganizowanej przez Papieskie Akademie: Nauk i Nauk Społecznych. Do udziału zaproszono m.in. neurofizjologa Wolfa Singera, negującego istnienie wolnej woli.

ZAUFANIE. 15 maja w klasztorze michalitek w Miejscu Piastowym zmarła s. Gabriela Helena Sporniak, prawdopodobnie najstarsza zakonnica w Polsce – w czerwcu obchodziłaby 108. urodziny. Znana z optymizmu, w 2016 r. mówiła w rozmowie z „TP": „Trzeba tylko zaufać Opatrzności. I cieszyć się, bo wszystko może być piękne, tylko trzeba umieć ocenić, co jest ważne".

MATERIAŁY PRASOWE / 36CG

DIALOG. „Bóg uczynił nas współtwórcami stworzenia, a podstawowym dziełem ludzi jest kultura – powiedział kończący wizytę w Polsce generał jezuitów o. Arturo Sosa. – To Kościół, w którym bardziej odbija się Oblicze Boga, oblicze wielokulturowe. A zatem wielokulturowość Kościoła jest nowym sposobem ukazywania Bożego Oblicza w ciągu historii. (...) Największym wyzwaniem dla przyszłości Kościoła jest bycie przestrzenią dialogu kultur".

BRAK DIALOGU. Projekt ustawy o świeckim państwie trafił do kosza po pięciu minutach obrad sejmowej Komisji ds. Petycji. Przewidywał zaprzestanie finansowania lekcji religii z budżetu państwa, likwidację Funduszu Kościelnego i wspólnych komisji rządowo–kościelnych. Złożyła go Barbara Nowacka, dołączając 58 tys. podpisów. Trwa zbieranie 100 tys. podpisów pod analogicznym projektem obywatelskim.

Dwadzieścia tysięcy mszy za Izabelę

ZA JEJ PANOWANIA „każdy robił to, co powinien, bez najmniejszego szemrania" – pisał o Izabeli Katolickiej Baltazar Castiglione. Hiszpańscy biskupi, wskazując na jej „cnoty i zasługi", od 1958 r. zabiegają o beatyfikację królowej; proces jednak utknął w Watykanie. Idea jest żywa: w połowie maja w Kaplicy Królewskiej w Grenadzie odbyła się msza w intencji rychłej beatyfikacji Izabeli.

W 1469 r. Izabela i Ferdynand, następcy tronów Kastylii i Aragonii, wzięli ślub, jednocząc najsilniejsze kraje Półwyspu Iberyjskiego. Zdobyciem Grenady w 1492 r. zakończyli rekonkwistę, ostatecznie wypierając Arabów. Wsparli plany Krzysztofa Kolumba, a po jego powrocie Izabela zapewniła sobie w Rzymie gwarancję przyznania odkrytych ziem Hiszpanii.

W Królestwie mieszkało wielu Żydów, wcześniej osadzanych na ziemiach odebranych Arabom. Nad ludnością chrześcijańską przeważali gospodarczo. Małżonkowie, uznając, że judaizm jest „zniewagą wiary", wydali w marcu 1492 r. edykt o ich wygnaniu. „Podążali drogami i polami w wielkim trudzie i niedoli, (...) nie było chrześcijanina, który by im nie współczuł" – pisał świadek exodusu. Wielu Żydów przyjmowało chrzest, stając się *marranes* – przechrztami, których ściganie, jako wyznających skrycie judaizm, wzięła sobie za cel hiszpańska inkwizycja. Oskarżony nie wiedział nawet, co mu się zarzuca, w pierwszym etapie śledztwa musiał zgadywać, dlaczego został uwięziony. Inkwizycja represjonowała wszelkich wrogów państwa i Kościoła. Interesy tronu i ołtarza były tożsame; nieprzypadkowo do czasów Izabeli chętnie sięgała ideologia frankistowska.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA.ORG

Izabela widziała w sukcesach politycznych dowód Bożego błogosławieństwa. Niemniej w testamencie zarządziła, by odprawiono za nią 20 tys. mszy, bo „nikt nie może się przed Nim usprawiedliwić, tym bardziej my, którzy z wielkich królestw i wysokich stanów mamy zdać sprawę". ©℗ MACIEJ MÜLLER

Prawda w cenie bursztynu

ZA MNIEJ NIŻ MILION ZŁOTYCH będzie można sprzedać bursztyn wydobyty w rejonie przekopu Mierzei Wiślanej, sztandarowej inwestycji PiS na Pomorzu, która pochłonie ok. 1,2 mld zł. Jeszcze niedawno politycy partii zapewniali, że eksploatacja tych złóż może pokryć większą część kosztów przekopu, który połączy Zatokę Gdańską z Zalewem Wiślanym. Wiceminister kultury Jarosław Sellin na antenie Radia Gdańsk twierdził nawet, że bursztyn z wykopu wart będzie dokładnie tyle, na ile rząd pierwotnie wyceniał całą inwestycję – czyli 880 mln zł.

Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej w końcu zleciło ekspertyzę, która wykazała, że w miejscu przekopu spoczywa w ziemi ok. 1,4 tony bursztynu. Opłacalna będzie jednak eksploatacja tylko jednego, mniejszego złoża. Łącznie – maksymalnie pół tony, co przy średniej cenie tego surowca na poziomie od 0,7 do 3,3 tys. zł za kilogram (w zależności od wielkości bryłek) może nawet nie wystarczyć na pokrycie kosztów wydobycia.

Wartość złóż bursztynu w miejscu przekopu ma oczywiście drugorzędne znaczenie dla oceny celowości, a nawet opłacalności całej inwestycji. Sposób, w jaki politycy PiS-u podawali dotąd opinii publicznej tę elektryzującą bajkę, wiele mówi jednak o tym, kim dla rządzącej partii są wyborcy. ©℗ MR

LICZBA TYGODNIA

25

milionów złotych. Tyle wynosi roczny budżet Piasta Gliwice, sensacyjnego mistrza Polski w piłce nożnej. Dla porównania Legia Warszawa – finansowy potentat krajowej ekstraklasy – dysponuje kwotą ok. 170 mln, a najlepszy polski piłkarz, Robert Lewandowski, wyceniany jest na ok. 70 mln euro.

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Szefowa Misji Kamiliańskiej Adriana Porowska podczas spotkania z mieszkańcami Pensjonatu Socjalnego „Św. Łazarz" w Warszawie, wrzesień 2018 r.

ADRIANA POROWSKA

Umarli, bo bezdomni?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Opublikowała Pani na Facebooku apel.

ADRIANA POROWSKA, SZEFOWA MISJI KAMILIAŃSKIEJ: O nagłośnienie tragicznych historii wizyt w warszawskim Szpitalu Praskim. To dwie niezależne od siebie historie, choć obie z tej samej marcowej niedzieli.

Dysponuje Pani opisami postępowania lekarskiego w obu przypadkach.

W pierwszym czytamy: „Pacjent przywieziony (...) z powodu bólu stawu kolanowego. Bez urazu, alkoholik, brudny, śmierdzący, zaniedbany (...) Aktualnie skargi na bóle nóg i kłopoty z chodzeniem. Owrzodzenia. Zdezynfekowano, założono opatrunki". Wypuszczono go, trafił do noclegowni, potem do organizacji pomocowej. Tam wezwano karetkę. Okazało się, że miał dziurę w ciele, z której sączyła się ropa, i że był zdrowotnie zaniedbany. Trafił na OIOM. Wkrótce zmarł.

Przypadek drugi: „Pacjent bezdomny, (...) znaleziony w śmietniku, karetkę wezwało zaniepokojone społeczeństwo. Pacjent zgłasza skargi na problemy z chodzeniem. Nogi zdezynfekowano, założono opatrunki". Pana wypuszczono. Zmarł trzy dni później.

Według szpitala pacjentom zapewniono kompleksową opiekę (także pozamedyczną, jak toaleta czy wymiana ubrań), i nie było wskazań do dalszej hospitalizacji. Co zarzuca Pani służbom?

Że zlekceważono stan zdrowia panów, wykonując podstawowe czynności i pozbywając się ich. Ci ludzie nie umarli na owrzodzenia nóg. Nie wierzę, że zrobiono wszystko, co w ludzkiej mocy, by im pomóc. I jeszcze jedno: szpital inaczej potraktowałby tych panów, gdyby nie byli w kryzysie bezdomności, co zresztą widać w opisach. Nie rozumiem, po co informacja o ich zaniedbaniu, w dodatku ubrana w tak stygmatyzującą treść? Pytam: czy ludzie ci żyliby nadal, gdyby nie byli bezdomni? Przekazałam sprawę m.in. Urzędowi Miasta, Rzecznikowi Praw Pacjenta i Rzecznikowi Praw Obywatelskich, który zgłosił sprawę do prokuratury. Czekamy na ustalenia.

Te przypadki to jedno – ogólna praktyka drugie.

Wygląda ona zwykle tak. Najpierw wezwanie, przyjazd ratowników, którzy niejednokrotnie robią łaskę, pomagając „takiej osobie". Skandaliczne uwagi o alkoholu, o zapachu. Kilka dni temu wezwałam karetkę do pana z naszego domu dla bezdomnych mężczyzn – miał bóle w mostku. „K..., znowu tu" – powiedział pan doktor na sam początek.

Z kolei na SOR-ach osobom bezdomnym zwykle robi się podstawowe badania, a następnie ich się pozbywa. Dla służby zdrowia to zwykle obywatele drugiej kategorii.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KRAJ W SKRÓCIE

OCIEPLANIE. Na pogorszenie sondaży PiS odpowiada próbami tzw. ocieplenia wizerunku: po zdjęciach prezesa Kaczyńskiego wypuszczającego do wody złowionego szczupaka nadszedł czas jego występu w „Pytaniu na śniadanie" – opowieści o ulubionym jedzeniu i ukochanych kotach. „Rozmawialiśmy według pewnego schematu, który został opracowany dla tej rozmowy po

FORUMGWIAZD / FORUM

konsultacjach PR-owców prezesa i kierownictwa »Pytania na śniadanie«" – przyznał prowadzący program Michał Olszański, który za tę szczerość został ukarany przez TVP zakazem wypowiadania się o swojej pracy.

POZYWANIE. Premier Mateusz Morawiecki zapowiedział pozwanie „Gazety Wyborczej" za tekst, z którego wynika, że wraz z małżonką i wykorzystując do tego polityczno-kościelne znajomości kupił we Wrocławiu kilka działek za cenę wielokrotnie niższą od rzeczywistej wartości.

ZAGŁUSZANIE. Dyrektor Muzeum II Wojny Światowej przerwał występ zespołu Kapela Podwórkowa, wykonującego podczas Nocy Muzeów utwór „Ciemna jest noc" – piosenkę miłosną radzieckiego żołnierza, spopularyzowaną w Polsce przez Wierę Gran w przekładzie Tuwima. „W naszym Muzeum nie ma już miejsca na sowiecką propagandę" – oświadczył dyrektor Nawrocki, a jego rzecznik dodał, że muzycy „zgodzili się przecież na występ (bynajmniej nie charytatywnie) i jako tacy zobowiązani byli do podporządkowania się wytycznym zamawiającego usługę".

DEBATOWANIE. Podczas przedwyborczej debaty w Kielcach kandydat Konfederacji do PE próbował wręczyć, a następnie trzymał jarmułkę nad głową kandydatki PiS, wiceminister sportu i turystyki Anny Krupki. Incydent odnotowały światowe media.

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / GAZETA WYBORCZA / MATERIAŁY PRASOWE

Idą wybory, są i pieniądze

„JEST W POLSCE TRAGICZNA SPRAWA niepełnosprawnych. Mamy kolejny »plus« do naszej piątki" – powiedział na konwencji PiS Jarosław Kaczyński, a Mateusz Morawiecki wyjaśniał, że chodzi o comiesięczny, stały dodatek dla osób niepełnosprawnych powyżej 18. roku życia, z orzeczeniem – jak się wyraził – „o całkowitej niepełnosprawności" (taka kategoria nie istnieje – chodziło zapewne o „znaczny stopień"). „Kiedy ponad rok temu protestowaliśmy, mówiono nam, że tych pieniędzy nie ma. (...) Teraz, kiedy mamy siedem dni do wyborów (...) obiecuje się nam jakieś wirtualne pieniądze" – ripostowała Iwona Hartwich, liderka ubiegłorocznego sejmowego protestu (na zdjęciu Sławomira Kamińskiego z „Gazety Wyborczej" – nagrodzonego głównym laurem Grand Press Photo 2019 – protestujący próbują rozwiesić transparent w języku angielskim na ścianie budynku Sejmu, ale uniemożliwia im to straż marszałkowska). 23 maja, tuż przed wyborami, w Warszawie odbędzie się kolejny protest tej grupy. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Uber częściowo poskromiony

RAFAŁ WOŚ

Nowelizacja prawa transportowego (tzw. Lex Uber) salomonowo godzi interesy lobby taksówkarzy i parataksówkarzy. Sedna problemu „uberyzacji" polskiej pracy jednak nie dotyka. Kalifornijska firma zawojowała spory kawałek rynku przewozów stosując model biznesowy typu „cwany gapa". „My jesteśmy taksówkarzami? Skądże znowu. My tylko kojarzymy ze sobą ludzi jadących w tym samym kierunku". Taksówkarze protestowali – widzieli bowiem desant na rynek, w którym orężem były niższe ceny do pary z unikaniem kosztów, jakie musi ponieść licencjonowany przewoźnik. Uber odpowiadał, że liczy się tylko „dobro klienta". Chodzą słuchy, że za Kalifornijczykami lobbowała amerykańska dyplomacja.

Ostateczny kształt nowego prawa jest kompromisem. Taksówkarze wywalczyli, że kierowcy Ubera (i innych firm działających na podobnej zasadzie) muszą mieć licencje. Uber dostał z kolei gwarancję, że będzie o nią łatwiej niż dotychczas. Zniesione zostaną testy ze znajomości topografii miasta, a aplikacja będzie mogła zastąpić taksometr. Ważna jest też zapowiedź przejęcia przez Ubera odpowiedzialności za ewentualne szkody. Dotąd koncerny „kojarzące ludzi" mogły łatwo je przerzucać na bezbronnych kierowców.

Nowa ustawa unika jednak wejścia w samo sedno zmian w relacjach na rynku usług. Nie mówi, co zrobić, by Uberowi (i innym) trudniej było wyzyskiwać swoich pracowników. To różni nas od krajów anglosaskich. Tam doszło niedawno do dużych protestów samych kierowców pod hasłem „Uber is driving us to poverty" („Uber wiezie nas do biedy"). ©℗

„Ibizagate" wstrząsa austriacką polityką

UPADEK RZĄDU, zapowiedź przedterminowych wyborów i kres kariery lidera narodowo-populistycznej Partii Wolności (FPÖ): to wszystko zdarzyło się w ciągu kilkudziesięciu godzin. Zaczęło się w miniony piątek wieczorem, gdy niemieckie „Süddeutsche Zeitung" i „Spiegel" opublikowały fragmenty nagrania wykonanego potajemnie w willi na Ibizie latem 2017 r., kilka miesięcy przed wyborami w Austrii. Jego bohaterami są politycy FPÖ – Heinz-Christian Strache (do weekendu lider współrządzącej FPÖ i wicekanclerz) i jego zaufany Johann Gudenus (były już szef frakcji FPÖ, uważany za pośrednika w kontaktach FPÖ z Rosją) – oraz tajemnicza kobieta, przedstawiona jako krewna rosyjskiego oligarchy bliskiego Kremlowi, który chce zainwestować w Austrii kilkaset milionów euro. Podczas podlanego alkoholem, 6-godzinnego spotkania Strache namawia kobietę, by kupiła połowę udziałów w „Kronen Zeitung", po czym ten dziennik poparłby FPÖ, dzięki czemu mogłaby wygrać wybory. Namawia też do darowizn na FPÖ, instruuje, jak obejść prawo, i wymienia austriackie firmy, które rzekomo finansują tak partie. W zamian oferuje, że gdy będzie w rządzie, Rosjanie dostaną zlecenia budowlane.

Po ujawnieniu nagrania Strache i Gudenus podali się do dymisji, a kanclerz Sebastian Kurz rozwiązał koalicję z FPÖ i zapowiedział wybory; być może sprawą zajmie się prokuratura. Trwają spekulacje, kto zorganizował spotkanie na Ibizie i przekazał mediom film – okazuje się, że rzekoma Rosjanka była podstawiona i politycy wpadli w zastawioną pułapkę.

© WOJCIECH PIĘCIAK / FAZ, NZZ

Jemen i Syria: wojenna eskalacja

KRUCHE NADZIEJE I NOWE OBAWY budzą wiadomości z Jemenu, gdzie wspierani przez Iran szyiccy rebelianci Huti walczą z armią rządową, popieraną przez koalicję państw z Arabią Saudyjską na czele. Pod międzynarodową kontrolą kilka dni temu zaczęło się wycofywanie oddziałów Hutich z Al-Hudajdy. Odblokowanie tego portu umożliwi nowe dostawy pomocy dla kraju zniszczonego czteroletnim konfliktem (na zdjęciu: kolejka do punktu pomocy żywnościowej w Sanie, stolicy Jemenu, 18 maja 2019 r.).

Mimo dającej pewne efekty mediacji ONZ, do końca wojny jest jednak daleko. Huti zaatakowali przy pomocy drona dwie przepompownie ropy na terenie Arabii Saudyjskiej. W odpowiedzi koalicja zbombardowała Sanę, stolicę Jemenu; zginęli cywile, w tym czworo dzieci. Eskalacja może mieć związek z napięciem między USA (sojusznikiem Saudów) i Iranem; w ostatnich dniach w Bagdadzie doszło do spotkania proirańskich ruchów z całego Półwyspu Arabskiego.

I kolejna przygnębiająca wieść: UNICEF ogłosił, że wskutek wojny, głodu i epidemii u połowy z 5 mln jemeńskich dzieci poniżej 5. roku życia doszło do nieodwracalnych zmian rozwojowych.

MOHAMMED MOHAMMED / / XINHUA / EAST NEWS

TYMCZASEM W SYRII armia rządowa, wspierana przez proirańskie milicje i rosyjskie lotnictwo, od ponad dwóch tygodni prowadzi ofensywę w prowincji Idlib, w północno-zachodniej części kraju. Od jesieni 2017 r. region ten znajdował się pod faktyczną kontrolą Turcji, która jednak traci wpływy. O losie Idlib coraz bardziej decydują prezydenci al-Asad i Putin. Kreml umacnia swoją pozycję w Syrii i kłamie w żywe oczy – podczas spotkania z sekretarzem stanu USA w Moskwie minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow zapewniał, że jego kraj jest w Syrii tylko bezstronnym arbitrem.

W wyniku ostatnich walk 150 tys. uchodźców wewnętrznych schroniło się na północy, w pobliżu granicy z Turcją. Wielu z nich już wcześniej było uciekinierami z innych części Syrii.

©℗ MARCIN ŻYŁA

Atak na ambasadora

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z IZRAELA

Pięć lat więzienia: tyle grozi Izraelczykowi, który pod ambasadą w Tel Awiwie zwyzywał i opluł ambasadora Marka Magierowskiego. W przeprosinach, w których sformułowaniu wspierała go agencja PR, zaznaczył, że jest potomkiem ocalałych z Szoah, a do ambasady przyszedł, by wyjaśnić sprawę zwrotu rodzinnego mienia. Mężczyzna oczekuje na proces, a jego postępowanie potępiła strona izraelska (skąpo, bo w tweecie rzecznika MSZ, nie licząc oświadczenia ambasador Azari).

To nie pierwsza taka sytuacja pod ambasadą: w 2018 r. na bramie wymalowano swastyki i obraźliwe hasła. Incydenty są pokłosiem napiętych relacji między krajami. Ostatnią kontrowersję – odwołanie wizyty izraelskiej delegacji w związku z doniesieniami o planowanych przez nią rozmowach o restytucji mienia – politycy z obu stron komentowali jak zwykle: zgodnie z oczekiwaniem swych wyborców. Niestety, dopóki nie zaczną ważyć słów, do incydentów – antypolskich w Izraelu i antysemickich w Polsce – będzie dochodziło. Ich nagłaśnianie, jak dotąd, jest im oczywiście na rękę. ©

USA: nowy spór o aborcję

GUBERNATORKA KAY IVEY podpisała w minionym tygodniu ustawę, która w stanie Alabama wprowadza najostrzejsze w USA przepisy dotyczące aborcji: będzie ona karalna od chwili, gdy można zmierzyć bicie serca dziecka (jest to możliwe od 5.–6. tygodnia ciąży); wyjątek to sytuacja, gdy zagrożone jest życie matki. Nowe prawo to „mocne świadectwo" wiary ludzi z Alabamy, że każde życie jest wartością i darem Boga – mówiła Ivey. Ustawę przyjął stanowy parlament, zdominowany przez Republikanów. Ivey zaznaczyła, że nowe prawo może nie wejść w życie z powodu orzeczenia Sądu Najwyższego USA z 1973 r., uznającego prawo do aborcji. Podobna sytuacja dotyczy ustaw, które w tym roku przyjęły stany Georgia, Ohio, Kentucky i Missisipi: tam aborcja będzie zakazana od chwili, gdy wyczuwalny jest puls. Wcześniej podobne ustawy przyjęły Iowa i Dakota Północna. Zwolennicy dopuszczalności aborcji kwestionują je na drodze prawnej i jest prawdopodobne, że Sąd Najwyższy ponownie zajmie się aborcją. Dziś w SN większość mają Republikanie i wyrok może być inny niż w 1973 r.

©℗ WP / KATHPRESS, NZZ

Wyczyn przy okazji

NIRMAL PURJA, nepalski himalaista, który chce jako pierwszy zdobyć 14 ośmiotysięczników w jednym sezonie, wszedł właśnie na trzeci z nich. W trakcie aż dwóch ataków Purja i jego ludzie musieli jednak włączyć się do akcji ratunkowych.

„Project Possible 14/7" Nepalczyka to wyzwanie bardziej logistyczne niż sportowe. Alpinista wspina się drogami pierwszych

PROJECTPOSSIBLE.CO.UK

zdobywców, korzystając z butli z tlenem i pomocy tragarzy wysokościowych. Wspiera go kilkanaście osób, a z bazy do bazy przenosi się czasem śmigłowcem. W Nepalu rozpoczął się jednak sezon wspinaczkowy i w górach zaroiło się także od wypraw komercyjnych, których klienci często nie są przygotowani do wysiłku, jakim bez względu na drogę i styl jest atak na ośmiotysięcznik.

Efekt? 25 kwietnia Nirmal Purja w drodze powrotnej ze szczytu Annapurny musiał ratować Malezyjczyka, którego sprowadził wraz ze swoimi tragarzami na wysokość, skąd dało się go już ewakuować helikopterem. 12 maja Nepalczyk zdobył Dhaulagiri, a trzy dni później, w trakcie powrotu ze szczytu Kanczendzongi, uratował na wysokości ok. 8300 m n.p.m. dwóch wspinaczy z Indii. Na tle wypraw komercyjnych, których członkowie często po prostu pozostawiają umierających partnerów, postawa Nirmala Purjy imponuje bardziej niż jego wspinaczkowe plany.

©℗ MR

KULTURA W SKRÓCIE

SPOTKANIA. Trwa krakowski Copernicus Festival. W podróży po różnych wymiarach języka, któremu poświęcona jest tegoroczna edycja, towarzyszą nam m.in. filozof Charles Taylor, lingwista i antropolog Daniel Everett oraz fizyk Paul Davies. Zapraszamy na towarzyszące Festiwalowi koncerty oraz wystawy. W wielu wydarzeniach można brać udział online na stronie youtube.com/copernicuscenter. Wszystkie są bezpłatne.

BLOGI. „Nauczyłem się cenić zielone brzegi Łyny, tętniącą letnim życiem starówkę, a także, choć czasem może surową, to przecież zawsze serdeczną naturę tutejszych mieszkańców" – pisze na swojej stronie Marcel Krueger, niemiecki bloger i dziennikarz, a od kilku dni także pisarz miejski Olsztyna. Przez najbliższe pięć miesięcy Krueger będzie prowadził kronikę kulturalną stolicy województwa warmińsko-mazurskiego. Stypendium przyznało Niemieckie Forum Kultury Europy Środkowo-Wschodniej, od dekady fundujące rezydencje literackie w miastach Europy Środkowo-Wschodniej, których historia związana jest z niemieckim dziedzictwem kulturowym.

WIERSZE. Izraelska poetka Agi Miszol odebrała Międzynarodową Nagrodę Poetycką im. Zbigniewa Herberta. Tomasz Różycki w laudacji podczas uroczystości w Teatrze Polskim w Warszawie przypomniał, że pisanie wierszy w języku hebrajskim – ze względu na jego kontekst historyczny i kulturowy – jest ogromnym wyzwaniem. W tę przestrzeń interpretacyjną, w „dolinę pomiędzy spółgłoskami wchodzi poezja Agi Miszol jak osiołek objuczony ładunkiem wybuchowym, żeby to wszystko wysadzić w powietrze" – mówił Różycki.

ESEJE. Tymczasem do Nagrody Literackiej Gdynia nominowano dwie autorki współpracujące z „Tygodnikiem". Beatę Chomątowską i Olgę Drendę wyróżniono za książki eseistyczne. Laureata bądź laureatkę poznamy 30 sierpnia.

Kuriozum w Muzeum

PIOTR KOSIEWSKI

W Muzeum Narodowym w Warszawie otwarto wystawę 17 dzieł Leonarda da Vinci, a dokładniej: ich cyfrowych reprodukcji. Wystawy oryginałów tych prac nie dałoby się zorganizować w żadnym muzeum na świecie (nie tylko dlatego, że jest tu „Ostatnia wieczerza", czyli fresk). Muzeum Narodowe nie miało w planach wystawy na 500-lecie śmierci Leonarda (i nie musiało jej robić!). Przygotowanie poważnej ekspozycji wymaga kilkuletnich przygotowań, a jedno z najważniejszych muzeów w kraju powinno wyznaczać wystawiennicze standardy. Tymczasem urządzono dość kuriozalny pokaz, na który nie zdecydowałaby się żadna poważna europejska instytucja muzealna.

Wystawa pod szumnym tytułem „Leonardo. Opera Omnia" pokazuje stosunek nowego dyrektora muzeum Jerzego Miziołka do publiczności: uważa on zapewne, że Polki i Polacy nie potrafią odróżnić poważnej wystawy od jej podróbki. Pokaz reprodukcji Leonarda, podobnie jak wcześniejsze decyzje dyrektora i jego cenzorskie zapędy, świadczą o całkowitym niezrozumieniu funkcji Muzeum Narodowego oraz braku podstawowych kompetencji muzealniczych. O słabym przygotowaniu Jerzego Miziołka do kierowania tak poważną instytucją Ministerstwo Kultury wiedziało, a jednak został jej dyrektorem. I spełnia się czarny scenariusz: za kadencji Piotra Glińskiego kolejne ważne dla kultury miejsce zaczyna spadać w niebyt.

© PIOTR KOSIEWSKI

Zdjęcie z Krainy Ostatecznej

SONDA NEW HORIZONS, która w 2015 r. przysłała nam pierwsze zdjęcia Plutona z bliska, nie ustaje w swej podróży ku krańcom Układu Słonecznego. Niedawno minęła kolejnego mieszkańca tych mrocznych rejonów, noszącego oficjalnie niezbyt wdzięczną nazwę 2014 MU_{69} i obrazowy przydomek Ultima Thule – Kraina Ostateczna. To najdalszy obiekt w kosmosie, który sfotografowaliśmy z bliska.

Ultima Thule przypomina – na odpowiednio podrasowanych zdjęciach – krągłego bałwanka, jednak jego powierzchnia dla ludzkiego oka miałaby tak naprawdę barwę i teksturę zwietrzałego asfaltu z brunatną nutą. Panują tam temperatury tylko o 40 stopni wyższe od zera bezwzględnego, czyli zbliżone do -230°C, a materiał budulcowy „bałwanka", brudny lód, zachowuje się w takich warunkach po prostu jak żwir.

Obiekt ten powstał w wyniku zetknięcia się i zmrożenia ze sobą dwóch brył lodu – większej (nazywanej Ultima) o średnicy 20 km i mniejszej (Thule) o średnicy 14 km.

© ŁUKASZ LAMŻA

„TP" 19/2019

Przekop, czyli kanał
W przedostatnim numerze „TP" przeczytałem komentarz Marka Rabija o sprawie przekopu Mierzei Wiślanej. Autor podaje kilka słusznych argumentów przeciwko projektowi, ale pisze również: „Korzyści? Te strategiczne przestały mieć znaczenie, odkąd Rosja podpisała umowę z UE i nie utrudnia żeglugi przez Cieśninę Piławską". Po pierwsze, nie ma żadnej umowy między Rosją a UE w sprawie Cieśniny. Również dlatego, że podpisywanie takich umów nie jest kompetencją Unii. Jest wyłącznie dwustronna umowa polsko-rosyjska z 2009 r. Po drugie, Rosja utrudnia swobodny przepływ przez Cieśninę, gdyż umowa dwustronna dotyczy tylko jednostek pływających pod polską i rosyjską banderą (choć i tu wprowadza ona szereg obostrzeń). Jednostki państw trzecich są dopuszczone przez Rosję na mocy jednostronnej regulacji z 2009 r., która w każdym momencie może być cofnięta. Jest to jednak możliwe tylko pod warunkiem spełnienia kilku wymagań (m.in. notyfikowanie zamiaru przepływu na 15 dni wcześniej i wniesienia opłaty). W istocie blokuje to swobodną żeglugę i jest niezgodne z konwencją o prawie morza. Ponadto tor wodny w Cieśninie Piławskiej jest bardzo płytki i może przyjmować jedynie niewielkie jednostki (zanurzenie do 1,8 m).

WOJCIECH KONOŃCZUK

„TP" 16 / 2019

Szternberk, ale inny
Już wiemy, na czym polega czeski błąd: tekst Aureliusza M. Pędziwola „Liechtensteinowie chcą do Czech" – opowiadający o staraniach tej rodziny, która chce odzyskać swoją własność, odebraną po 1945 r. – zilustrowaliśmy zdjęciem zamku Szternberk, ale nie tego, który należał do Liechtensteinów. Okazuje się, że w Czechach są dwa zamki o podobnej nazwie: Szternberk koło Ołomuńca (to ten właściwy) i Czesky Szternberk koło Pragi (jego zdjęciem zilustrowaliśmy artykuł). Za błąd przepraszamy Autora i Czytelników.

REDAKCJA „TP"

Autorzy wydrukowanych na łamach „Tygodnika" listów otrzymają kubki z rysunkiem Macieja Sieńczyka.

REKLAMA

WENEZUELCZYCY WALCZĄ O PRZETRWANIE. JESTEŚMY NA MIEJSCU, OBOK LUDZI.

pah
Polska Akcja Humanitarna

WPŁAĆ
Polska Akcja Humanitarna
02 2490 0005 0000 4600 8316 8772
www.pah.org.pl/wplac

TEMAT TYGODNIKA

UNIA: KONIEC WIELKIEJ NORMALNOŚCI

Populiści realizują program fundamentalnej zmiany Europy. Tymczasem partie tradycyjne nie mają pomysłu na wersję alternatywną.

DARIUSZ ROSIAK

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Różnica między populistami a całą resztą polityków polega na tym, że populiści szybciej myślą. Pierwszy przykład z brzegu: polexit. Pomysł, że którakolwiek z naszych partii może myśleć o wyprowadzeniu Polski z Unii Europejskiej jest tak niedorzeczny, tak pozbawiony sensu w kraju, w którym znaczna większość popiera członkostwo, że mógłby na niego wpaść wyłącznie polityczny samobójca. Więc – dlaczego w ogóle mnie to nie dziwi? – wpadła na ten pomysł opozycja, opierając swoją kampanię polityczną przez ostatni rok, a nawet dłużej, na straszeniu wyborców, że PiS chce właśnie wyprowadzić Polskę z Unii. Dowodem na tę intencję władz miały być niepochlebne wypowiedzi prezydenta na temat Unii oraz niedostrzeganie przez polityków PiS pozytywnych skutków członkostwa przez ostatnie 15 lat. Politycy PiS zaczęli zatem rzadziej publicznie złorzeczyć na Unię, nie deprecjonują jej symboli, dostrzegają pozytywne skutki członkostwa. Zorganizowali huczne obchody rocznicowe i jeszcze w promocji dorzucili, że „Polska jest sercem Europy".

Zwolennicy teorii o zbliżającym się polexicie słusznie zwrócą uwagę, że „antyeuropejskość" PiS nie ogranicza się do retoryki, tylko polega na łamaniu fundamentalnych wartości europejskich, takich jak niezależność wymiaru sprawiedliwości czy wolność mediów. „Cameron też nie chciał wyprowadzić Wielkiej Brytanii z Unii" – powiedział niedawno Donald Tusk, który według niektórych Polaków swoim wystąpieniem w Warszawie 3 maja dołączył do grona europejskich wizjonerów rangi Schumana, Monneta, De Gasperiego, że o Konradzie Adenauerze nie wspomnę.

Perspektywiczny polexit miałby zatem być efektem roztargnienia, rozemocjonowania i utraty kontroli nad biegiem wypadków. A może szatańskiej przenikliwości prezesa, który przewidując kilkanaście ruchów w przód już wie, jak Polacy zachowają się wobec wydarzeń, które niewątpliwie nastąpią – choć nikt inny poza prezesem o nich nie wie?

Rzecz w tym, że roztargnienie wykazują raczej wytrąceni z równowagi przeciwnicy populistów – przekonani, iż świat zwariował, bo nagle, nie wiedzieć czemu, przestał im wierzyć.

Cel: ulżyć ludziom

A przecież wiadomo czemu. Kenneth Clarke – proeuropejski konserwatysta, minister w kilku brytyjskich rządach od Margaret Thatcher do Davida Camerona, ponoć „najlepszy premier, jakiego Wielka Brytania nigdy nie miała", w kilku lapidarnych słowach wyjaśnił powód zalewu Europy populizmem: „W latach 90. byliśmy bardzo z siebie zadowoleni. Stworzyliśmy wielką normalność, tylko ona gdzieś odeszła". ↦

Członkowie skrajnie prawicowej Nowej Siły (Forza Nuova) z Włoch, Warszawa, 11 listopada 2018 r.

↦ Odeszła wraz z nadziejami ludzi, których system budowany w Europie przez lata 90. XX w. i na początku XXI w. potraktował jako straty uboczne i którym na dodatek kazał płacić za kryzys 2008 roku. Zapytany, jaką politykę prowadziłby Clarke, gdyby dziś znalazł się w rządzie, w tym samym wywiadzie dla serwisu „Politico" dał wstrząsającą odpowiedź: „Proponowałbym program reform, który »żółte kamizelki« narzuciły Macronowi: cięcia podatkowe i zwiększenie wydatków na świadczenia społeczne, tak by ulżyć ludziom w życiu".

Populiści są popularni, bo ich deklarowanym, a co znacznie ciekawsze, również realizowanym celem jest ulżenie ludziom w życiu. PiS, Orbán, Salvini, nawet Macron – odpowiedź cywilizowanego Europejczyka na zarazę populizmu – rozdają ludziom pieniądze i nie przejmują się kasandrycznymi przepowiedniami kaznodziejów „wielkiej normalności", prorokujących rychły armagedon.

Clarke zwrócił przy tym uwagę, że zasadnicza zmiana musi iść dalej niż taki „tymczasowy plaster". Chodzi o to, „jak uregulować kapitalizm, by zapobiec jego nadużyciom".

Niech już milczy Tony Blair

To nie jest typowe stanowisko brytyjskiego konserwatysty, zwolennika wolnego rynku, polityka ciągle przekonanego, że wszystkie inne, poza kapitalizmem, pomysły na ekonomiczny ustrój państwa są gorsze. Jednak ma rację brytyjski polityk, a przypadek jego kraju pokazuje dobitnie, dlaczego dotychczasowe metody „walki z populizmem" wyłącznie wzmagają jego dziarski marsz przez Europę.

Nie ma się co dziwić, że politycy, którzy przez lata zaangażowani byli w budowanie „wielkiej normalności", nie są, najoględniej mówiąc, najbardziej wiarygodni, gdy obiecują, że teraz będzie inaczej, lepiej i z większą troską o człowieka.

Przypadek polski, gdzie opozycja w zasadzie przejmuje społeczne pomysły PiS, tyle że po jakimś czasie, jest w tym względzie bardzo pouczający. Ludzie, którzy przez lata przekonywali, a niektórzy przekonują do dziś, że jeśli rynek cię nie chce, to widocznie ma rację, nie mogą stać dziś w awangardzie walki z populizmem, bo zostaną wyśmiani. I słusznie. Dziś symbolem takiej, niestety żałosnej postawy jest choćby Tony Blair, który regularnie wzywa do odwołania brexitu, co spotyka się z błagalnymi wezwaniami zwolenników pozostania Londynu w Unii, by były premier przestał się odzywać, bo wyrządza im krzywdę.

Podobnie żałosne są dziś jeremiady dawnych rycerzy kontrkultury, narzekających na zalew politycznej Europy kłamstwem, wulgarnością, agresją i relatywizmem. Paradoksem naszych czasów jest fakt, że to partie prawicowe, takie jak PiS, włoska Liga czy Zjednoczenie Narodowe (tak nazywa się dziś dawny francuski Front Narodowy), stoją teraz w awangardzie twórców alternatywnych wersji historii, w których podział na dobrych i złych jest uzasadniony wyłącznie potrzebą chwili. Twórczo rozwijają politycznie zaangażowane media, w których fake newsy, oszczerstwa, kłamstwa są poręczną pałką na przeciwnika.

Pamiętajmy jednak, że to nie prawica dokonała postmodernistycznej dekonstrukcji świata – ona dziś jedynie korzysta z owoców kulturowych wyborów, dokonanych przez zdominowany przez liberałów mainstream w ostatnich dekadach. To nie prawicowi populiści stworzyli narcystyczny raj, śmietnik *selfies*, facebookowych bluzgów i emocjonalnego samogwałtu. Oni po prostu lepiej się w nim poruszają niż jego wyrafinowani twórcy.

Zmiana zasad od środka

Szczególnie w myśleniu o wartościach, tożsamości, roli narodów, stosunku do przeszłości widać, jak przeciwnicy partii zwanych populistycznymi rozmijają się z „duchem czasów".

Przez ostatnie 40 lat podział w myśleniu na temat Unii Europejskiej (wcześniej EWG) był jasny: partie skrajnie prawicowe i skrajnie lewicowe chciały rozpadu Wspólnoty, albo co najmniej wyprowadzenia z niej swoich krajów. Wszyscy pozostali, czyli partie tzw. głównego nurtu, mogły się różnić politycznie, ale w jednym były zgodne – europejska wspólnota potrzebuje ochrony, a jej przetrwanie jest warunkiem rozwoju państw członkowskich i kontynentu jako całości. W tym celu stworzono mechanizmy, które pozwalają w dosyć ciasnych ramach kontestować unijne *status quo*, natomiast karzą – i to bardzo surowo – wszystkich tych, którzy chcieliby fundamentalny porządek unijny łamać, albo wychodzić z Unii na własnych warunkach. Przykłady Grecji i Wielkiej Brytanii pokazują, jak bardzo się to nie opłaca. Wszyscy to widzą – tylko że populiści widzą to szybciej, wyciągają z tego wnioski i modyfikują swoją politykę zgodnie z nimi.

W Unii nie ma już liczących się partii, które – choć w przeszłości nawoływały do wyjścia ze Wspólnoty – zamierzają powtórzyć brytyjskie doświadczenie. Nie ma też partii, które chciałyby powtarzać doświadczenie Grecji, mimo że nie podobają im się warunki, na jakich funkcjonuje unijna gospodarka i system finansowy. Skoro zatem nie można w sposób sensowny wyjść z Unii, jak również nie udaje się skutecznie kontestować zasad, na jakich jest oparta, to trzeba zmienić podejście. Partie sceptyczne wobec ścisłej integracji zmieniają zatem retorykę, narzędzia, a przede wszystkim naczelny cel. Nie chcą już, jak dawniej, wychodzić z Unii, chcą natomiast dokonać jej transformacji od środka, wprowadzając do głównego nurtu nowy sposób myślenia o europejskich wartościach, a w gospodarce łamiąc zasadę, że nie należy wydawać pieniędzy, których się nie ma.

Ma być bardziej narodowo, z powrotem do korzeni i judeo-chrześcijańskiej spuścizny europejskiej – stąd powoływanie się na ojców założycieli. A przy tym ma być nowocześnie i bardziej sprawiedliwie. To brzmi jak propagandowa odezwa polityczna, ale ta propaganda przekłada się na bardzo konkretne rozwiązania. Trudno na przykład wyobrazić dziś sobie kolejny wielki traktat europejski. Trudno wyobrazić sobie kolejny etap rozszerzenia Unii, choćby o kraje Bałkanów Zachodnich, które czekają w kolejce już kilkanaście lat. A przecież kilkusetstronicowe traktaty i rozszerzenie to były dwa główne tematy Europy od lat 90. XX w.

I jeszcze rozwój strefy euro. Dziś nawet Donald Tusk nie chce zmiany waluty w Polsce. „Żeby wejść do strefy euro, trzeba prowadzić odpowiedzialną politykę finansową, więc – na razie – nie ma tematu" – napisał na Twitterze, a przecież w 2008 r. mówił, że celem rządu jest wprowadzenie Polski do eurolandu w 2011 r. A wtedy byliśmy jeszcze mniej gotowi na euro niż teraz; pewnie przewodniczący zapomniał, jak poniosły go emocje.

Zatrzymać perpetuum mobile

Populiści są popularni, ponieważ buntują się przeciwko temu, co dla wielu Europejczyków wychowanych na determinizmach głównego nurtu polityki unijnej

ostatnich 30 lat wydaje się jej największą zdobyczą.

Buntują się przeciwko Europie, która stała się niekontrolowanym przez wybieranych przedstawicieli systemem naczyń połączonych, rodzajem ponowoczesnego *perpetuum mobile* – nie tylko w sensie gospodarczym, ale też kulturowym, w którym idea idealnego postępu jest wpisana w system i przez niego generowana bez względu na to, czego chcą Europejczycy.

Unia stworzona przez ostatnie trzy dekady wie, co dla Europejczyków jest dobre w gospodarce, a czego robić nie wolno, wie, jakie działania społeczne są optymalne, a jakie nie do przyjęcia, w co należy wierzyć, a co jest brednią i oznaką zacofania. Dwa fundamentalne kryzysy europejskie ostatniej dekady, finansowy i uchodźczy, pokazały, że Unia chce być wspólnotą, w której będą jasno określone reguły nie tylko co do tego, czym jest odpowiedzialna, a czym nieodpowiedzialna polityka finansowa, ale także co do tego, jak traktować migrantów, jak odnosić się do tradycji europejskiej, gdzie kończą się granice wolnej debaty i zaczyna sfera tabu wyznaczana polityczną poprawnością.

Populizm, czyli ciąg dalszy

To wszystko i jeszcze kilka innych kwestii, choćby konieczność dostosowania polityki do skutków zmian klimatycznych, jest kontestowane przez populistów. I ta kontestacja trafia do części elektoratu. Europejscy populiści realizują program fundamentalnej zmiany Europy w czasie, kiedy partie tradycyjne nie mają pomysłu na wersję alternatywną. W związku z tym brakiem – tak jak Platforma Obywatelska i jej sojusznicy – wyciągają argument o nadciągającym wraz z populistami końcu historii Unii.

Końca historii nie będzie, bo jedną z rzeczy, której uczy, jest to, że ona nie ma końca. Za to najprawdopodobniej dobiega kresu Unia w formie, do jakiej przyzwyczajeni jesteśmy od jej powstania w obecnym kształcie, czyli od wejścia w życie traktatu z Maastricht w 1993 r.

Populizm jest na fali, wszyscy o nim piszą, populistyczne partie rządzą samodzielnie bądź w koalicjach w kilkunastu krajach europejskich. Niektórym to zjawisko wydaje się czymś przerażającym, innym pociągającym, część przyjęła, że jest nieuniknionym ciągiem dalszym Europy. Ponad jedna czwarta elektoratu Unii głosuje na populistów, w nadchodzących wyborach do Parlamentu Europejskiego zapewne zdecydowanie zwiększą liczbę posłów. Nawet jeśli mało prawdopodobne jest, by wygrali wybory, to z pewnością narzucą Europie zestaw tematów do debaty, a być może i sposoby rozwiązania jej problemów.

> Po wyborach do Parlamentu Europejskiego **populiści z pewnością narzucą Europie zestaw tematów do debaty.** A być może i sposoby rozwiązania jej problemów.

Już to zrobili – politycy tacy jak Matteo Salvini, Viktor Orbán czy Jarosław Kaczyński trzymają dziś w politycznym szachu innych. Nieważne, że nie dysponują jeszcze siłą zdolną zmienić Europę – między innymi po to są te wybory, by tę siłę przeliczyć na głosy.

Niezwykłe i bardzo symboliczne zdarzenie miało miejsce kilka dni temu. Brazylijski minister spraw zagranicznych przyjechał w swoją pierwszą podróż do Europy – i kogo odwiedził? Nie Angelę Merkel w Niemczech ani Emmanuela Macrona we Francji, tylko Włochy, Węgry i Polskę.

Można oczywiście zbyć ministra kraju rządzonego przez „faszystę" Bolsonaro i czekać na przyjście właściwego rządu w Brazylii i Stanach Zjednoczonych, można trzymać kciuki za prezydenta Macrona i modlić się, by córka albo wnuczka Jeana Marie Le Pena nie wygrała następnych wyborów we Francji. Jak ktoś chce, to może nawet marzyć, że Brytyjczycy pójdą po rozum do głowy i odwołają brexit. Tylko takie rachuby nie mają dziś sensu.

Od lewa do prawa

Z europejskimi populistami jest jak z nieszczęśliwymi rodzinami u Tołstoja: każda jest nieszczęśliwa na swój sposób. Narodowo-katolicki PiS nie ma wiele wspólnego z założoną przez byłego esesmana Wolnościową Partią Austrii, a hiszpański Vox domagający się powrotu do centralizacji kraju i ukrócenia katalońskiego sobiepaństwa stoi na antypodach greckiej Syrizy. Obrotowy Orbán, który potrafi się zaprzyjaźnić nawet z Jeanem-Claudem Junckerem, jest inny od Marine Le Pen, która gardzi europejskimi biurokratami, co nie przeszkadza jej brać zarządzanych przez nich pieniędzy. Nigel Farage może trochę przypomina kapłana neomussolinizmu Mattea Salviniego, ale chyba nikt tak jak ten czarodziej brexitu nie potrafi bawić się polityką. Nie wszyscy – choć prawie – biorą pieniądze od Władimira Putina, który zapewne uważa ich za pożytecznych idiotów rozbijających Unię od środka. Nie wszyscy mają problem z gejami i aborcją na żądanie, nie wszyscy są praktykującymi katolikami. Są w Europie, zwłaszcza południowej, partie lewicowe, które z pewnością zasłużyły sobie na etykietę bądź piętno populizmu.

Kilka rzeczy ich łączy – na przykład ruchy populistyczne z zasady rosną w siłę dzięki mediom społecznościowym i porozumiewaniu się z narodem ponad, a może obok głów polityków głównego nurtu. Nie lubią imigrantów, lubią za to przekonywać ludzi, że ich problemy wynikają z zalewu Europy przez obcych. Dla populistycznej lewicy muzułmańskiego terrorystę zastępuje bankster w garniturze i wychodzi na to samo. Wiele z tych ugrupowań odwołuje się do tradycji chrześcijańskiej, niektóre wysławiają faszystów takich jak Franco czy Mussolini, dla Alternatywy dla Niemiec czy Wolnościowej Partii Austrii spuścizna Hitlera, zwłaszcza w dziedzinie polityki społecznej, również bywa inspiracją.

Kiedy trafiają do rządów, to zwykle – choć nie zawsze – ich popularność spada. Zasada „dajcie im więcej sznura, żeby się mogli powiesić" sprawdza się całkiem nieźle w krajach skandynawskich, gdzie populiści są w koalicjach. Mogłoby to znaczyć, że nawet jeśli stawiają czasem dobre pytania, to nie znają na nie odpowiedzi. Jednak w Polsce i na Węgrzech, gdzie rządzą samodzielnie, a nawet w koalicyjnych Włoszech ich popularność wzrasta. Może zatem odpowiedzi znają i potrafią wprowadzić je w życie. Może wiedzą więcej o naturze ludzi i oczekiwaniach elektoratu, niż ich przeciwnicy chcą przyznać. Zapewne wiedzą, jak odwoływać się do poczucia poniżenia i odrzucenia, do wiary w świat, w którym sukces jednych przychodzi zawsze kosztem innych – moim kosztem.

Wydaje się mało prawdopodobne, by zrealizowały się huczne zapowiedzi na ↦

↦ przykład Salviniego i Marine Le Pen o budowie wspólnego klubu w Parlamencie Europejskim, w którym zmieściłyby się nie tylko sprzeczne, bo oparte na narodowych egoizmach programy, ale także rozdęte ego poszczególnych liderów. Jednym z ważnych powodów sukcesu partii populistycznych jest także kontrola nad przekazem: trudno sobie wyobrazić, by ktoś taki jak Kaczyński oddał choćby część kontroli nad przebiegiem pisowskiej rewolucji komukolwiek innemu. Stąd także umiarkowany sukces ekipy Steve'a Bannona, byłego stratega Białego Domu, snującego plany budowy populistycznej międzynarodówki w Europie.

Moment wyczerpania

Na koniec tekstu o populistach zwykle pada zasadnicze pytanie: „Jak ich powstrzymać?". Zwykle pojawiają się wtedy wezwania do dogłębnej analizy źródeł populizmu, zwalczania kłamstw, którymi populiści się posługują, i powrotu do uczciwości w polityce.

To słuszne postulaty; ciekawe dlaczego nikt ich nie realizuje w sposób, który doskwierałby populistom. Pewnie dlatego, że nikt nie wie, jak to zrobić. Ja nie tylko nie wiem jak, ale nie wiem nawet, czy należy ich tępić, tak jak chcieliby tego politycy głównego nurtu.

Może po prostu znaleźliśmy się w momencie wyczerpania schematu polityki uprawianej w Europie po 1989 roku? Do głosu dochodzą nowi, choć niekoniecznie młodzi ludzie, których sposób myślenia niektórych przeraża i wywołuje złe skojarzenia. Obrzydzanie ich porównaniami do faszystów i analogiami do lat 30. XX w. raczej się nie sprawdzi. Najlepszą metodą byłoby przejęcie sporej części ich programów i realizowanie ich w zgodzie z oczekiwaniami europejskich społeczeństw. Zaraz zaraz, ale czy nie o to właśnie chodzi populistom?

© DARIUSZ ROSIAK

RDC POLSKIE RADIO

DARIUSZ ROSIAK będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 22 maja o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Granice integracji

RADOSŁAW MARZĘCKI, SOCJOLOG:

Nie ma socjologicznych podstaw do polexitu. Ale istnieje, także wśród młodych, lęk przed utratą tożsamości.

RAFAŁ WOŚ: Polak a Europa – co wiemy?

RADOSŁAW MARZĘCKI: Mamy trochę danych na ten temat, więc nie jesteśmy zupełnie bezradni. Istnieją cyklicznie realizowane od lat 70. XX w. badania tzw. Eurobarometru. Są sondaże prowadzone od lat 80. w ramach projektu Europejskie Badanie Wartości. Są wreszcie mniejsze badania. Ja sam realizuję projekt skoncentrowany na młodych, na który składają się m.in. rozmowy ze studentami z 14 największych ośrodków akademickich w Polsce.

To może zacznijmy od młodych. W tekstach na ich temat drażni mnie dydaktyzm zbudowany wedle stereotypu: starsi może jeszcze mają trochę wątpliwości i żyją w „narodowym" XX wieku. Ale młodzi to już prawdziwi obywatele Europy.

Z danych, którymi dysponujemy, wynika, że młodzi trochę różnią się w ocenie Unii od reszty społeczeństwa. Ale generalnie rzecz biorąc, nie są to różnice fundamentalne. Pokażę to panu na przykładach. Zacznijmy jednak od podstawowego dylematu, który dziś – 15 lat po wejściu do Unii – odczuwa większość Polaków.

Jaki to dylemat?

Widać go wyraźnie. Z jednej strony jest akceptacja dla Europy jako projektu politycznego niosącego wymierne korzyści. Wśród korzyści na pierwszym miejscu niezmiennie znajdujemy pochwałę otwartych granic i możliwości przenoszenia się do innych krajów w celu podjęcia nauki albo pracy. Nasza największa zdobycz.

Ale z drugiej strony?

Wciąż i pod różnymi postaciami powraca potrzeba zachowania suwerenności, autonomii, tożsamości. I to nie jest żadna walka starych z młodymi. Nawet studenci z mojego badania niezwykle często odwołują się do kategorii „niepodległości". To lęk, który ma charakter międzygeneracyjny. Godzenie tych dwóch wartości to jest nasz obecny stan ducha dotyczący Europy oraz jej wartości.

Gdzie to konkretnie widać?

Z Unią Europejską jest tak, że gdy pytamy Polaków o ogólny stosunek do integracji, to poparcie jest zazwyczaj olbrzymie. Ale im głębiej wchodzimy w szczegóły, tym więcej pojawia się wątpliwości. Widać oczekiwanie, że władza będzie potrafiła wyznaczyć granice homogenizacji. Że będzie umiała ochronić polską inność. Ale władza – nie tylko rządzący – może pomóc nam oswoić pewne zagrożenia, dostarczyć uogólnionego poczucia pewności siebie. Z różnych względów takich tematów się jednak nie podejmuje.

Jeszcze raz się upewnię, że mówimy również o młodych?

Tak jest. Przygotowując się do naszej rozmowy porównałem różne grupy wiekowe w polskim społeczeństwie. Wyodrębniłem grupę w wieku 18–29 lat, a potem porównałem ich z resztą. Co chwilę wracała uparcie konstatacja, że młodzi nie są zasadniczo inni od ogółu Polaków. Zwróćmy jednak uwagę, że wejście do Unii przypadło w momencie, kiedy w dorosłe życie wchodzili dzisiejsi 40-latkowie. Oblicze społeczeństwa zmienia się na naszych oczach.

Jakieś przykłady?

Weźmy dość ogólne pytanie o kierunek, w którym zmierza obecnie projekt europejski. Na to pytanie 43 proc. ogółu społeczeństwa polskiego mówi, że „sprawy idą w dobrą stronę". A wśród młodych ten odsetek jest tylko trochę

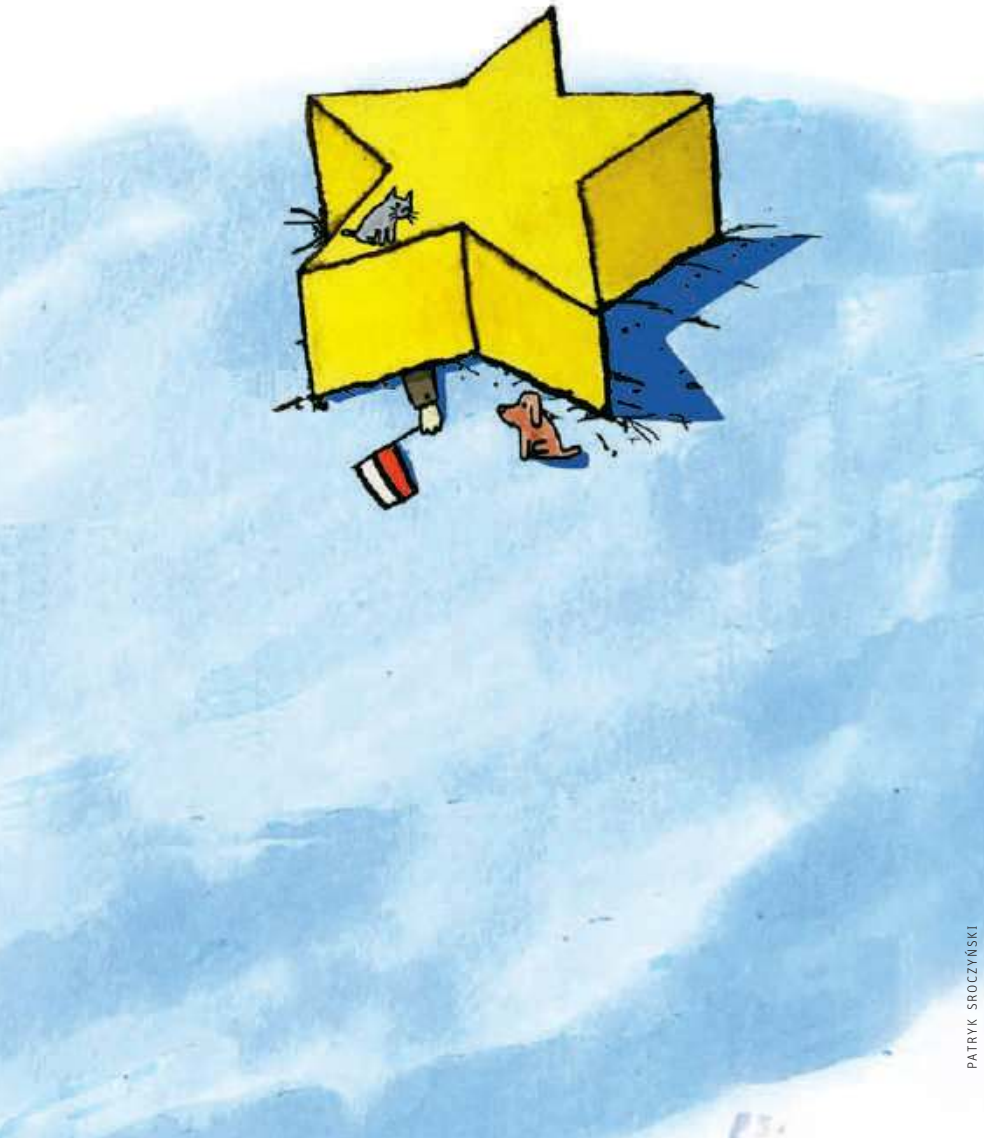

PATRYK SROCZYŃSKI

wyższy i wynosi ok. 50 proc. Czyli w zasadzie niewiele więcej. Tę różnicę możemy złożyć na karb tego, że młodsi generalnie widzą świat w bardziej różowych barwach, a może mają słabszą orientację w zakresie skomplikowanej polityki europejskiej?

A ilu mówi, że Unia idzie w złym kierunku?

Jakieś 37–38 proc. ogółu Polaków tak uważa. Wśród młodych mniej więcej tyle samo, co w całym społeczeństwie. Co do zasady różnic jest mniej, niż można by się spodziewać. Choć istnieją pewne pola, gdzie różnica się rysuje. Na przykład stosunek do dalszego rozszerzenia UE. Młodzi są temu postulatowi bardziej przychylni.

Mowa o Bałkanach, Ukrainie?

Tak, ten kierunek. Ale już nie ma wśród nich większego niż u starszych przyzwolenia na dalsze pogłębianie integracji wewnętrznej. Tu młodzi są równie sceptyczni, co wszyscy Polacy. Unia tak, ale w pewnych ramach.

A euro?

Tu sprawa jest ciekawa. Wspomniałem, że wśród wartości, które najbardziej kojarzą nam się z Unią Europejską, dominuje pochwała otwartych granic. To numer jeden zarówno wśród młodych, jak i starszych. Potem jednak lista korzyści zaczyna się trochę różnić.

Jak wygląda dla ogółu społeczeństwa?

Dla Polaków po swobodzie podróżowania, pracy i nauki numerem dwa wśród unijnych wartości jest demokracja. Numer trzy to pokój. A zaraz potem idzie „silniejszy głos w świecie". A zatem te wartości, które dla starszych pokoleń zostały w jakiś sposób osiągnięte, a nie zastane.

A dla grupy poniżej 30. roku życia?

Numer jeden jest ten sam. Na drugim miejscu jest różnorodność kulturowa, która w przekroju całego społeczeństwa jest trochę dalej. Z kolei na trzecim miejscu pojawia się euro. Demokracja ląduje dopiero na czwartym.

Jak to rozumieć? Że młodzi chcą do strefy euro?

Być może to taki znak równości: Unia to euro. Młodzi są bardziej mobilni, sprawniej korzystają z szans, które daje „globalna wioska". Im łatwiej o takie skojarzenia.

Znajdą się pewnie i tacy, którzy będą z tego wyprowadzać zapowiedź większej niż u ogółu społeczeństwa gotowości młodych na wejście do tego politycznego eksperymentu, jakim jest wspólna waluta. Tego do końca nie wiemy. Musimy szukać dalej. Są pewne tropy.

Jakie?

Jest jeszcze jedno miejsce w badaniach Eurobarometru, gdzie pojawia się euro. To pytanie o akceptację Polaków dla różnych pól integracji. Tylko w jednym przypadku poziom pozytywnych skojarzeń jest niższy niż 50 proc. Niech pan zgadnie, jaki to przypadek.

Domyślam się, że euro.

Dokładnie tak. Na pytanie o gotowość do przyjęcia wspólnej waluty tylko 36 proc. daje przyzwolenie, wśród młodych – 41. W pozostałych dziewięciu przypadkach – od wspólnej polityki obronnej po jednolity rynek cyfrowy – większość z nas mówi „tak".

Zróbmy więc pierwsze podsumowanie. Co z tego wszystkiego wynika?

Dane, które omówiliśmy do tej pory, dość wyraźnie pokazują, że nie ma w Polsce socjologicznych podstaw do jakiejkolwiek formy polexitu. Zbyt mocno cenimy sobie samą ideę wspólnej Europy. I zbyt mocno kojarzymy ją z konkretnymi wartościami jednoznacznie dla nas pozytywnymi: swobodą podróżowania, demokracją czy pokojem.

Z drugiej strony są podstawy do tego, by politycznie akcentować potrzebę wyznaczenia integracji europejskiej jakichś ram. Akurat dziś taką ramą jest chyba brak zgody na wstąpienie do strefy euro. Ale to również nuta, na której można też wygrywać eurosceptyczną melodię.

Jaki model społeczno-ekonomiczny kojarzy się Polakom z Europą? Pytam, ↦

bo mam wrażenie, że w ostatnich latach panuje w tej kwestii spory dysonans. Z jednej strony wciąż mamy to przedakcesyjne wyobrażenie Europy solidarnej i opiekuńczej, kojarzonej z nazwiskami Roberta Schumana czy Jeana Monneta. Z drugiej strony jest ta Europa, która po kryzysie 2008 r. nie raz oblewała egzamin z solidarności, stając po stronie niemieckich i francuskich banków ściągających swoje wierzytelności z Greków, Hiszpanów czy Portugalczyków. Czy ten rozdźwięk dotarł do uszu Polaków i czy jego ślady widzimy w badaniach?

Zgadzam się, że po roku 2004 dyskurs na temat Unii Europejskiej stał się w Polsce mniej górnolotno-aksjologiczny. Ten proces się jednak zakończył. A obecny, który mamy dziś, określiłbym dwojako. Z jednej strony jest on takim suchym, a momentami wręcz do bólu konkretnym rachunkiem zysków i strat związanych z akcesją. Z drugiej mamy dyskurs krytyczny, w którym słuszne postulaty są mocno przemieszane ze stereotypami. Często jedno od drugiego nie sposób oddzielić.

To prawda. Mamy na przykład krytykę roli Niemiec w dzisiejszej Unii. I w zasadzie trudno się połapać, czy stoi za nią analiza polityki Angeli Merkel wobec Grecji wysnuta z lektury wystąpień Janisa Warufakisa [b. ministra finansów Grecji, członka lewicowo-populistycznej partii Syriza – red.]. Czy raczej wypływa ona z antyniemieckich resentymentów dużo starszej daty.

To akurat jest szczególnie silne wśród młodych. Wielu dzisiejszych maturzystów nie pamięta wstąpienia Polski do Unii. Ich postawy wobec integracji są zakorzenione nie w starym doświadczeniu Unii jako spełniania marzeń o powrocie do Europy, lecz w nowych dyskursach o Europie, które suflują im elity symboliczne. To nieuchronne. Zwłaszcza że Europy w polskiej przestrzeni publicznej jest raczej mało. To błędne koło. Małe zainteresowanie prowadzi do braku debaty, która skutkuje... małym zainteresowaniem i nikłym zaangażowaniem.

Wróćmy jednak do pytania o model społeczno-ekonomiczny, z którym się dziś Europa Polakom kojarzy.

Mam przed oczami badanie właśnie na ten temat. A w nim pytanie: „Które z wymienionych pojęć najlepiej opisuje współczesną Unię Europejską?".

I jakie wyniki?

„Nowoczesna" – u Polaków takie skojarzenia z Unią są na poziomie 70–80 proc. „Demokratyczna" także 70–80 proc.

A opiekuńcza?

Tu mniej. Już tylko ok. 60 proc. Tyle samo „sprawnie działająca".

A jakieś negatywne skojarzenia?

„Odległa" w rozumieniu deficytu demokratycznego mandatu. Tak określa Unię Europejską mniej więcej połowa Polaków.

Jak Pan to odczytuje?

Przywołam jeszcze jedno badanie i wtedy spróbuję zinterpretować. Chodzi o pytanie o problemy, przed którymi stoi Unia Europejska. Koniecznie w kontekście tego samego pytania dotyczącego problemów, przed którymi stoi nasz kraj. Tu jest bardzo ciekawy rozdźwięk.

Na czym polega?

Gdy Polaków spytać o wyzwania dla Europy, to pierwsza trójka wygląda tak: po pierwsze migracja, po drugie terroryzm, po trzecie sytuacja gospodarcza.

A Polska?

Po pierwsze wzrost kosztów utrzymania. Po drugie słaba opieka zdrowotna. Po trzecie system emerytalny.

Faktycznie, zupełnie różne światy. Europa to wielkie tematy. Polska – konkret i proza życia.

Problemy i lęki się nie pokrywają. Europa to – jak nam się wydaje – tematy niczym z Ulricha Becka, słynnego niemieckiego socjologa i autora terminu „społeczeństwo ryzyka". Naszą własną codzienność zaprzątają jednak zupełnie inne kwestie. Wynikające wprost z funkcjonowania w warunkach społeczeństwa mającego szereg niezaspokojonych potrzeb i ambicji pierwszego rzędu. Jak na to w ten sposób popatrzę, to nie dziwię się liderom partii rządzącej, którzy powiadają: „Na razie jesteśmy na innym etapie i mamy swoje problemy. Jak dorównamy Europie zasobnością naszego portfela, to porozmawiamy o tych waszych wyzwaniach". Taki polityczny przekaz dobrze trafia w nastroje panujące w polskim społeczeństwie.

Mam pewną publicystyczną intuicję i chciałbym ją skonfrontować z danymi, którymi Pan dysponuje. Wydaje mi się, że Polacy dzielą się dziś na dwie grupy. Ci z pierwszej mają do Unii stosunek nabożny i można ich łatwo zrozumieć. Sam Pan wspomniał, że pamiętają ją jako obiekt marzeń, do którego nas dzięki szczęśliwemu geopolitycznemu zbiegowi okoliczności dopuszczono, i trzeba uważać, żeby nas nie wyproszono. Po drugiej stronie mamy z kolei tych, co zaczynają się trochę przeciwko tej postawie buntować. Myślą sobie: Polska jest w Unii od 15 lat, jesteśmy jej z różnych powodów potrzebni. I ona nam też.

RADOSŁAW MARZĘCKI:

Nawet studenci często odwołują się do kategorii „niepodległości". To lęk, który ma charakter międzygeneracyjny.

ADRIANNA BOCHENEK / AGENCJA GAZETA

RADOSŁAW MARZĘCKI jest politologiem i socjologiem, pracuje w Instytucie Politologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Autor badań i publikacji na temat wyborów aksjologicznych młodych Polaków, m.in. książki „Pokolenie '89".

Nie musimy więc w kółko czuć tego zażenowania za samych siebie.

Jesteśmy z tego samego pokolenia i dobrze rozumiem, o czym pan mówi. Faktycznie narracja opisująca wchodzenie Polski do Unii Europejskiej była opowieścią o powrocie na łono kultury europejskiej – z której zostaliśmy siłą wyrwani. To nastawianie wciąż można dziś spotkać, ale faktycznie nie jest ono już tak wszechobecne. W danych, które posiadam, nie widzę jednak tak wyrazistego przeciwstawienia, jakie pan zarysował. Przypomnę, że ok. 70–80 proc. Polaków w naszych badaniach również dziś uważa, że globalizacja jest szansą na szybszy wzrost gospodarczy. Tylko na nieco niższym poziomie (54 proc.) jest wsparcie dla tezy, że „interesy Polski w Unii Europejskiej są dobrze uwzględniane". To nadal większość. A przekonanych, że Polska mogłaby lepiej stawić czoło przyszłości będąc poza UE, jest tylko 34 proc.

Czyli wyrokuje Pan, że Polacy nie mają większej ochoty na to, by aktywniej wpływać na kształt Unii Europejskiej? Że rola takiego, co wszedł i przycupnął w kąciku, raczej nam odpowiada?

Też nie do końca. Sięgnijmy na chwilę do badań opartych na wspomnianych już rozmowach ze studentami polskich uczelni. Pytałem tam o korzyści, jakie Polska osiąga z uczestnictwa w projekcie europejskim. Ale także o straty.

Kluczową obiekcją, którą zauważyłem, jest właśnie groźba utraty autonomii. Podczas moich badań nieraz słyszałem z ust studentów, że „kraje naszego regionu nie są w Unii Europejskiej traktowanie przedmiotowo". Że są „zaganiane do narożnika" albo „stawiane pod ścianą" i „niesprawiedliwie krytykowane". Moim zdaniem te obawy krystalizują się w narzekaniu na zagrożenie utratą tożsamości. Z kolei w innym badaniu konfrontuję ze sobą dwa stwierdzenia. Pierwsze głosi, że państwa Unii powinny się ze sobą integrować nawet kosztem utraty autonomii. Drugie, że niezależność należy zachować. Które wygrywa?

Drugie? To podkreślające potrzebę zachowania autonomii.

Tak jest. Zdanie „Autonomię należy zachować" popiera 49 proc. młodych Polaków. „Trzeba się integrować za wszelką cenę" już tylko 29 proc. To duża i wyraźna różnica. To jest ta wspomniana tama integracji europejskiej w Polsce. Unia jest okej. Ale są granice. Tą granicą jest tożsamość. Z tym pojęciem jednak nie potrafimy się zmierzyć w debacie publicznej.

A co to w ogóle znaczy tożsamość Polaków? Jak to badać? Da się?

Owszem, bada się takie rzeczy. Można to zrobić pytając uczestników badania, kim się czują.

I kim się czują?

„Bardziej czuję się Polakiem niż Europejczykiem" – to najczęściej wybierana odpowiedź. Tak o sobie myśli 42 proc. z nas. Druga pod względem popularności jest odpowiedź „w równym stopniu Europejczykiem, jak i Polakiem". Tych, którzy deklarują wyłącznie polską tożsamość, a jej europejski komponent odrzucają, jest ok. 10 proc. Czyli znacząco mniej. Ale jednak dużo więcej niż stuprocentowych kosmopolitów. Czyli takich, co określają siebie jako „wyłącznie Europejczyków". Tych ostatnich mamy 1,5 proc.

A jest w tych badaniach jakiś haczyk? Taki motyw, który jeszcze dziś może niewiele znaczy, ale może być potencjalnie bardzo ciekawy w kontekście przyszłości naszego stosunku do Europy?

Owszem, jest taki wątek. To wychodzi przy okazji badań dotyczących tożsamości i identyfikacji Polaków z Unią Europejską. Bardzo silnym czynnikiem, który naszym zdaniem buduje poczucie wspólnoty wśród obywateli Unii, jest gospodarka. Stawiamy ją wręcz na pierwszym miejscu wśród wartości spajających zjednoczoną Europę. Dopiero potem są kolejno: kultura, historia, rządy prawa, solidarność z biedniejszymi. A jeszcze dalej język czy religia. To pokazuje, jak mocno tożsamość europejska jest naszym zdaniem uzależniona od ekonomicznej *prosperity*.

Co z tego wynika?

Można zadać pytanie: czy w przypadku kolejnego poważnego kryzysu projekt europejski go przetrzyma? Czy może raczej Unia jest dla nas klasycznym przykładem ładu politycznego, który da się bronić tylko, dopóki wykazuje się skutecznością ekonomiczną. I co się stanie, gdy tej skuteczności zabraknie?

©℗ Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: *Hineni – oto jestem*

Ostatni album Leonarda Cohena otwiera kołysanka dla cierpienia. Pisał ją poeta gotowy na odejście z tego świata. Wołał: „*Kineni, hineni*, otom ja, jestem gotów mój Panie". Podobnie odpowiadali prorocy, słysząc wezwanie Boga, i w całkowitym oddaniu stawali przed Jedynym.

Jonasz mógł powtórzyć te słowa i zarazem, na podobieństwo Mojżesza i Jeremiasza, tłumaczyć, dlaczego nie jest sposobny do takiej misji. Mógł się podnieść i stanąć w gotowości. Zacząć się modlić. Domagać od swego Pana słów jasnych.

Ten nakaz zawsze wiązał się z ruchem, drogą ku górze, postawą stojącą. Bóg powiedział mu: „Wstań, idź do Niniwy – wielkiego miasta". Tymczasem wszystko, co czynił Jonasz, było wpisane w ruch zstępowania. Najpierw zszedł do portu w Jaffie. Tam zszedł w głąb okrętu, a potem popadł w odrętwienie głębokiego snu, co językowo w hebrajskim związane jest właśnie ze schodzeniem. Sen nie jest tu odpoczynkiem. Jest sposobem na nieobecność.

Dalsze etapy wpisują się w tę logikę. Budzi go kapitan statku. Każe mu wstać i jakoś zareagować na gwałtowny sztorm. Losy wskazują, że sztorm zdarzył się za sprawą Jonasza. Ten postanawia wskoczyć do morza. Utonąć. Przeważa w nim instynkt śmierci. Ucieka przed Bogiem, gotów nawet umrzeć. Tu już nie można mówić o depresji, smutku, ale o przerażeniu, ucieczce przed sobą i nakazem, który go dotknął.

Połknęła go wielka ryba, przez Greków interpretowana jako wieloryb. Ta wielka ryba zdaje się być nieświadomością. Ona prowadzi nas w głąb siebie samych. Odsłania wiedzę, która wychodzi poza krąg rzeczywistego, znanego zdrowemu rozsądkowi. Prowadzi ku nowej samoświadomości.

Przez trzy dni, cały i zdrowy, znajdował się w stanie medytacyjnym. Nie on kierował swoim losem, ale ryba i Bóg, który ją przygotował do wielkiej misji.

Po trzech dniach ryba wyrzuciła go na suchy ląd. Stanął przed królem Niniwy. A ten powstał z tronu. Zdjął suknię, nałożył wór pokutny, posypał głowę popiołem. Król wznosił się do skruchy, do odpowiedzialności. Podjął wysiłek, by zachować autorytet w czasach kryzysu. Powstał z własnej woli. Jest niemal przeciwieństwem proroka. Jonasz podjął misję, ale do końca nie potrafił się z nią utożsamić. Stale się od niej uchylał.

Słowa „wchodzi" i „schodzi" – po hebrajsku *alija* i *jerida* – mają silny sens religijny. O aliji się mówi, gdy ktoś emigruje czy przybywa do Ziemi Świętej, i wtedy, gdy żyd w synagodze jest wzywany do czytania Tory. A to jest już wielkim zaszczytem i wyróżnieniem. *Jerida* wskazuje na osobę, która opuszcza, ucieka z Izraela. Kierunek ruchu Jonasza od początku do końca księgi wskazuje na jedno: on nie chce podjąć się tej misji. Ucieka z ziemi Izraela. Zstępuje.

Dlaczego? Na to pytanie będę dalej szukał odpowiedzi. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Śmierć splotła się z życiem*

Niektórzy teologowie mówią, że te wydarzenia z życia Jezusa, które zgodnie z kalendarzem liturgicznym wspominamy w różnym czasie, nastąpiły jednocześnie. Zarówno śmierć Jezusa, jak i Jego zmartwychwstanie oraz wniebowstąpienie stanowią jedno wydarzenie. Mają o tym świadczyć niepokonane sprzeczności zachodzące w biblijnych opisach tych wydarzeń.

W podobny sposób niektórzy podchodzą również do tego, co i nas niechybnie spotka. Twierdzą nasi uczeni w Piśmie, że nasza śmierć też jest zmartwychwstaniem. To znaczy, że śmierć jest częścią, jednym z etapów życia, a nie jego przerwaniem czy uszczupleniem przez rozbicie tej jedności, jaką stanowi człowiek. Zbigniew Herbert w utworze „Żeby tylko nie anioł" napisał: „Jeśli po śmierci zechcą nas przemienić w zeschły płomyczek, który chodzi po ścieżkach wiatrów – należy zbuntować się. Na nic wiekuisty wypoczynek na łonie powietrza, w cieniu żółtej glorii, wśród mamrotania dwuwymiarowych chórów.

Trzeba wstąpić w kamień, w drzewo, w wodę, w szpary furty. Lepiej być skrzypieniem podłogi niż przeraźliwie przeźroczystą doskonałością".

Nie po to Bóg stworzył świat, żeby go następnie unicestwić. Posłał też swojego Syna nie po to, aby przeprowadził ten niszczycielski zamiar Ojca, ale żeby świat zbawił, to znaczy ze zła wyprowadził dobro. Nie czekamy więc na śmierć świata, ale na jego przeistoczenie się w nową ziemię i nowe niebo. Tak więc Wielkanoc to Pascha, która przypomina Kościołowi, że w każdym ułamku czasu dokonuje się przechodzenie, ale nie ze śmierci do życia, lecz z życia do życia, gdyż śmierć, rozumiana jako unicestwienie, nie istnieje. To dlatego Jezus mógł powiedzieć apostołom: „Pozostawiam wam pokój, obdarzam was moim pokojem. Ale Ja nie obdarzam was w taki sposób, jak czyni to świat. Nie pozwólcie, aby wasze serca były wstrząśnięte i nie lękajcie się. Słyszeliście przecież, co wam powiedziałem: Odchodzę, lecz powrócę do was. Gdybyście Mnie miłowali, to rozradowalibyście się, że idę do Ojca. Ojciec bowiem jest większy ode Mnie".

Słuchając słów Jezusa, trzeba by przyjrzeć się naszym lękom. Uciekając przed nimi, zagłuszając je na różne sposoby, w tym przez mnożenie niekończących się modłów, wyszukane obrzędy, niesamowite emocje i inne tym podobne zabiegi, jak też przez ucieczkę w alkoholizm, narkomanię, ale też pracę, gwiazdorstwo itd., na niewiele się przyda. Przeciwnie, tylko tym lękom dodaje energii. Ukryte w naszych wnętrzach potęgują strach przed życiem, a jeśli jesteśmy religijni, przed Bogiem. „Gdybyście Mnie miłowali – mówi Jezus – to rozradowalibyście się, że idę do Ojca" i że „powrócę do was". Ten powrót Jezusa dokonuje się nieustannie, kłopot zaczyna się wtedy, gdy człowiek tego nie umie dostrzec. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Niebo

Prosta dusza istnieje tylko w miłości, nic nie robi dla Boga i Bogu nie pozostawia nic do zrobienia.

MAŁGORZATA PORETE

Kto pewien jest: „jestem wszystkim od Brahmy po źdźbło trawy”, ten wolny od wyobrażeń, czysty, spokojny, bez troski o to, co osiągnięte i nieosiągnięte.

ASZTAWAKRAGITA

Wybrał PIOTR SIKORA

Liturgia Słowa na święto św. Andrzeja Boboli przyniosła nam końcowy fragment Modlitwy Arcykapłańskiej Jezusa, zapisanej przez św. Jana (J 17, 20-26). Jej ostatni akapit otwiera prośba: „Ojcze, chcę, aby także ci, których Mi dałeś, byli ze Mną tam, gdzie Ja jestem, aby widzieli chwałę moją, którą Mi dałeś, bo umiłowałeś Mnie przed założeniem świata”.

To piękne i poruszające słyszeć, że na progu swojej agonii Jezus modli się o niebo dla mnie. Że życie wieczne musi być naszym życiem z Nim, „byciem tam, gdzie On jest”. Że bez Niego, i bez naszej komunii z Nim, życie wieczne jest niemożliwe. Najpiękniejsze jednak, choć napełniające największą radością dopiero przy dłuższej medytacji, jest stwierdzenie, że wiecznym szczęściem w niebie jest oglądanie chwały Jezusa, a nie... swojej. „Aby widzieli chwałę Moją”!

Niebo ma być ostatecznie nieustanną radością z wywyższenia Jezusa, a nie kontemplacją otrzymanej przez siebie nagrody; nie szczęściem płynącym z usłyszanej od Boga pochwały: „Dobrze, sługo dobry i wierny”; nie zachwytem nad katalogiem własnych cnót, które znalazły ostateczne uznanie i potwierdzenie ze strony Najwyższego Sędziego.

Nie: niebo ma być w swej najgłębszej istotnej treści oglądaniem Chwały Jezusa. Nareszcie bez zajmowania się sobą. W pełnej wolności od szukania siebie. W pełnej bezinteresowności. Bez najmniejszego pragnienia ugrania czegoś dla siebie. W całkowitym odwróceniu się od siebie i w pełnej koncentracji na Nim i na Jego Chwale. Właśnie z tego szczęścia jesteśmy najczęściej okradani tu na ziemi.

Owszem, zwykle podejmujemy jakieś dzieła czy zmagania, pracę czy zaangażowanie, kierowani najczystszą intencją: chcemy czynić coś dla Pana lub z miłości do bliźnich. Potem jednak, jak w przypowieści o pszenicy i chwaście, Nieprzyjaciel sieje w nas inne motywacje: pretensje do bycia zauważonym i docenionym, oczekiwanie gratyfikacji i uznania, aż po grubą i bezwstydną interesowność. Jedno i drugie „rośnie w nas aż do żniwa”. W końcu „otrzymujemy już tutaj swoją nagrodę” (zob. Mt 6, 2. 5 i 16), która po jakimś czasie odbiera nam całą radość z wykonanego dzieła i sprawia, że ciężko nam bez wstydu popatrzeć w lustro.

Jak dobrze wiedzieć, że ta udręka kiedyś się skończy. To rozdarcie między miłością do Boga i ludzi a nieuporządkowaną miłością własną. Zmaganie między bezinteresownym byciem dla innych a przybierającym się za taką postawę szukaniem samego siebie. Kiedyś się skończy. I już nie wróci na wieki wieków. Właśnie tak musi wyglądać niebo.

PS. Chcę się jeszcze podzielić emocją z procesji św. Stanisława. Myślę, że nie ja jeden wędrowałem z Wawelu na Skałkę, wracając w duchu do pierwszego wymiaru tej drogi. Wszyscy wiemy, że u swego początku procesja skałeczna była pielgrzymką pokutną, ekspiacją za grzech króla Bolesława. Pewnie, że łatwiej jest wzywać do pokuty królów niż samemu, w pełnej prawdzie, nie na pokaz, ruszyć w pokutną drogę, uznając swoje winy; i współwiny. Jestem pewien, że wielu z nas szło w niedzielnej procesji w tym właśnie kluczu. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (26 V – 2 VI)

6. niedziela wielkanocna: Dz 15, 1-2. 22-29; Ps 67; Ap 21, 10-14. 22-23; J 14, 23-29;
Poniedziałek: Dz 16, 11-15; Ps 149; J 15, 26 – 16, 4a;
Wtorek: Dz 16, 22-34; Ps 138; J 16, 5-11;
Środa: Dz 17, 15. 22 – 18, 1; Ps 148; J 16, 12-15;
Czwartek: Dz 18, 1-8; Ps 98; J 16, 16-20;
Piątek: Rz 12, 9-16b; Iz 12; Łk 1, 39-56;
Sobota: Dz 18, 23-28; Ps 47; J 16, 23b-28;
Uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego: Dz 1, 1-11; Ps 47; Hbr 9, 24-28; 10, 19-23; Łk 24, 46-53.

I TY BĘDZIESZ MIEĆ EMERYTURĘ OBYWATELSKĄ

AGNIESZKA CHŁOŃ-DOMIŃCZAK, EKONOMISTKA:

Ilekroć w polskiej debacie publicznej pojawiają się emerytury, mowa albo o budżecie, albo o kosztach pracy. Jak gdyby w tej sprawie nie chodziło o ludzi.

MAREK RABIJ: Wolałbym uniknąć w rozmowie narzekania i grobowych prognoz.

AGNIESZKA CHŁOŃ-DOMIŃCZAK: Podobnie jak ja.

To co? Chyba musimy kończyć.

Niech pan nie żartuje. Nie ma z czego.

„O umarłych nic albo dobrze"?

Nie przesadzajmy. Z polskim systemem emerytalnym nie jest najlepiej. Ale moim zdaniem nie jest wcale za późno, żeby go uporządkować w taki sposób, żebyśmy za kilkadziesiąt lat nie ocknęli się w kraju, w którym miliony seniorów nie mają z czego żyć. Mamy po temu solidne filary. Reforma z 1999 r. wprowadziła ważną zmianę: emerytura jest od tej pory pochodną sumy składek, które ubezpieczony odłożył na swoich kontach we wszystkich filarach systemu. Ile zgromadzisz, tyle w uproszczeniu będziesz mieć na starość do dyspozycji. To założenie stabilizuje system emerytalny i miało zachęcać Polaków do dłuższej aktywności zawodowej.

Miało?

Bo system modyfikowano, usuwając zeń właściwie całkowicie część kapitałową, co moim zdaniem było błędem. Potem doszło jeszcze obniżenie wieku emerytalnego, które już trudno nazywać inaczej niż katastrofą. W efekcie ludzie przestali mieć zaufanie do systemu i odchodzą na emeryturę tak szybko, jak to jest możliwe. Większość krajów w Europie podnosi tymczasem wiek emerytalny, część również wprowadziła zasadę, że wiek ten rosnąć ma proporcjonalnie do statystycznej długości życia. Wszędzie, poza Polską i Rumunią, wyrównuje się też wiek emerytalny kobiet i mężczyzn. Żaden kraj w Europie w ostatnich latach nie zdecydował się jednak na to, co zrobiła Polska, czyli na obniżenie wieku emerytalnego i ponowne zróżnicowanie ze względu na płeć. Chyba nie muszę tłumaczyć dlaczego?

Dla porządku wyjaśnijmy.

Źródłem wszystkich problemów współczesnych systemów emerytalnych jest oczywiście demografia. Jest nas coraz mniej, zatem nawet większa dzietność nie może zaowocować odtworzeniem populacji sprzed kilku dekad. Przyznało to ostatnio nawet Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Trzeba również pamiętać, że Polacy coraz częściej mają inne priorytety życiowe niż kilka pokoleń wstecz. Jeśli zalicza się do nich wychowanie dzieci, to raczej jako proces skoncentrowany na jakości tego wychowania, a nie liczbie potomstwa.

Jednocześnie we wszystkich krajach rozwiniętych dzięki postępom medycyny rośnie długość życia. Statystyczny Polak po przejściu na emeryturę żyje obecnie 15 lat. Polka aż 25 lat. Jeśli pan nałoży następnie te dwa zjawiska na siebie, czyli mniej młodszych i więcej starszych, stanie się jasne, że system w pewnym momencie musi się przestać bilansować, jeżeli nie ma mechanizmów, które go dostosowują do zmian demograficznych.

Zmiany, o których mówię, zachodzą oczywiście stopniowo, dając nam szansę na przygotowanie się do nich. Szkopuł w tym, że politycy widzą świat w perspektywie czteroletniej, czyli do kolejnych wyborów. Myśląc o demografii trzeba tymczasem posługiwać się perspektywą kilku dekad. Wszystkie prognozy demograficzne, które znam, wskazują na to, że dopiero teraz wchodzimy w okres, kiedy gwałtownie wzrośnie liczba eme-

CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA GAZETA

rytów, a jednocześnie bardzo szybko będzie ubywać Polaków w wieku produkcyjnym, czyli tych, którzy płacą składki emerytalne. Nasz system jest tak skonstruowany, że dostosowuje się do zmian demograficznych, ale przy utrzymaniu niskiego wieku emerytalnego oznacza to po prostu niskie emerytury.

Te same, jeśli nie większe problemy demograficzne mają bogatsze od nas społeczeństwa Europy Zachodniej, ale w niektórych krajach tzw. stopa zastąpienia, czyli relacja wysokości pierwszej emerytury do ostatniej pensji, sięga nawet 80 proc. W Polsce niebezpiecznie zbliża się tymczasem do 60 proc. i maleje.

Rzeczywiście, stopa zastąpienia w Polsce będzie maleć w efekcie stopniowego wdrażania nowego systemu emerytalnego, choć nawiasem mówiąc, dziś wygląda całkiem dobrze na tle innych krajów. Najistotniejsze jest to, że w 1999 r. powiedzieliśmy sobie, iż tworzymy system emerytalny, który nie obiecuje więcej, niż może wypłacić. Jeśli Zakład Ubezpieczeń Społecznych podaje, że za 20 lat przechodząc na emeryturę dostanie pan, powiedzmy, 40 proc. ostatniej pensji, to opiera tę prognozę na twardych danych o wysokości kapitału, jego indeksacji i zmianach demograficznych. Tymczasem we Francji, Niemczech czy chociażby na Węgrzech system emerytalny opiera się na założeniach demograficznych, które już teraz trzeba uznać za nierealne. W modelu *pay-as-you-go*, który tam obowiązuje, pracujący finansują bowiem obecnych emerytów z nadzieją, że na ich świadczenia złożą się kolejne pokolenia. W tym systemie wszelkie szacunki wartości kapitału, który będzie do dyspozycji za kilkadziesiąt lat, są obarczone gigantycznym marginesem błędu.

Czy błędem polskiego systemu nie jest to, co niedawno ujawniła prezes ZUS: że aż 58 tys. emerytów dostało w zeszłym roku świadczenia poniżej minimalnej gwarantowanej przez państwo emerytury, która wynosi obecnie 1,1 tys. zł brutto miesięcznie?

Najniższą emeryturę dostają ci, którzy nie mają minimalnego stażu – 20 lat kobiety, 25 lat mężczyźni. W nowym systemie dostają oni świadczenie za wpłacone składki, ale bez gwarancji kwoty minimalnej. W starym systemie w ogóle nie dostaliby emerytury. Ryzyko otrzymywania minimalnej emerytury rośnie także ze względu na niski wiek emerytalny. Kobiety, które będą przechodzić na emeryturę w wieku 60 lat, mogą nie uzbierać składek w wysokości, która zapewni im choćby minimalne świadczenie przez długi okres jego pobierania. System, który stworzono w 1999 r., premiuje długą obecność na rynku pracy. Niektórzy emeryci pobierają ponad 20 tys. zł miesięcznie, np. kobieta, która złożyła wniosek o emeryturę w wieku 81 lat, a przedstawiła dokumenty potwierdzające 61 lat stażu pracy.

Jednocześnie spośród ok. 5,7 mln polskich emerytów już 227 tys. dostaje emeryturę poniżej minimalnej. W dodatku ich liczba dynamicznie rośnie – w ciągu ostatnich ośmiu lat aż dziewięciokrotnie.

Proszę pamiętać, że reforma emerytalna to proces. W 1999 r. przestawiliśmy wajchę z systemu w pełni repartycyjnego w stronę takiego, który wysokość emerytury uzależnia od wysokości uzbieranych składek. I jak wspomniałam wcześniej, w starym systemie takie osoby w ogóle ↦

↦ nie dostałyby emerytur. Wiem, że dziś można przypiąć temu rozwiązaniu neoliberalną gębę...

Od razu gębę. Doradcą rządu Cimoszewicza, który zaczął prace nad reformą emerytalną, był urzędnik Banku Światowego lobbującego właśnie za takim rozwiązaniem.

Przede wszystkim świetny ekspert i Polak, skupiony na rozwiązaniach dobrych z punktu widzenia Polski. Mnie pan nie namówi na krytykę tego systemu, bo go współtworzyłam i nadal uważam za dobry – nie skopiowaliśmy modelu Banku Światowego, ale przygotowaliśmy rozwiązanie z myślą o polskich realiach. Podkreślam to kolejny raz: reforma miała jak najdłużej zatrzymywać ludzi na rynku pracy, aby odwrócić powszechny wówczas trend bardzo wczesnego przechodzenia na emeryturę i powiązać wysokość świadczeń z wpłacanymi przez całe życie składkami.

Przyszedł jednak kryzys z początku stulecia, rozszalało się bezrobocie i dla wielu Polaków emerytura zaraz po przekroczeniu wieku uprawniającego do świadczenia stała się jedynym realnym pomysłem na przyszłość. Na początku wieku waloryzacja emerytur była wyższa od wzrostu wynagrodzeń, ze względu na ówczesny kształt przepisów emerytalnych. Efekt był oczywiście taki, że więcej pieniędzy wypływało z systemu, niż doń wpływało, choć założeniem reformy było stopniowe bilansowanie strony wydatkowej z przychodową. Następnie przy okazji dwóch kolejnych wyborów odłożono na półkę likwidację wcześniejszych emerytur, co znów pogłębiło deficyt systemu emerytalnego. Zasypywano tę dziurę oczywiście poprzez zwiększanie deficytu budżetowego, aż w końcu rząd Tuska stanął przed decyzją o konieczności przycięcia części kapitałowej systemu, czyli wielkości składki przekazywanej otwartym funduszom emerytalnym. Zdecydowano się na to z pełną świadomością, że systemowi wymierza się cios, z którego się już nie podniesie.

Pamiętam ministra Rostowskiego, który przekonywał, że to absurd, żeby z budżetu szły do prywatnych inwestorów, jakimi są OFE, miliardy złotych, za które fundusze kupują potem i tak głównie... obligacje Skarbu Państwa, które rząd musi potem wykupić z odsetkami.

AGNIESZKA CHŁOŃ-DOMIŃCZAK:

Obawiam się, że emerytura obywatelska zbliżyłaby się w naszych realiach niebezpiecznie do socjalistycznego „czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy".

I widzi pan, tu się z ministrem Rostowskim nie zgadzam. Bo po pierwsze, pieniądze dla OFE nie pochodziły z budżetu, ale ze składek ubezpieczonych. Zresztą nie ma czegoś takiego jak pieniądze budżetu. To, czym obraca rząd, zawsze pochodzi z danin publicznych, którymi jesteśmy obciążani jako obywatele lub konsumenci.

Po drugie, zysk na tej operacji powiększał przecież wartość kont emerytalnych ubezpieczonych i właśnie o to chodziło w reformie. Zresztą w systemach emerytalnych, w których składki zatrudnionych idą w całości na wypłaty dla aktualnych emerytów, państwo również wypłaca pewnego rodzaju odsetki poprzez mechanizm waloryzacji.

Pytanie brzmiało wtedy inaczej: co się bardziej opłaca. Wyniki finansowe OFE dawały, delikatnie mówiąc, umiarkowane powody do optymizmu.

Ale te pieniądze realnie tam pracowały na naszą korzyść. Oczywiście, każdy z nas może też samodzielnie zainwestować w obligacje państwowe, ale nie mamy szansy, żeby negocjować z emitentem, czyli Skarbem Państwa, ich ceny. Tymczasem OFE kupowały tych papierów na tyle dużo, żeby wypracować wyższą rentowność. W systemie bez części kapitałowej, jaki *de facto* mamy dzisiaj, emeryt znów jest petentem czekającym na to, co mu da rząd. Ten kapitałowy był kosztowny, ale także pewniejszy, bo sprzedanych obligacji rząd nie mógł wykupić taniej, niż obiecał, nie ryzykując obniżenia zdolności kredytowej na przyszłość. Tymczasem dziś nikt z nas nie ma pewności, czy rząd nie zamrozi nagle rewaloryzacji albo nie wykona innego ruchu, który zapewni mu chwilową poprawę sytuacji budżetowej. Oczywiście kosztem przyszłych emerytów.

To mnie, nawiasem mówiąc, najbardziej w tym wszystkim przeraża. Ilekroć w polskiej debacie publicznej pojawiają się emerytury, mowa albo o budżecie, albo o kosztach pracy. Jak gdyby w tej sprawie nie chodziło o ludzi! Rządzący nie tłumaczą obywatelom, co zrobić, żeby na starość nie klepać biedy. Symulacje dotyczące wysokości przyszłych emerytur wręcz chowa się pod stół. Żeby się wyborca nie zdenerwował i nie doszedł do wniosku, że to wina rządu.

Z symulacji przygotowanych przez fundację GRAPE wynika, że po obniżeniu wieku emerytalnego do 60 lat dla kobiet i 65 dla mężczyzn niemal trzy czwarte osób urodzonych w latach 80. będzie mieć na starość emeryturę minimalną. Obecni 40-, 50-latkowie, urodzeni dekadę wcześniej, nie będą w dużo lepszym położeniu, bo średnio sześciu na dziesięciu też wyląduje na emeryturze minimalnej.

Robiłam podobne szacunki, wspólnie z Pawłem Strzeleckim. Mogę powiedzieć jedno: GRAPE się niestety nie myli. Dotyczy to zwłaszcza kobiet, które w Polsce wciąż zarabiają średnio kilkanaście procent mniej od mężczyzn, dodatkowo zaś obciąża je zakorzenione w naszej kulturze przekonanie, że to na nich spoczywa ciężar opieki nad dziećmi, a dzisiaj również często nad starszymi rodzicami wymagającymi opieki. W rezultacie przeciętna Polka w trakcie aktywności zawodowej gromadzi o kilkadziesiąt tysięcy złotych mniej na kontach emerytalnych od mężczyzny w tym samym wieku. Stopa zastąpienia w przypadku kobiet jest już dziś o około 10 punktów procentowych niższa niż w przypadku mężczyzn. A potem te kobiety żyją jakieś 10 lat dłużej od mężczyzn i odłożone pieniądze muszą im wystarczyć na tyle dłużej. Słyszał pan o jakimś konkretnym projekcie rządowym, który by tę dysproporcję próbował przynajmniej ograniczyć? Owszem, wprowadzono w 2013 r. urlopy rodzicielskie, po to, żeby zachęcić ojców do opieki nad dziećmi. W większości gospodarstw domowych to mężczyźni zarabiają jednak więcej i gdy trzeba zdecydować, kto zostanie w domu, z reguły pada na kobietę. Koło się zamyka.

Nie wydaje się Pani, że to największa porażka polskiej reformy emerytalnej? Polacy nie wierzą już,

że emerytury mogą być dla nich realnym wsparciem na starość.

Coś w tym jest. Większość zmian w systemie emerytalnym po 1999 r. była podyktowana doraźną sytuacją ekonomiczną lub interesem partii rządzącej. Rzadko natomiast kryterium był interes ubezpieczonych – przyszłych emerytów, choć oczywiście za każdym razem poprawki sprzedano podatnikom jako ich zysk. Wiedza o funkcjonowaniu państwa jest niestety na tyle niska, że takie działania uchodzą politykom bezkarnie. Większość Polaków nie rozumie, że finanse publiczne to naczynia połączone i zysk w postaci obniżonego wieku emerytalnego, jakim kusi teraz rządząca partia, za kilkanaście lat może poskutkować wzrostem ubóstwa osób starszych, a także wzrostem podatków, którymi kolejna ekipa będzie musiała łatać rosnący deficyt budżetowy i transfery.

Podatnicy już dziś dopłacają do systemu około 45 mld zł rocznie. A we wspomnianych analizach fundacji GRAPE znalazłem informację, że obniżenie wieku emerytalnego za jakieś 20 lat okupimy wzrostem VAT do ok. 29 proc.

Dokładamy nie tylko do emerytur, ale także do świadczeń macierzyńskich i chorobowych. Każdą prognozę długoterminową trzeba przyjmować z ostrożnością, ale takie zagrożenie na pewno należy uznać za realne. Prognozy demograficzne są stosunkowo najbardziej wiarygodne. Zgodnie z szacunkami Eurostatu za około dziesięć lat liczba osób w wieku produkcyjnym (20-64 lata) zmaleje o około 7 proc. W kolejnej dekadzie spodziewam się spadku o kolejne 4,6 proc. A w dwóch następnych – po około 10 proc. Średnio daje to spadek liczby aktywnych zawodowo rzędu 1,5-2 proc. rocznie!

Trzeba powiedzieć to sobie wprost: system emerytalny oparty jedynie na stałym opodatkowaniu pracy jest przeżytkiem. Sprawdzał się w czasach Bismarcka i nieco później, w okresie tzw. dywidendy demograficznej, kiedy pracujących było wielokrotnie więcej niż pobierających emeryturę, a długość życia na tej emeryturze wynosiła kilka lat, nie ćwierć wieku, jak dzisiaj. Musimy też pamiętać o zmianach na rynku pracy. W Europie etat na czas nieokreślony nadal jest czymś oczywistym, ale niech pan spojrzy na to, co się dzieje w USA czy Azji. Obawiam się, że tylko optymista może zakładać, że Polsce uda się w pojedynkę przeciwstawić tym trendom i nasze dzieci też będą pracować na etatach.

ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA GAZETA

DR HAB. AGNIESZKA CHŁOŃ-DOMIŃCZAK jest ekonomistką, urzędnikiem państwowym. W latach 2004-05 i 2008-09 podsekretarz stanu w resortach zajmujących się polityką społeczną. W 2009 r. dostała Nagrodę im. Andrzeja Bączkowskiego przyznawaną osobom, które stanowią wzór służby publicznej.

Moim zdaniem zmierzamy w nieunikniony sposób do systemu opartego na emeryturze obywatelskiej, niskim świadczeniu, które wszyscy dostają w jednakowym wymiarze, bez względu na to, ile zaoszczędzili. To niesprawiedliwe, ale przynajmniej wykonalne.

Emerytura obywatelska to dobre rozwiązanie dla jednych społeczeństw, a złe dla innych. W Polsce mamy już teraz bardzo niski wskaźnik aktywności zawodowej. Praca nigdy nie była nad Wisłą wysoko ceniona. Obawiam się, że emerytura obywatelska zbliżyłaby się w naszych realiach niebezpiecznie do socjalistycznego „czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy".

Coś jednak trzeba zrobić, żeby za kilkanaście lat na polskich ulicach nie zaroiło się od żebrzących staruszków. Może zrezygnować z opodatkowania emerytur?

Nie można. Bo kapitał, który na nie odkładamy, nie jest opodatkowany. Trzeba za to jak najszybciej podnieść wiek emerytalny, a także wprowadzać zmiany na rynku pracy sprzyjające mobilności zawodowej i utrzymaniu zdolności do pracy w wieku 60 i więcej lat. Niezbędne jest także doprowadzenie do tego, że oszczędzanie na emeryturę będzie powszechne. Mam nadzieję, że Pracownicze Programy Kapitałowe będą nas do tego zbliżać.

Co z KRUS-em?

Myślę, że bez względu na problemy polityczne, jakie taki krok może wywołać, doczekamy się szybko ściślejszego powiązania wysokości składek na KRUS z wysokością zarobków ubezpieczonych. Rolnicze emerytury w dotychczasowym kształcie kosztują nas, podatników, bardzo dużo, a w dodatku przestają mieć uzasadnienie społeczne. Bo dlaczego niska, zryczałtowana składka ma przysługiwać rolnikowi gospodarującemu na setkach hektarów, podczas gdy szewc z trudnością wiążący koniec z końcem musi co miesiąc płacić na ZUS kwotę nieporównywalnie wysoką do jego zarobków?

Idźmy dalej. Emerytury mundurowe?

Emerytura dla często zdrowych 40-, 50-latków to jest w dzisiejszych czasach absurd. Wie pan, że w niektórych krajach NATO koszty emerytur rosną kosztem wydatków na zbrojenia? Nie ma powodu, żebyśmy pozwalali iść na emeryturę, nawet niską, 40-latkowi po 15 latach pracy w policji. Wiele państw stawia po prostu na pomoc w przekwalifikowaniu, żeby osoby, które już nie mogą służyć krajowi w mundurze, mogły pracować w cywilu.

System emerytalny musi być bardziej elastyczny, żeby pasował do realiów gospodarki, która zmienia się błyskawicznie. I musi już na stałe opierać się na założeniu, że jego integralną częścią są też osobiste oszczędności.

Państwo, poprzez daniny zbierane od tych, którzy pracują, już nas wszystkich nie utrzyma.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

Nie wszyscy wierzący głosują na PiS

JAROSŁAW FLIS

Antyklerykalna gorączka może zniechęcić do pójścia na wybory tych, którzy dostrzegają problem swojego Kościoła, nie zaś okazję do zwalczania nielubianej instytucji.

Jeszcze na dwa tygodnie przed wyborami do Parlamentu Europejskiego wydawało się, że zapanowała stagnacja, spodziewanych przełomów brak i sytuacja wygląda na względnie stabilną. Potem nastąpiło małe preludium dalszych wstrząsów: wystąpienie Donalda Tuska przyćmione przez antyklerykalną szarżę Leszka Jażdżewskiego i zatrzymanie Elżbiety Podleśnej. Zdawało się jednak, że – niezależnie od towarzyszących tym zdarzeniom emocji – w przeciąganiu liny nie dojdzie do żadnego mocnego szarpnięcia, wszystkie strony jedynie napną muskuły, ale dalej będą tkwić w koleinach wyżłobionych w trakcie ostatnich trzech, jeśli nie 30 lat rywalizacji.

Film braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu", choć zapowiadany od dawna, zupełnie zmienił atmosferę. Uruchomił szereg pytań, których waga wcale nie jest taka sama dla wszystkich uczestników debaty. Najbliższe tematowi filmu jest pytanie, co z problemem pedofilii. Pytanie drugie dotyczy instytucji, jaką jest Kościół. Trzecie – wiary jako bazy kluczowego zjawiska społecznego, czyli wspólnotowego konserwatyzmu. Dalsze kwestie wiążą się z szeroko rozumianą polityką i wpływem filmu na stan równowagi obecnych w niej sił oraz nadchodzącymi wyborami do Parlamentu Europejskiego. Każdy z tych pięciu problemów jest powiązany z pozostałymi, choć każdy z nich będzie dla jakiejś grupy ludzi ważniejszy niż pozostałe. Trudno mówić o nich na chłodno, nie patrząc przez pryzmat bieżących interesów. Niemniej próbować trzeba.

Nie sposób uciec od refleksji, że choć dla wielu osób sam film był wstrząsem, a najważniejszy stał się los ofiar, to dla innych istotniejsze okazuje się pytanie ostatnie: o wybory. To ono ustawia ich sposób myślenia o pozostałych kwestiach. To właśnie temat wyborów jest obecny we wszystkich mediach. Fakt, że mamy do czynienia z instrumentalizacją czyjegoś cierpienia, wart jest odnotowania.

Łatwe uogólnienia

Wiele wskazuje na to, że w obliczu takiego kryzysu procedury zapobiegania zagrożeniu pedofilią będą wreszcie traktowane z największą powagą. Powagą wynikającą z przekonania, że im większe dobro może czynić dana instytucja, tym bardziej grozi jej pokusa, by swoją moc wykorzystać do partykularnych czy zgoła przestępczych celów. Sędziowie, policjanci czy lekarze – wiemy doskonale, jak bezsilni możemy być wobec ich nadużyć i jak trudno jest z takimi nadużyciami walczyć. Księża też należą do tej grupy. Gdy obecny rząd w sporze o status sądów problem systemowy przekuwał na akt oskarżenia wobec całej grupy zawodowej, uznano to za niedopuszczalne nadużycie i cynizm w zabieganiu o poszerzenie władzy. Z faktu, że sądy miały problem z karaniem przestępstw we własnym środowisku, nie wynika, że każdy sędzia dopuszcza się przestępstwa. Także w przypadku księży trzeba unikać łatwych uogólnień. Niemniej kryzys może wywołać nie tylko zamęt, ale i sprawić, że działania oczyszczające nabiorą rozpędu.

Mało kto jest w swoich reakcjach wolny od odniesień do zbliżających się wyborów, choć ich waga nie jest wielka, a decyzje zapadające w Parlamencie Europejskim nie mają bezpośredniego związku ani z samym problemem pedofilii, ani nawet ze statusem Kościoła. Chodzi jednak także o ekspresję głosu – wyborcy idą do urn nie tyle po to, by zdecydować, kto zostanie europosłem, ile po to, by ocenić rząd i opozycję oraz wyrazić zdanie o najszerzej pojmowanej polityce. Pokazać, kto zasłużył na zwycięstwo, a kto na porażkę, rozumiane jako utrzymanie czy utrata władzy. Dlatego wybory do Parlamentu Europejskiego są tak istotne dla polityki w kolejnych miesiącach, w szczególności dla jesiennych wyborów sejmowych. Majowe głosowanie może przynieść i rozpęd, i zamęt. Rozpęd, który będzie udziałem zwycięzcy, i zamęt, który zapanuje wśród przegranych. Ważnym elementem są też sami liderzy partyjni i ich najbliższe otoczenie. Wkrótce przekonamy się, czy wynik wyborów skłoni ich do zastanowienia się, czy dotychczasowe strategie zaprowadzą ich do zwycięstwa jesienią, czy może wymagają zmiany.

Dzieje się tak dlatego, że wybory do Parlamentu Europejskiego będą miały na pewno frekwencję niższą niż wybory do Sejmu i Senatu. Dlatego partie starają się mobilizować stały elektorat, przekonywać, że gra toczy się o najwyższą stawkę, pobudzać emocje, strasząc symbolicznym zwycięstwem drugiej strony. Partie opozycyjne mają tu pewną przewagę – doświadczenia innych krajów pokazują, że łatwiej mobilizować przeciwko rządzącym, choć różnica

MACIEJ KOSYCARZ / KFP / REPORTER

Spotkanie kandydatów Koalicji Obywatelskiej do Parlamentu Europejskiego z Lechem Wałęsą. Stoją od lewej: Michał Wawrykiewicz, Dariusz Rosati, Jarosław Duda, Andrzej Halicki, Radosław Sikorski. Siedzą: Joanna Frydrych, Mirosława Nykiel, Lech Wałęsa, Joanna Skrzydlewska. Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk, 29 kwietnia 2019 r.

nie jest wielka. W Polsce, poza oceną obecnego rządu, rolę w mobilizacji wyborców może odegrać inna ważna kwestia.

Szczęście patrycjusza

Jest to stosunek do dominacji – nie tyle tej sprawowanej przez rządzących, ile dominacji grup w społeczeństwie. Dominacji bogatszych i lepiej ustawionych nad tymi, którzy po prostu żyją gorzej. Niekoniecznie biednie, ale z poczuciem, że ich wpływ na rzeczywistość jest mniejszy, ich głos nie liczy się tak bardzo, a wychwalany sukces nie jest ich udziałem. Nie tylko zresztą w Polsce narasta napięcie pomiędzy dominującą częścią społeczeństwa – bogatszą i uważającą się za bardziej oświeconą – a przeważającą liczebnie resztą; nazwijmy je roboczo patrycjatem i ludem.

Trudno ustalić, co miałoby ulżyć ludowi, dość łatwo natomiast określić, jak postępowy patrycjat wyobraża sobie szczęście. Uważa on, że lepiej by sobie poradził bez wspólnotowych ograniczeń – zarówno w ekonomii, jak i w obyczaju. Ograniczeń, w których akurat spora część ludu dostrzega nadzieję na poprawę lub choćby utrzymanie swojego dobrostanu. Tymczasem z ust Leszka Jażdżewskiego słyszy: „Każdy dzień rządów opresyjnej, konserwatywnej ideologii przybliża Polskę do obyczajowej rewolucji". W tej perspektywie rządy PiS są wspaniałe, bo dają nadzieję na zamęt, a potem dzięki uzyskanemu rozpędowi na realizację marzenia liberałów, do którego od ćwierć wieku nie są w stanie przekonać większości.

Słuchając argumentów padających w zamęcie i konfuzji wywołanych filmem, widzimy, że największym zagrożeniem jest wpisanie sprawy religii w podział ustalony według społecznej hierarchii. Taki, gdzie patrycjusze gardzą zabobonnym ciemnym ludem, zaś lud zaczyna myśleć o instytucjach religijnych bezkrytycznie, traktując je jako ostatnich obrońców swojej godności.

Wytykany często przez opozycję sojusz pomiędzy PiS a polskim Kościołem ma wymiar ściśle polityczny. Sojusz ten nie jest wcale tak oczywisty, jak chcieliby ci, którzy o niego dbają, oraz ci, którzy na przeciwstawianiu się mu budują swój wizerunek. Na pewno PiS-owi zależy na poparciu Kościoła dużo bardziej niż innym partiom. Oczywiście nie brakuje w nim osób autentycznie zatroskanych o stan wiary i związanej z nią instytucji, która – czemu trudno zaprzeczyć – ma przecież otwartych przeciwników. Lecz widać tu też stary problem opisywany przez Alexisa de Tocqueville'a w jego dziele „Dawny ustrój i rewolucja". Pisał on o francuskich królach, którzy wspierali materialnie Kościół w zamian za błogosławieństwo dla ich praw, nawet jeśli sami nie stosowali się do kościelnych zaleceń.

Za głosem elektoratu

To także pójście za głosem własnego elektoratu. Zdecydowana większość osób głosujących na PiS deklaruje się jako osoby wierzące. Jednak nawet jeśli byłoby to 90 proc. elektoratu tej partii, nie znaczy to wcale, że wszyscy wierzący głosują na PiS – według sondaży czyni tak 40 proc. regularnie praktykujących Polaków. Istotna ich część w ogóle nie głosuje (wszak frekwencja ledwo przekracza 50 proc.), reszta zaś popiera inne partie – w proporcjach niewiele mniejszych niż PiS. Stąd i w samym Kościele, i wokół niego, zwłaszcza w warunkach intensywnego sporu, nie brakuje osób, dla których jednoznaczne opowiedzenie się części biskupów czy proboszczów po stronie PiS budzi wyraźny sprzeciw.

Wielu duchownych wspiera partię rządzącą właśnie dlatego, że zwyciężyła w wyborach i rządzi. Dużo osób ma jednak świadomość, że ten stan nie będzie trwał wiecznie. Zwłaszcza wobec wielu złych i głupich decyzji, które podjęto w ostatnich trzech latach oraz wielu podgrzewanych konfliktów, które mogły mieć jakieś wytłumaczenie dla partii opozycyjnej, ale straciły rację bytu dla partii rządzącej. To wszystko oznacza, że prędzej czy później PiS straci władzę, a zwycięzcy będą patrzeć nieprzychylnie na jego wcześniejszych sojuszników. Nie jest wykluczone, że wzbudzone przez film reakcje mogą paradoksalnie doprowadzić do depolityzacji wiary. Podważą i rozbiją sojusz Kościoła i partii rządzącej, bo po obydwu stronach zabraknie przekonania, że bliskie związki z drugą stroną przynoszą więcej korzyści niż ryzyka. ↦

↦ Tu warto wrócić do zupełnie chybionych uproszczeń na temat natury poszczególnych elektoratów. Skoro dalece nie wszyscy wierni popierają PiS, to również wśród elektoratów pozostałych partii osoby wierzące tworzą znaczące grupy. Nawet wśród wyborców popierających otwarcie antyklerykalną Wiosnę co czwarty deklaruje się jako osoba regularnie praktykująca. W Platformie Obywatelskiej, głównej konkurencji PiS, pomimo strat na prawym skrzydle ciągle ponad połowa jej wyborców deklaruje się jako praktykujący katolicy – jako niewierzący tylko jedna dziesiąta.

Dlatego gorączka wywołana przez ostatnie wydarzenia może mieć nieprzewidziane skutki. Jeśli część osób o głęboko antyklerykalnych poglądach pójdzie tropem prostych uogólnień, uderzających nie w samych winnych, lecz we wszystkich wiernych, skonsoliduje to ich środowiska w zamiarze udziału w wyborach, ale jednocześnie doprowadzi do demobilizacji umiarkowanych zwolenników opozycji. Tych, którzy dostrzegają po filmie braci Sekielskich problem swojego Kościoła, nie zaś okazję do przyłożenia instytucji ucieleśniającej wszystko, czego w życiu publicznym się nie lubi.

Ogłoszone na tydzień przed wyborami sondaże są ważnym ostrzeżeniem. To najpewniej po zdjęciach z bardzo zadowolonym z siebie Leszkiem Jażdżewskim poleciała w dół wiarygodność Tuska, Schetyny i Kosiniaka-Kamysza. W sondażu IBSP Koalicja Europejska zyskała wyraźną przewagę nad PiS, jednak nie dlatego, że jej poparcie znacząco wzrosło, tylko dlatego, że PiS stracił na rzecz radykalnej Konfederacji.

Wstrząs i powrót do równowagi

Raz jeszcze wypada przypomnieć o zjawisku, które umyka w ogniu retoryki. Zarówno społeczne efekty wiary, jak i podziały ekonomiczne związane z wykształceniem i sytuacją materialną ciągle nie są w Polsce tak głębokie, jak opisują to najbardziej zagorzali zwolennicy po obydwu stronach sporu. Być może właśnie dlatego nasze podziały polityczne są względnie stabilne. Z jednej strony realne napięcia społeczne są w nich obecne i wiele osób się przez to w nich odnajduje. Ale jednocześnie nie brakuje osób, które potrafią wczuć się w sytuację drugiej strony i które tworzą bufor przeciwdziałający radykalizacji.

Film Sekielskich wywołał wstrząs. Ale wstrząsem była też katastrofa smoleńska albo niedawna śmierć prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Gdy spojrzymy na to z dzisiejszej perspektywy, widzimy, że nie naruszyły one stanu równowagi, choć nie sposób powiedzieć, że nie miały wpływu na późniejsze wydarzenia. Skala tego wpływu zależy w głównej mierze od tego, jak zareagują poszczególne strony. Jakie będą proporcje pomiędzy tymi, dla których jest to sygnał do walki, a tymi, dla których stanowi raczej powód do przemyślenia własnego postępowania i tego, czego mogą się spodziewać po innych.

© JAROSŁAW FLIS

Nie bądź niegrzeczna

ANNA GOLUS

Najwyższy czas skończyć nie tylko z ukrywaniem pedofilii w Kościele, ale też z jedną z jej przyczyn: wychowywaniem do uległości i posłuszeństwa. Z kulturą lekceważenia dzieci.

Wszyscy dorośli byli kiedyś dziećmi, ale niewielu z nich o tym pamięta" – stwierdził Antoine de Saint-Exupéry w „Małym księciu". W prozie realnego życia jest inaczej – wszyscy dorośli byli kiedyś dziećmi, ale wielu z nich pamięta tylko to, co chce pamiętać.

Wielu dorosłych wie na przykład, że jako dzieci byli bici, ale nie pamiętają, co wtedy czuli: nie pamiętają upokorzenia, przerażenia, osamotnienia, niesprawiedliwości, gniewu, poczucia bycia zdradzonym przez tych, którzy mają chronić, a nie ranić. Pamiętają natomiast, że „dzięki biciu wyrośli na porządnych ludzi" i że „zasłużyli na bicie", bo to oni byli źli, nieposłuszni, krnąbrni, niegrzeczni. A wszystko, co robili rodzice, było dobre i słuszne.

TP

Kluby „TP" zapraszają

POZNAŃ, poniedziałek, 27 maja, godz. 18.00
Spotkanie „Święty Houellebecq. Nie tylko o Serotoninie". Gośćmi będą prof. Inga Iwasiów, prof. Przemysław Czapliński oraz ks. prof. Andrzej Draguła. Miejsce: Dom Bretanii (Stary Rynek 37).

SŁUPSK, sobota, 1 czerwca, godz. 9.30
Konferencja „Jak powstał świat? Wielki wybuch czy stworzenie?". Udział wezmą prof. Wiesław Macek, ks. dr Marek Żejmo oraz dr Michał Rychert. Miejsce: Akademia Pomorska (ul. Westerplatte 64).

WARSZAWA, sobota, 25 maja, godz. 16.00
Kawiarenka „Mama plus, czyli rzecz o macierzyństwie, które trwa". Gościem będzie Justyna Dąbrowska. Miejsce: Stacja Muranów (ul. gen. Andersa 13).

Czwartek, 30 maja, godz. 18.00
Debata „Droga do Okrągłego Stołu oczami Jana Józefa Lipskiego". Udział wezmą Dorota Kuroń, Henryk Wujec, Tomasz Truskawa, Krzysztof Król. Prowadzenie Łukasz Garbal. Miejsce: siedziba FKA (ul. Dąbrowskiego 56). Zgłoszenia udziału prosimy wysyłać na adres: warszawa@klubtygodnika.pl.

ZIELONA GÓRA, środa, 22 maja, godz. 18.00
Spotkanie „Życie na pograniczach". Gośćmi będą Beata Halicka oraz prof. Zbigniew Anthony Kruszewski. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

Czwartek, 30 maja, godz. 18.00
Spotkanie „4 czerwca '89 – początek trudnej wolności". Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

STREFAPSOTNIKA.PL

Wielu dorosłych wie, że jako dzieci byli lekceważeni, upokarzani, traktowani jak meble, maskotki albo tresowane zwierzątka, wiedzą, że nikt nie liczył się z ich opiniami i potrzebami. Ale nie pamiętają, co wtedy czuli: nie pamiętają gniewu, niezgody, niesprawiedliwości, poczucia odrzucenia przez tych, którzy mają przecież chronić, nie ranić. Pamiętają za to, że byli głupi i nie mieli nic ciekawego do powiedzenia, bo każde dziecko jest głupie i nie ma nic ciekawego do powiedzenia, bo „dzieci i ryby głosu nie mają".

Wielu dorosłych pamięta nienawiść do szkoły, ale nie pamięta, że była ona dla nich źródłem stresu i rozpaczy, a nie edukacji i socjalizacji. Nie pamiętają strachu, wysiłku, poczucia niesprawiedliwości ani przytłoczenia faktem, że byli akceptowani przez nauczycieli i rodziców tylko wtedy, gdy spełniali ich oczekiwania, dobrze się ucząc, a właściwie po prostu kolekcjonując dobre oceny i dobrze się zachowując („dobrze", czyli tak, jakby w ogóle nie istnieli), a gdy tych oczekiwań nie spełniali, byli karani dwukrotnie: najpierw w szkole, a później dodatkowo w domu. Pamiętają natomiast, że „ten etap trzeba przejść".

Wielu dzisiejszych rodziców wie, że byli karani za każdy przejaw własnej indywidualności, od kiedy tylko nauczyli się mówić „nie" (lub jeszcze wcześniej, gdy odwracali głowę od kolejnej łyżeczki „za mamusię" i byli karmieni na siłę), aż do chwili, gdy skończyli tak długo wyczekiwane 18 lat i zgodnie z prawem mogli wyrazić swoje zdanie (lub aż do chwili, gdy wyprowadzili się z domu i rodzice stracili nad nimi władzę, podkreślaną wcześniej na każdym kroku słowami: „Dopóki mieszkasz w moim domu, musisz mnie słuchać"). Ale nie pamiętają, że czuli się wówczas stłamszeni, jak w klatce. Pamiętają natomiast, że klatka była ze złota, a poidełko zawsze pełne.

Duża część dzisiejszych dorosłych wie, że jako niemowlęta bardzo szybko nauczyli się zasypiać samodzielnie w łóżeczku, bo rodzice zostawiali ich tam, by się wypłakali i po niekończących się torturach strachu zasnęli w końcu z wyczerpania. Nie pamiętają tego, bo pamięć żadnego człowieka nie sięga tak daleko, ale gdy teraz o tym myślą, nie widzą przerażonego dziecka, które na nikogo nie może liczyć. Widzą natomiast „rozwrzeszczanego bachora", który terroryzuje swoich rodziców i którego od maleńkości trzeba uczyć, że „świat nie kręci się wokół niego".

Wielu z nich wie, że bardzo szybko nauczyli się kłamać i ukrywać swoje problemy, emocje i potrzeby, bo gdy mówili prawdę, rodzice i inni dorośli albo im nie wierzyli (czasem nawet w tak ważnych kwestiach jak wykorzystywanie seksualne, o czym była mowa w filmie „Tylko nie mów nikomu" braci Sekielskich), albo wierzyli i karali, bagatelizowali lub wyśmiewali. Nie pamiętają jednak uczucia zawodu, niezrozumienia, osamotnienia, niesprawiedliwości i strachu przed karą. Nie pamiętają też, że nieszczerość nie była ich cechą wrodzoną, lecz została wyuczona przez dorosłych.

Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ dzieci potrzebują troskliwych, kochających rodziców tak bardzo, że są w stanie uwierzyć, iż każda wyrządzana przez nich krzywda, a nawet każde okrucieństwo, jest wyrazem troski i miłości. Prędzej stwierdzą, że to one są złe i głupie, niż dopuszczą myśl o odpowiedzialności rodziców za ich krzywdę. Rodzice przecież nie krzywdzą, tylko kochają, troszczą się i chronią! Internalizacja tego przekonania jest tym łatwiejsza, że jest ono wtłaczane do dziecięcych umysłów i serc przez bardzo wielu dorosłych, którzy osiągali pełnoletność w kulturze, której jednym z filarów jest przykazanie „Czcij ojca swego i matkę swoją" (bez względu na to, co ci uczynili), a innym zasada bezwzględnego posłuszeństwa.

Odpowiedzialność rodziców

Czym to skutkuje, wiedzą psychoterapeuci, którzy pomagają swoim pacjentom zbudować poczucie własnej wartości i uczą, że bliska relacja nie musi wiązać się z odrzuceniem, lecz może i powinna opierać się na bliskości, zaufaniu i poczuciu bezpieczeństwa (czyli robią to, co zrobiliby rodzice, gdyby chronili, a nie ranili). Skutki takiego dzieciństwa i zniekształconej pamięci o nim jeszcze lepiej znają dzieci tych dorosłych, którzy kiedyś byli dziećmi, ale pamiętają tylko to, co chcą pamiętać.

Te dzieci również są osamotnione, nierozumiane, bite, lekceważone, upokarzane, traktowane jak meble, maskotki, karane za każdy przejaw własnej indywidualności, odrzucane przez rodziców już jako niemowlęta, kochane i akceptowane warunkowo. Nie wiedzą one, czym jest bliskość, bo nigdy jej nie doświadczyły, nie ufają swoim rodzicom i nie czują się przy nich bezpiecznie. To właśnie takie dzieci posłusznie wypełniają rozkaz „Tylko nie mów nikomu", bo są wychowywane do uległości i obwiniania siebie. Nie mówią rodzicom nie tylko dlatego, że oprawca im grozi, ale też z tego powodu, że nie mają pewności, czy rodzice staną po ich stronie.

Jeden z bohaterów tego filmu, obecnie dorosły mężczyzna, jako chłopiec powiedział matce, że jest wykorzystywany seksualnie przez księdza. Co zrobiła matka? Nie tylko nie uwierzyła własnemu synowi, ale też zmusiła go do dalszego pełnienia roli ministranta, czyli wepchnęła go z powrotem w łapy dewianta w koloratce. W rezultacie chłopiec przestał jeść i prawie zagłodził się na śmierć – nie widział innego wyjścia z piekła. Inna bohaterka, również już dorosła, wyznaje, że wcześniej nie mówiła o tym nikomu (nawet swoim rodzicom), ponieważ się wstydziła, a ksiądz, który molestował ją wielokrotnie, gdy miała ↦

siedem lat, podczas nagrywanej ukrytą kamerą konfrontacji stwierdził, że była „taką grzeczną dziewczynką” i rozbudziła w nim ojcowskie uczucia. Ona również mówi, że zwyrodnialec wybrał ją, bo była bardzo grzeczna.

Gdyby nie była „grzeczna” (czyli uległa i posłuszna – dokładnie taka, jakie według wielu dorosłych powinny być dzieci) i gdyby rodzice szanowali ją, wspierali, zapewniali poczucie bezpieczeństwa, ten ksiądz zapewne w ogóle nie zwróciłby na nią uwagi. A gdyby jednak odważył się ją dotknąć, jej rodzice natychmiast by się o tym dowiedzieli i zapobiegli dalszemu krzywdzeniu. To zdanie oczywiście nie oznacza, że to ona jest winna! Można natomiast mówić o współodpowiedzialności rodziców, których grzeczne dzieci bały się powiedzieć o swojej krzywdzie, czy – tym bardziej – którzy znali prawdę, ale nie uwierzyli.

Inne występujące w filmie osoby, które w dzieciństwie były wykorzystywane seksualnie przez księży, również nie powiedziały o tym swoim rodzicom (ani żadnej innej dorosłej osobie, bo nie miały w swoim otoczeniu żadnego dorosłego – nauczyciela, babci, wujka – któremu mogłyby zaufać!). Rodzice jednego chłopca dowiedzieli się o wszystkim od lekarki, której zwierzył się po tym, jak po kilku latach molestowania targnął się na swoje życie. Oprawca jednej z ofiar groził jej, że to on powie rodzicom. Tylko jedna bohaterka filmu mogła liczyć na wsparcie swoich rodziców. I dzięki temu do molestowania doszło tylko raz, w przeciwieństwie do innych omówionych w filmie przypadków.

Słowo dziecka nic nie znaczy

Dzieci, które nigdy nie były traktowane poważnie, nie mają podstaw do wiary, że tym razem ktokolwiek im uwierzy. I niestety często mają rację. Wielu ludziom trudno uwierzyć, że w instytucji, która powinna być moralnie nieskazitelna, jest tak dużo zła, w dodatku bagatelizowanego (bo przecież dzieci „same lgną”, a odpowiedzialność za grzechy księży ponosi szatan). Ta niewiara dotyczy jednak nie tylko pedofilii w Kościele.

Wypowiadający się w filmie były jezuita, prof. Stanisław Obirek, zwrócił uwagę, że „jest to po prostu pewnym zjawiskiem, że w rodzinie na przykład nie wierzy się, że wujek może być pedofilem. No jak to? Taki przyjemny wujek, zawsze przynosił słodycze. Albo brat. Jak brat może być takim bandytą, żeby młodszą siostrę wykorzystywać seksualnie?”. To prawda – tym smutniejsza, że zdecydowana większość czynów pedofilnych jest popełniana przez osoby znane dziecku i jego rodzicom.

Fakt, iż wielu dorosłym tak trudno uwierzyć w to, że szanowany ksiądz czy przyjemny wujek może popełniać czyny pedofilne, wynika jednak nie tylko z podwójnej moralności, czy wyparcia. Także z tego, że dorośli po prostu nie wierzą dzieciom! Słowo dziecka nic w naszej kulturze nie znaczy. Rodzice na co dzień nie wierzą dzieciom, nie szanują ich, nie chronią, nie zapewniają poczucia bezpieczeństwa, lekceważą, więc kiedy dziecku dzieje się krzywda, ono albo im o niej w ogóle nie mówi, albo jest przez nich ignorowane, czy wręcz karane za szarganie dobrego imienia księdza albo przyjemnego wujka.

Jeśli więc chcemy ochronić dzieci przed wykorzystywaniem seksualnym, przede wszystkim powinniśmy wychowywać je tak, by nie bały się powiedzieć „nie”. By wiedziały, że mają prawo do nietykalności cielesnej (a tej wiedzy bicie nie dostarczy). Że są szanowane, wysłuchiwane i obdarzane zaufaniem.

Najwyższy czas skończyć nie tylko z ukrywaniem pedofilii w Kościele, ale też z jedną z jej przyczyn – z wychowywaniem dzieci do uległości i posłuszeństwa. I całą kulturą lekceważenia dzieci.

© ANNA GOLUS

PO STRONIE OFIAR

O wykorzystywaniu seksualnym nieletnich, o zmowie milczenia i innych grzechach polskiego Kościoła piszemy konsekwentnie od lat.

Wybór najważniejszych tekstów „TP” z ostatniego dwudziestolecia na temat, który wstrząsa dziś Polską, w bezpłatnym i aktualizowanym internetowym wydaniu specjalnym.

Czytaj na: TygodnikPowszechny.pl/postronieofiar

GRAFIKA MIECZYSŁAW WASILEWSKI

ANNA

Dziewit-Meller: *Samotność dwunastolatka*

Powoli opada kurz wzniecony dotkliwym filmem braci Sekielskich. Nie chcę jednak pisać dziś niczego o pedofilii w Kościele, bo i bez moich pięciu groszy temat doskonale ma się teraz w przestrzeni publicznej i na pewno jeszcze długo w niej pozostanie. Chwała wam, o bracia Sekielscy.

Ja, szczęśliwie, choć w szkole podstawowej, za sprawą pewnej wielce pobożnej nauczycielki, żyłam w orbicie bardzo mocnego oddziaływania tej instytucji, sama nie mam żadnych złych doświadczeń związanych z Kościołem, jeśli idzie o tę popularną obecnie materię. Ale nie znaczy to niestety, że nie mam ich wcale. Ja i dziewczynki z mojej klasy w szkole podstawowej miałyśmy bowiem problem zupełnie gdzie indziej niż na plebanii, a pojawił się on wraz z nauczycielem tańca, którego zatrudniła nasza szkoła.

Trudno dziś nie wracać myślami do tych zamierzchłych, ale wciąż wyrazistych wydarzeń. Rozmawiając więc o nich w ostatnich dniach z kolejnymi znajomymi, doznałam szoku, albowiem okazało się, że spośród bliskich mi ludzi znakomita większość też ma w życiorysie podobne epizody, mniej lub bardziej dotkliwe w skutkach, ale wszystkie związane z osobami mającymi pedofilskie inklinacje. Krótko mówiąc – wygląda na to, że owych ludzi interesujących się w niezdrowy sposób swoimi uczniami, wychowankami, podopiecznymi, sąsiadami czy członkami rodziny nie było mało. I – co zupełnie druzgocące – właściwie wszyscy zwierzający się ze swych przeżyć ludzie mówili, że w owym czasie zostali zostawieni sami sobie, radząc sobie lepiej lub gorzej, ale niemal zawsze zupełnie samotnie. Samotność dwunastolatka molestowanego przez druha na obozie harcerskim, któremu nie uwierzyły władze obozu, samotność dziewczynek rozgrywanych przez manipulującego ich uczuciami nauczyciela, nieumiejących o tym porozmawiać z rodzicami, samotność chłopca zapraszanego na plebanię przez jednego z duszpasterzy antykomunistycznej opozycji warszawskiej, w której aktywnie działali jego rodzice – czy jesteśmy to sobie w stanie wyobrazić i spać spokojnie?

Skoro zatem – ośmieleni ogólną atmosferą, jaka zaczęła w końcu wyzwalać ofiary z poczucia winy i dawać im głos – słyszymy coraz więcej, czy aby nie musimy zacząć myśleć o tym, że wykorzystywanie dzieci przez dorosłych jest problemem, z którym trzeba się zmierzyć na poziomie znacznie szerszym niż tylko młócka publicystyczna w kampanii wyborczej?

Czyż w tej gorącej debacie poświęconej winie i karze, w trwającym właśnie szkodliwym legislacyjnym amoku, mającym stworzyć pozory zdecydowanych działań – nie powinniśmy jednak przede wszystkim rozmawiać o tym, jak chronić nasze dzieci przed doświadczeniami, które – jak się zdaje – tak wielu z nas ma w swoich życiorysach? Rozmowy o podnoszeniu wymiaru kary za czyny pedofilskie i ekspresowe zmiany w prawie wydają się mi – matce dwójki dzieci – sprawami drugorzędnymi. Bo faktycznie – nie chodzi o to, że księża pedofile za krótko siedzą w więzieniu, tylko że w ogóle do niego nie idą. Abstrahując nawet od zgrozy, jaką owe zmiany w kodeksie budzą wśród specjalistów od prawa karnego, którzy zgodnym chórem wołają „nie tędy droga!", czynienie z problemu pedofilii tylko spektaklu medialnego różnych sił chcących tę awanturę zdyskontować, powinno być dla nas – rodziców – doprawdy obraźliwe.

Zanim rzucimy się, by zmieniać prawo, może najpierw zacznijmy stosować to, które już mamy, a przede wszystkim pomyślmy o prewencji?

Domagam się bowiem poważnego potraktowania nas i naszych dzieci – chcemy słyszeć, choćby od ludzi odpowiedzialnych za edukację, jak możemy się uchronić. Przede wszystkim więc, panie pośle Kaczyński, nieustająco mówiący coś o ochronie polskich dzieci, porozmawiajmy o ich edukacji. O tym, że trzeba wypracować schematy postępowania w sytuacjach zagrożenia, o atmosferze zaufania i otwartości, jaką powinny tworzyć instytucje, którym powierzamy nasze dzieci, o uwrażliwianiu rodziców i nauczycieli na niepokojące sygnały. O oczach i uszach otwartych na ich emocje. Jako rodzic oczekuję systemowego wsparcia od mojego państwa.

Niczego takiego jednak nie słyszę, bo głosy nielicznych wołających na puszczy edukatorów seksualnych i świadomych ciężaru gatunkowego problemu pedagogów nikną w ryku słyszanym z mównicy w Sejmie i na kolejnych żenujących konferencjach prasowych. Sprawcy powinni zostać ukarani, ale czyż nie jest dla nas dziś priorytetem to, by dać naszym dzieciom narzędzia ochrony? Dlaczego w ogóle o tym nie dyskutujemy?

Apeluję więc do dziennikarzy, publicystek, osób publicznych – patrząc na ręce prokuratorom, domagając się nieuchronności kar dla przestępców w sutannach i ich bezczelnych zwierzchników, pracujmy jednak także na bezpośrednią korzyść naszych dzieci, by nie znikły nam z oczu w skądinąd słusznym inkwizytorskim zapędzie. Domagajmy się – mając w ręku oręż, jakim są nadchodzące wybory – realnych propozycji, które pozwolą nam w przyszłości spać nieco bardziej spokojnie. Domagajmy się prawa do rzetelnej edukacji seksualnej, która pozwoli naszym dzieciom uchronić się przed seksualizacją i drapieżnikami, których nawet nie umiecie wsadzić do więzienia. ©

REPORTAŻ

TO TA BEZ DZIECKA

Położna zapytała: „Są państwo gotowi?”. Po chwili przywiozła zwłoki w łóżeczku, w którym karmi się noworodki. Ewelina wzięła syna na ręce, przytuliła go. „Zobacz, śpi, śliczny jest” – powiedziała do męża.

TEKST MAŁGORZATA NOCUŃ ILUSTRACJA JOANNA RUSINEK

Od dwóch dekad toczy się debata na temat legalnej aborcji, „Polek u ginekologa", prowadzenia ciąży i prawa pacjentek do godnego porodu. Dyskusja przyczyniła się do poprawy usług w szpitalach położniczych. To sukces.

Niestety, nie we wszystkich przypadkach ciąża przebiega w sposób fizjologiczny – wówczas standardowe postępowanie to za mało. Wiele z takich ciąż kończy się tragedią: upośledzeniem dziecka, czasem śmiercią – matki albo potomstwa, a niekiedy obojga. Często nie da się temu zapobiec, czasem jednak coś zawodzi – system albo człowiek. Niektóre z kobiet nie otrzymują pomocy na czas.

Kobiety w ciąży patologicznej wymagają szczególnej opieki, często w szpitalu o trzecim stopniu referencyjności, czyli specjalizującym się w prowadzeniu ciąż najwyższego ryzyka. Zdarza się jednak, że prowadzący ciążę ginekolog lekceważy objawy, które opisane są w każdym podręczniku medycyny.

– Chyba nie myśli pani, że to celowe działanie? – pyta prof. Hubert Huras, kierownik Kliniki Położnictwa i Perinatologii UJ, konsultant wojewódzki ds. położnictwa, zastępca prezesa Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników.

Nie, ale warto zastanowić się, z czego ów fakt wynika.

Boli, bo ma boleć

Ewelina Bednarska przypatrywała się twarzy syna, podobnie mąż. Nie pamięta, czy go przytulił (położna mówi, że tak). On rozumiał już, że Mateusz był martwy, Ewelina Bednarska pojęła to dopiero po trzech tygodniach, w dniu pogrzebu.

Jak doszło do tej tragedii?

28 października 2012 r., poniedziałek. To 35. tydzień ciąży Bednarskiej. Rano budzi się ze spuchniętymi nogami, mierzy ciśnienie. 140/100 to niedużo, ale kobieta wie, że podwyższone ciśnienie i opuchnięte ciało mogą zwiastować stan przedrzucawkowy, który zagraża życiu matki i dziecka. Jedzie z mężem do Miejskiego Szpitala w Sosnowcu. Dyżurujący na izbie przyjęć ginekolog spogląda na opuchliznę, mierzy ciśnienie krwi i wpisuje w kartę: „podejrzenie e-gestosis" (nieużywana już nazwa stanu przedrzucawkowego). „Pani jest do przyjęcia na oddział" – mówi.

Lekarze wykonują USG: płód w ułożeniu główkowym, masa 3700 gramów, oraz badanie KTG (mierzy skurcze macicy i tętno płodu).

Wtorek. Bednarską boli brzuch, lekarz bada ją na fotelu ginekologicznym. „Boli? To dziecko pcha się na świat" – stwierdza. Ordynuje fenoterol, lek hamujący skurcze.

W środę i czwartek Bednarska przebywa w oddziale ginekologiczno-położniczym.

2 listopada, piątek. Po porannym obchodzie zostaje wypisana ze szpitala (choć wypisu nie otrzymuje). Lekarze nie wykonują podstawowych badań, jakie przeprowadza się w zaawansowanej ciąży, a w szczególności ciężarnej z podejrzeniem stanu przedrzucawkowego (KTG – które mierzy liczbę uderzeń serca płodu na minutę i wykazuje ewentualne spadki tętna; USG – przy pomocy którego lekarz sprawdza m.in. przepływy matczyno-płodowe). Kobieta wraca do domu z zaleceniem przyjmowania dopegytu, leku obniżającego ciśnienie. Dostaje zwolnienie z pracy na dwa tygodnie.

5 listopada, poniedziałek. Bednarską budzą drgawki, odpływają wody płodowe. „Nie czuję ruchów dziecka" – mówi do męża. Jadą do sosnowieckiego szpitala. Położna rozpoczyna badanie KTG. „Nie czuję ruchów dziecka" – ponownie alarmuje Bednarska. „Nie czujesz, bo dziecko jest już w kanale rodnym" – odpowiada położna. Na salę wchodzi lekarz, zleca USG. Położna wwozi stary ultrasonograf. „Nie działa" – mówi lekarz. Zwożą pacjentkę piętro niżej, tam jest nowocześniejszy aparat, lekarz patrzy w monitor: „Nie widzę przepływów w sercu". Bednarska krzyczy: „Nie żyje?".

Cesarskie cięcie, zero punktów w skali Apgar. Mateusz rodzi się martwy. Lekarz: „Doszło do wewnątrzmacicznego obumarcia płodu".

Żywego porodu nie będzie

Katarzynie P. w piątym miesiącu ciąży odpłynęły wody płodowe. Pojechała na dyżur do rzeszowskiego szpitala, została przyjęta na oddział ginekologiczno-położniczy.

– Lekarze nie pozostawili mi nawet cienia nadziei – opowiada kobieta. – Mówili: „Żywego porodu z tego nie będzie", od początku przygotowywali na „wyłyżeczkowanie macicy". Nikt mi nie mówił, że w wyższej ciąży mogę starać się o przyjęcie do szpitala o trzecim stopniu referencyjności. Kiedy mój partner poszedł zapytać ordynatora oddziału o stan córki, ten odrzekł: „Czego pan chce? No czego? Z pustego wora i Salomon nie naleje".

Katarzyna P. na własną rękę skontaktowała się ze Szpitalem Uniwersyteckim w Krakowie. Lekarz powiedział, że jeśli donosi ciążę do 22. tygodnia, zostanie przyjęta na oddział. Z Rzeszowa dotarła do Krakowa karetką (choć rzeszowski szpital chciał, by pojechała samochodem osobowym). Spędziła miesiąc na oddziale, nie wstawała z łóżka, nawet do toalety. W 26. tygodniu urodziła córkę. Marcelina spędziła cztery miesiące na Oddziale Intensywnej Terapii Noworodka. Dziś ma 20 miesięcy.

A. (pragnąca zachować anonimowość) w trzecim trymestrze ciąży zauważyła podwyższone ciśnienie i wzrost wagi. Lekarz prowadzący ciążę przepisał specyfiki na obniżenie ciśnienia i powiedział: „Tyje pani, bo pani za dużo je". A.: – Źle się czułam, pytałam lekarza, czy nie jest to przypadkiem stan przedrzucawkowy. Lekceważył mnie.

A. trafiła do szpitala z oznakami stanu przedrzucawkowego.

Lekarz zlecił badanie KTG, położna wręczyła pacjentce przycisk – miała go użyć, kiedy poczuje ruchy płodu. Badanie trwało już pewien czas, A. nie użyła przycisku ani razu. Położna: „No co się dzieje, wciskać proszę, rejestrować ruchy".

A.: – Nie czułam ruchów, ale położne domagały się wciskania, więc zaczęłam wciskać.

W 28. tygodniu ciśnienie było bardzo wysokie, duże stężenie białka w moczu. Lekarze podjęli decyzję o cesarskim cięciu. A. urodziła córkę ważącą 510 gramów (skrajna hipotrofia płodu – zbyt mała masa urodzeniowa w stosunku do wieku ciążowego). Dziewczynka trafiła do Oddziału Intensywnej Terapii Noworodka, A. na salę poporodową, na której – wbrew przepisom – leżały mamy z dziećmi z donoszonych ciąż. Podczas wizyty neonatologicznej słyszała: „A tak, tak, to ta bez dziecka".

Zwycięzców się nie sądzi

Trudno oszacować skalę problemu. Wiele z bohaterek tego tekstu samo zgłosiło się do mnie. Udokumentowałam jeszcze kilkanaście historii ciężarnych, które nie zostały na czas skierowane do szpitala. W 27 przypadkach zlekceważono wysokie ciśnienie, cztery nie uzyskały informacji, jakie niebezpieczeństwo stwarza łożysko przodujące; u dwóch zlekceważono bezwodzie; kobieta w ciąży bliźniaczej zaczęła krwawić, nie została skierowana do odpowiedniego szpitala, pojechała do niego własnym autem, urodziła po przekroczeniu progu. ↦

↦ – A ja opowiem inną historię – mówi prof. Hubert Huras. – Była niedziela rano, miałem kończyć dyżur. Nagle wezwała mnie pielęgniarka dyżurna. Pacjentka w 26. tygodniu ciąży bliźniaczej zaczęła krwawić. Zbadałem ją, stwierdziłem, że odkleja się łożysko, trzeba szybko wykonać cięcie cesarskie. Na stole operacyjnym kobieta ta dostała zatoru tętnicy płucnej, który w dziewięćdziesięciu procentach przypadków jest śmiertelny. Krążenie zatrzymało się na dwanaście minut. Udało nam się „przepchać" zator. Przeżyła, wyszła ze szpitala na własnych nogach, ale gdyby zmarła, miałbym pod szpitalem telewizję i usłyszałbym, że nic nie robiłem, a pacjentka od dawna źle się czuła. Jednak wygraliśmy, a nikt nie sądzi zwycięzców.

Prof. Mirosław Wielgoś, rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, konsultant krajowy ds. perinatologii: – Tak, nikt nie sądzi zwycięzców, ale zdarzają się sytuacje podobne do tych, które pani opisuje, gdy problemem jest lekarskie zaniedbanie. Musimy z tym walczyć. Wierzę jednak, że to margines.

Prof. Bożena Leszczyńska-Gorzelak, kierownik Kliniki Położnictwa i Perinatologii Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, konsultant wojewódzki ds. perinatologii: – Na sukces położniczy wpływa także postawa ciężarnej: regularne wizyty u położnika potrafiącego dobrze oszacować ryzyko ciążowe i w uzasadnionych przypadkach przekazać kobietę pod opiekę poradni patologii ciąży. Edukacja zdrowotna budzi zastrzeżenia. Przykładem jest hospitalizowana w naszej klinice ciężarna, która ma już dziewięcioro dzieci, siedem porodów odbyło się przez cięcie cesarskie, wskazaniem było wrastające łożysko, co jest chyba najcięższym powikłaniem w położnictwie, związanym z ryzykiem ciężkiego krwotoku, a nawet zgonu. Teraz wszyscy liczą, że ciąża i kolejne cięcie cesarskie zakończy się sukcesem.

Dobry czas na dyskusję

Ten tekst nie ma na celu piętnowania lekarzy. W wielu szpitalach w Polsce prowadzi się ciąże o wysokim i najwyższym stopniu ryzyka. Z moich rozmów z pacjentkami wynika, że w szpitalach o trzecim stopniu referencyjności kobiety znajdują należytą opiekę (potwierdzają to ankiety fundacji Rodzić po Ludzku). Na oddziałach intensywnej terapii lekarze i położne walczą o życie dzieci urodzonych przedwcześnie. Także tych, które przyszły na świat na progu przeżycia, w 23. tygodniu ciąży, a więc na etapie, na którym w wielu krajach Zachodu wcześniakom pozwala się umrzeć. Hospitalizacja wcześniaka to gigantyczne koszty, a dziecko może być ciężko chore lub upośledzone.

Prof. Leszczyńska-Gorzelak podkreśla, że niezależnie od zdarzających się niepowodzeń polskie położnictwo zapewnia wysoki poziom bezpieczeństwa: wskaźniki umieralności matek z powodu powikłań ciąży i porodu oraz wskaźniki umieralności okołoporodowej należą do najniższych w Europie. I jest to niewątpliwie powód do dumy.

Ten tekst ma zatem na celu pokazanie, że pacjentki w patologicznej ciąży nie zawsze na czas obejmowane są odpowiednią opieką. Dlaczego tak się dzieje? Winne są braki kadrowe? Zbyt mała wiedza niektórych lekarzy? Fakt, że nie zawsze odpowiednio oceniają ryzyko? Brak odpowiednich przepisów mówiących, jak postępować z patologiczną ciążą?

To dobry czas na dyskusję: w styczniu tego roku zmieniły się rekomendacje dotyczące opieki okołoporodowej w Polsce. Warto się zastanowić, dlaczego do tego doszło? Z powodu uporu części lekarzy, którzy nie zdają sobie sprawy z istniejącego problemu? Czy też ministerialni urzędnicy wykazali się krótkowzrocznością?

W Polsce kobieta ciężarna może być hospitalizowana w szpitalu o pierwszym, drugim albo trzecim stopniu referencyjności. W szpitalu o pierwszym stopniu przebywają pacjentki w ciąży fizjologicznej (niepowikłanej), „dwójka" przyjmuje kobiety w ciąży z niewielką patologią; „trójka" ciężkie i najcięższe przypadki.

W Polsce jest ponad 40 szpitali o trzecim stopniu referencyjności. Np. w województwie mazowieckim siedem, ale już w małopolskim tylko jeden. Do placówek tych przewozi się pacjentki ze wszystkich pobliskich miejscowości. Bywa, że pokonują nawet 200 kilometrów. Nie zawsze karetką – czasem własnym samochodem.

Gdy lekarz mówi niewiele

Ginekolodzy-położnicy, z którymi rozmawiałam, są wybitnymi lekarzami, pracują w szpitalach o trzecim stopniu referencyjności. Każdy podkreśla, że w ginekologii powinny istnieć wąskie specjalizacje. Prowadzeniem ciąży winni zajmować się ginekolodzy-położnicy, ciąż najbardziej powikłanych i „trudnych" perinatolodzy, problemem z płodnością ginekolodzy-endokrynolodzy, a chorobami nowotworowymi ginekolodzy-onkolodzy. Niestety, pacjentki ciężarne obejmowane są czasem opieką nieodpowiedniego specjalisty. Sytuacja inaczej wygląda z perspektywy Warszawy czy Krakowa, a inaczej z prowincji. Tu brakuje nie tylko placówek o trzecim stopniu referencyjności. Pojawia się też problem kadrowy: brak ginekologów-położników.

Prof. Huras: – Mało który student medycyny wybiera tę specjalizację, szpitale powiatowe nie radzą sobie już z rozpisywaniem dyżurów. Lekarze muszą pełnić po osiem w miesiącu – to bardzo dużo. Są w Polsce miejscowości, w których zamyka się oddziały położnicze. Pojawia się też luka pokoleniowa, personel mało doświadczony przejmuje obowiązki doświadczonych lekarzy, bo ci odchodzą na emeryturę.

Brakuje szpitali o trzecim stopniu referencyjności i działających przy nich poradni patologii ciąży. Ich tworzenie jest drogie i znów – brakuje personelu. Są lekarze, którzy stale się kształcą, inni poprzestają na wiedzy wyniesionej ze studiów lata temu.

Poradnia patologii ciąży, prowadzona przy klinice, której kierownikiem jest prof. Huras, dziennie przyjmuje nawet 70 pacjentek.

I problem największy: trafiające do kliniki kobiety nie są odpowiednio informowane o stanie zdrowia – swoim i płodu. Lekarze prowadzący ciążę unikają mówienia o możliwych powikłaniach albo sami o nich nie wiedzą. Zaczynając więc rozmowę z pacjentką, prof. Huras pyta: „Co mówił lekarz prowadzący?". Często nic albo niewiele.

Np. pacjentka w 28. tygodniu ciąży ma wrośnięte w macicę łożysko, to bardzo ciężkie powikłanie ciąży. Prof. Huras: – Muszę, jako pierwszy lekarz, powiedzieć jej, że zabieg cesarskiego cięcia będzie stanowił stan bezpośredniego zagrożenia jej życia. Podobnie wygląda kwestia łożyska centralnie przodującego. Ostatnio niczego nieświadoma pacjentka z taką diagnozą trafiła do nas w 38. tygodniu. Na stole operacyjnym dostała krwotoku, operacja trwała pięć godzin. Udało się ją uratować.

Kobiety w patologicznej ciąży, które trafiają do szpitali o trzecim stopniu referencyjności, często rodzą tu dzieci w niskiej ciąży. Prof. Huras mówi, że są zdziwione, gdy słyszą o śmiertelności wcześniaków

i możliwych powikłaniach, np. dziecięcym porażeniu mózgowym.

Prof. Leszczyńska-Gorzelak: – Również w naszej klinice jesteśmy pierwszymi osobami, które przekazują złe wieści. Kobiety myślą, że rodzą swoje „600 gramów szczęścia" – nawiązuję tu do popularnego serialu o wcześniakach. Tymczasem ich dzieci czeka długi pobyt w oddziale intensywnej terapii i walka o życie, później o zdrowie.

Bywa, że lekarz jakiekolwiek pytania pacjentek uznaje za podważanie jego kompetencji. Zwracała na to niejednokrotnie uwagę Krystyna Kacpura, dyrektorka Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny.

Temat jest delikatny, bo z problematyczną ciążą często łączy się kwestia aborcji, a to już wielka polityka. Lekarz, którego podopieczna pyta o legalną aborcję (gdy zagrożone jest zdrowie i życie matki), zaczyna mieć kłopot.

Lek na „nicnierobienie"

Bohaterki tego tekstu nie zostały poinformowane o możliwości objęcia ich opieką przez placówkę o wyższym stopniu referencyjności, albo zostały tą opieką objęte zbyt późno. Najczęściej problem przeoczył lekarz prowadzący ciążę.

Prof. Wielgoś tłumaczy, jak powinna wyglądać opieka: lekarz prowadzący ciążę musi szybko wychwycić moment, w którym kończą się możliwości ambulatoryjnej opieki i skierować do szpitala. Powinien też reagować na każdy niepokojący objaw. – Czasem lepiej zrobić fałszywy alarm, niż coś przeoczyć – mówi specjalista. – Lekarze zbyt często kierują pacjentki do szpitali o trzecim stopniu referencyjności, jakby zapominali, że są placówki o drugim stopniu, gdzie wiele kobiet może znaleźć odpowiednią opiekę, nie zabierając miejsca paniom w cięższym stanie.

Środowisko medyczne spiera się, czy opiekę nad kobietami z patologiczną ciążą mają definiować przepisy prawne (tak było do tej pory – był to standard w randze rozporządzenia ministra zdrowia), czy tylko rekomendacje PTGiP? Część lekarzy podnosi, że „medycyna jest sztuką" i nie da się ująć w ramach prawnych zasad postępowania w konkretnych przypadkach. Oponenci odpowiadają im, że rekomendacje, standardy, algorytmy są narzędziami, które pomagają prowadzić ciążę.

Prof. Wielgoś: – Lekarz nie powinien kierować się ślepo standardami. Może postąpić inaczej, jeśli wymaga tego sytuacja. Jednak w dokumentacji medycznej musi wykazać, że zna standard i uzasadnić, dlaczego podjął takie, a nie inne kroki.

> Bywa, że do placówek zdolnych zająć się najcięższymi przypadkami **pacjentki pokonują drogę nawet dwustu kilometrów.** Nie zawsze karetką – czasem własnym samochodem.

Bez wątpienia dobry lekarz „autorsko" poprowadzi zagrożoną ciążę. Ale być może ci z mniejszym doświadczeniem potrzebują „mapy drogowej"? Do stycznia tego roku obowiązywały dwa standardy, opracowane przez grupę ekspertów zrzeszonych m.in. w PTGiP. Minister zdrowia nadał im rangę rozporządzeń. Jedno określało standardy postępowania w opiece nad kobietą w okresie fizjologicznej ciąży, fizjologicznego porodu, połogu oraz nad noworodkiem. Drugie dotyczyło opieki nad ciężarną „w przypadkach określonych powikłań oraz opieki nad kobietą w sytuacji niepowodzeń położniczych". W tym roku weszło w życie nowe rozporządzenie ministra. Mówi jedynie o opiece nad kobietą w ciąży fizjologicznej.

Prof. Leszczyńska-Gorzelak: – Stare rozporządzenie nakreślało schemat postępowania diagnostycznego i terapeutycznego. Wymagało modyfikowania zależnie od indywidualnego przypadku, z uwzględnieniem doświadczenia klinicznego lekarza prowadzącego ciążę. Zakładało także rozwiązania organizacyjne, w tym potrzebę uaktywnienia ośrodków o drugim poziomie referencyjności. Nasze postępowanie wymaga nie tylko znajomości rozporządzenia, wytycznych czy rekomendacji PTGiP, które są regularnie wydawane i unowocześniane, ale także zajęcia się kobietą i jej problemami. Brak empatii może być jedną z przyczyn niepowodzeń. Decyzja, w jakiej formie zalecenia powinny być wydane: rekomendacji towarzystwa naukowego czy rozporządzenia ministra zdrowia, należy do konsultantów krajowych w dziedzinie położnictwa i ginekologii oraz perinatologii.

Prof. Wielgoś jako konsultant krajowy ds. perinatologii zapowiada, że będzie walczył o przywrócenie rozporządzenia dotyczącego ciąż patologicznych. W jego przekonaniu obowiązywanie standardu postępowania w wybranych patologiach ciąży przyczyniło się znacząco do poprawy jakości opieki. Było instrukcją postępowania w trudnych sytuacjach, ale też aktem prawnym wymuszającym zastosowanie określonych – skutecznych – działań. Eliminowało tym samym te niewłaściwe (często archaiczne), a także minimalizowało ryzyko zaniechań i „nicnierobienia".

Przeciwnicy tego systemu używali argumentu, że rozporządzenie jest zagrożeniem dla lekarzy, bo niezastosowanie się doń mogło oznaczać konsekwencje prawne.

– Dlaczego nie stosować się do dobrych zaleceń? Po co wymyślać proch samemu? – pyta prof. Wielgoś. I dodaje, że – wbrew przytoczonej wcześniej opinii – zastosowanie się do standardu i wypełnienie jego postanowień stanowi silne narzędzie obronne dla lekarzy: „zrobiłem wszystko, co było konieczne i możliwe; jeśli więc mimo tego doszło do niepowodzenia, należy uznać je za nieuniknione".

– Żaden standard nie przewidzi każdej sytuacji, wielokrotnie trzeba indywidualizować postępowanie i stosować niestandardowe rozwiązania. Ale do tego trzeba posiadać wiedzę i doświadczenie, które zawsze się obronią – puentuje prof. Wielgoś.

Sądowy finał

Państwo Bednarscy, których syn zmarł w wyniku błędu lekarskiego, wnieśli sprawę do sądu i Izby Lekarskiej. Proces toczył się sześć lat, jeden z lekarzy został skazany na rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata oraz otrzymał zakaz wykonywania zawodu przez trzy lata i grzywnę.

Sąd uzasadniał: „Oskarżony miał podjąć niezwłoczne działania, by ratować to dziecko przed śmiercią". Zakaz wykonywania zawodu przez dwa lata obowiązuje także pielęgniarkę (do dokumentacji medycznej Bednarskiej – na prośbę lekarza – załączyła zapis badania KTG innej pacjentki).

Nie wszyscy rodzice decydują się na taki krok. Jedni z powodu traumy, inni z braku świadomości swych praw. A ci, których historia zakończyła się dobrze, odpuszczają, dziękując Bogu za szczęście. Stąd znikoma wiedza o skali problemu.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

SĄD IDZIE

KS. JACEK PRUSAK SJ, PSYCHOTERAPEUTA:

Mamy do czynienia z największym kryzysem w Kościele od czasów Reformacji – i stworzyliśmy go na własne życzenie. Przecież to nie kosmici wykorzystują dzieci w Kościele, ani nie zlecają im tego wrogowie Kościoła!

GRAŻYNA MAKARA

ANNA GOC, ARTUR SPORNIAK: Po obejrzeniu „Tylko nie mów nikomu" powiedziałeś podczas kazania, że na wilków w koloratkach czeka sąd. Boży czy ludzki?

KS. JACEK PRUSAK SJ: Jeden i drugi. Co do tego pierwszego, jestem pewny. Wiedziałem, co chcę powiedzieć, choć nie miałem napisanego kazania. Po tym filmie ludzie nie pozostaną już obojętni.

Ale bez sądu ludzkiego nie rozwiązalibyśmy problemu, o którym dokument Sekielskich mówi. To musi się wreszcie stać. Kolejnych przypadków wykorzystywania seksualnego nieletnich przez duchownych nie można potraktować jako czegoś niefortunnego, jako zaniedbania. Głos ofiar jest wyraźny. To wszystko jest owym sądem.

Takich historii było już bardzo dużo, opisywanych przez media, zbieranych w raportach. Skąd zaskoczenie i poruszenie wśród duchownych, zwłaszcza tych, którzy musieli mieć dostęp do zeznań ofiar?

W większości przypadków biskupi dopiero od niedawna zaczęli spotykać się z ofiarami. Dotąd w ich imieniu zajmowali się tym kurialiści, najczęściej kanclerze kurii albo prawnicy.

Jak nie masz ofiary przed sobą, jej świadectwo cię nie dotknie.

A prawnik reprezentuje Kościół, nie ofiarę.

Przed laty reprezentowałem ofiary w jednym z sądów kościelnych. Byłem już księdzem i terapeutą. Podczas składania zeznań poczułem się tak, jakbym to ja był oskarżony. Pamiętam dokładnie to uczucie. Wtedy sobie wyobraziłem, co może przeżywać ofiara. Księża, którzy mnie przepytywali, robili to tak, że zaczynałem się bronić. Czułem, że dopóki czegoś nie udowodnię, to jestem niewiarygodny. Pytania były tak sformułowane, że zastanawiałem się przez dłuższy czas, co się dzieje. To było wiele lat temu, procedura się zmieniła, ale uświadomiłem sobie wtedy dwie rzeczy. Po pierwsze: że ofierze nie jest łatwo zmierzyć się z funkcjonariuszami. Po drugie: że brakuje podczas takich spotkań obecności biskupa. Otrzymuje on jej świadectwo jako przekaz zapośredniczony, pozbawiony bólu i emocji. A to od biskupa w dużej mierze zależy dalszy los sprawy.

W filmie widzimy, że wbrew obowiązującym wytycznym delegat biskupa wyprasza osobę, która miała towarzyszyć ofierze podczas składania zeznań.

Żeby pomagać ofiarom, nie wystarczy szkolenie, podobnie jak nie wystarczy empatia. Potrzebna jest wiedza, wykształcenie, żeby takiej osobie pomóc, a nie tylko jej nie skrzywdzić. W scenie wyproszenia kogoś, kto miałby wesprzeć ofiarę, widzimy mentalność obronną. Ksiądz myśli nie o ofierze jako osobie, której trzeba pomóc, tylko jako o tej, która stwarza zagrożenie. Podobnie jest podczas składania przysięgi.

Ty też składałeś taką przysięgę zeznając?

Tak. Podobnie jak jeszcze jedna osoba, zeznająca w tej samej sprawie. Po tym, jak ją złożyliśmy, nie mogliśmy się już w tej sprawie konsultować. Przysięga zamknęła nam usta. Mogliśmy rozmawiać o tym, czego doświadczyliśmy wcześniej, ale nie o tym, czego doświadczyliśmy w trakcie składania zeznań.

Dla ofiary to może oznaczać koniec wsparcia.

Rozmowa z ofiarą powinna odbywać się na podobnych zasadach jak psychoterapia: mnie, jako terapeutę, obowiązuje tajemnica, ale nie mogę jej wymagać od mojego klienta czy pacjenta. Jedyne, co mogę zrobić, to poprosić, by był rozważny w opowiadaniu o naszych spotkaniach. Ale jeśli rozmowa o tym z kimś jeszcze daje mu wsparcie, nie mogę mu tego zabronić.

To pokazuje, jak prawo jest wykorzystywane przeciwko ofierze, jak się nim manipuluje.

Rzeczywiście, może działać jak manipulacja. Na poziomie psychologicznym, nieświadomym, ofierze, ale także świadkowi zamyka się w ten sposób możliwość dalszego działania. Dla ofiary jest to o wiele większe zamknięcie, bo powoduje, że zostaje sama ze swoim bólem. Z jej bólu robi się tajemnicę, która ma chronić nie ją, lecz instytucję.

Wytyczne wprowadzone przez Franciszka niewiele zmieniają. Ofiara wciąż nie ma przyznanej

↦

↦ **w Kościele podmiotowości prawnej. Sprawa, którą zgłasza, dotyczy więc nie jej, a relacji między sprawcą a jego biskupem lub przełożonym zakonnym. Ofiara nie ma prawa domagać się informacji o przebiegu postępowania, a nawet o tym, co dzieje się ze sprawcą.**

To, że Franciszek dotąd tego nie załatwił, nie oznacza, że tego nie zrobi. Ale tu chodzi o coś więcej niż tylko zmianę prawa kanonicznego. Potrzebna jest zmiana myślenia. Teraz ważny jest tylko sprawca i jego przełożony, który jest za niego odpowiedzialny. Ofiara w tej relacji jest petentem. Aby jej sytuacja się zmieniała, potrzebne jest przyznanie ofierze praw, których dotąd nie miała.

Dotychczasowe podejście wynika z teologii święceń. W trakcie święceń biskup publicznie zobowiązuje się do usynowienia nowego kapłana, a kapłan do czci ojcowskiej w stosunku do biskupa. Za tym idzie mentalność, która pozwala stwierdzić: zrobiłeś coś złego, ale my to rozwiążemy między sobą, bo tu chodzi o naszą więź. Instytucja była bardziej skupiona na reprezentowaniu księdza niż na reprezentowaniu ofiary, bo ksiądz w swojej sprawie mógł wiedzieć wszystko.

Mamy do czynienia z dwoma systemami w obrębie jednego Kościoła. Pierwszy to system ksiądz–biskup. I drugi: wierny petent, którego dotąd nikt poza nim samym w Kościele nie reprezentował. Ofiara ma prawo wiedzieć, co dzieje się w jej sprawie i co dzieje się ze sprawcą. Dlatego nie wystarczy zmiana paragrafu, potrzebna jest zmiana teologii.

Powtarzane przez biskupów słowa, że w centrum stoi ofiara, są puste?

Nie wiem, czy są puste – są nieadekwatne. Teraz bycie ofiary w centrum sprowadza się do jednego: mamy obowiązek cię wysłuchać.

Kościół ma ekspertów, którzy potrafią pomagać ofiarom?

Nie ma, bo dotąd najwyżej miał kanclerzy i prawników, którzy zajmowali się zgłoszeniami ofiar od strony formalnej i prawnej. Proceduralnie: spisać protokół, zebrać zeznania, odprawić petenta. A jeśli do takich rozmów byli angażowani profesjonaliści, osoby świeckie, to rzadko, raczej na zasadzie konieczności, nie reguły.

Ci, którzy pomagają ofiarom, powinni mieć gruntowne wykształcenie. Najlepiej, gdyby to byli psycholodzy, mający doświadczenie w rozmowach z osobami, które doświadczyły traumy. Na te potrzeby Kościół dotąd nie odpowiedział adekwatnie.

Dlaczego Kościół nie dopuszcza do takich spraw świeckich?

Być może Kościół wciąż nie potrafi zaufać świeckim ekspertom, nad którymi nie ma pełnej kontroli. A może osoba świecka „podkręci" ofiarę? Będzie się domagała, żeby ofiara powiedziała więcej? To tylko hipotezy robocze, ale sprowadzają się do tego, że nie mamy do świeckich zaufania. Na końcu zwykle jest przeświadczenie, że księdza zrozumie tylko ksiądz. Na dobre i na złe. Że tylko on będzie wiedział, z czym zmaga się w swoim powołaniu inny ksiądz. To myślenie jest powszechne – słyszałem je nawet z ust księży, których bardzo cenię.

Żeby zmienić mentalność, trzeba zmienić teologię?

Potrzeba jakiegoś przełomu. Takich wydarzeń, jakie teraz obserwujemy. Franciszek próbuje wrócić do wizji Kościoła soborowego. Jan Paweł II przypominał: „człowiek drogą Kościoła". Przenieśmy te słowa na obecną sytuację. Drogą Kościoła do tej pory był sprawca, a biskup się zastanawiał, gdzie na tej drodze pozostawić ofiarę. Mamy do czynienia z problemem, którego w polskim Kościele po Soborze nie przepracowaliśmy – z wciąż obowiązującym modelem klerykalnym.

Co to znaczy?

Kościół to duchowni, a reszta jest do nich dodatkiem. Po drugie, Kościół to duchowni, a ty musisz patrzeć na nich zawsze z dołu. W filmie jest pokazane to nieszczęsne wyobrażenie, kiedy pojawia się proboszcz, którego poprzednikiem był ksiądz-pedofil, i który z niedowierzaniem mówi, że przecież ksiądz jest jak Jezus.

Ksiądz jest uczniem Jezusa, nie Jezusem! Ksiądz w sakramentach użycza Jezusowi głowy, rąk, serca, jeśli je jeszcze ma. Klerykalizm polega właśnie na tym, że ksiądz myśli o sobie, że jest jak Jezus, podczas gdy Jezus powinien być dla niego aspiracją i wzorem. Stąd blisko już do myślenia, że bliskość z księdzem oznacza bliskość z Bogiem, że jeśli dotyka cię ksiądz, dotyka tak naprawdę Jezus. To jest zdemolowana

Tylko powiedz komuś

– NIE NADĄŻAMY – przyznaje Agata Diduszko z fundacji Nie Lękajcie Się. – Od momentu emisji w ciągu sześciu dni dostaliśmy około dwustu maili. Codziennie odbieramy też kilkadziesiąt telefonów z nowymi zgłoszeniami.

– Nasz telefon działa w każdy wtorek. Przez dwa miesiące zadzwoniły w sumie 33 osoby. Aż dziewięć we wtorek, który przypadł kilka dni po emisji. Efekt filmu wydaje się oczywisty, zwłaszcza że niektóre osoby się nań powoływały – dodaje Katarzyna Jabłońska z „Więzi". Warszawski KIK, Laboratorium „Więzi" i Fundacja Pomocy Psychologicznej Pracownia Dialogu powołały w marcu telefon wsparcia „Zranieni w Kościele". – Efekt jest tak duży, że nie jesteśmy na razie w stanie przebrnąć przez te kilkadziesiąt nowych zgłoszeń – mówi z kolei współtwórca głośnego dokumentu Tomasz Sekielski.

Jabłońska i Sekielski podkreślają nieoczywiste motywacje, jakie towarzyszą osobom opowiadającym o swoich krzywdach. – Dla wielu ważne jest nie tylko uzyskanie psychologicznej czy prawnej pomocy, ale też uchronienie przed krzywdą kolejnych potencjalnych ofiar w sytuacji, gdy oprawcy żyją – mówi redaktorka „Więzi". A współautor „Tylko nie mów nikomu" dodaje, że bohaterom filmu zależało przede wszystkim na dodaniu odwagi tym, którzy nadal żyją w milczeniu. – Nie chodziło koniecznie o to, by ujawniali publicznie swoją krzywdę, ale by zgłosili sprawę lub przynajmniej opowiedzieli o niej najbliższym. By przestali żyć w poczuciu krzywdy, wstydu, a czasami nawet winy. To się udało. Do dwojga bohaterów filmu zgłosiły się nawet dwie osoby z ich najbliższego otoczenia, ujawniając swój dramat.

▪ Telefon wsparcia „Zranieni w Kościele" czynny we wtorki między 19 a 22 pod numerem 800 280 900. Szczegóły na **www.zranieni.info**

teologia, bo człowieka dotykają jedynie sakramenty.

Ofiara myśli, że gdy ksiądz-pedofil się od niej odwróci, opuści ją także Bóg.

Albo że ją ukarze. Wykorzystywanie tej władzy i symboliki, statusu duchownego, ubezwłasnowolnia ofiarę. Ostatnio usłyszałem, że ksiądz biskup jest następcą apostołów. Biorąc pod uwagę sukcesję apostolską, to rzeczywiście prawda. Ale ten naddatek jest niebezpieczny: zaczynasz myśleć, że jesteś drugim św. Piotrem, że masz asystencję Ducha Świętego tylko dlatego, że otwierasz usta. Tak nie jest, ale takie jest przekonanie. Nadal w katolicyzmie kulturowym funkcjonuje silne przekonanie, że całując biskupa w pierścień prawie możesz sobie ściągnąć niebo. Dlatego Franciszek nie pozwolił się pocałować w pierścień. Tu przecież nie chodziło o higienę, tylko o pokazanie, że on jest biskupem Rzymu, a nie chodzącym Bogiem.

Podczas homilii mówiłeś, żeby nie klękać przed księżmi. To jest symboliczne, ale co świeccy mogą zrobić?

Prostą rzecz: ludzie, którzy słuchają kazania, mają prawo iść do kapłana i powiedzieć mu, że ten i ten fragment im się nie podobał. Przecież to jest słowo do nich, więc mają prawo reagować. Bierność w takich sytuacjach jest wyrzekaniem się własnej odpowiedzialności za Kościół. Franciszek mówi o tym, żeby Kościół stał się bardziej synodalny, a w jego wizji oznacza to znacznie więcej niż aktywizowanie rad parafialnych. Ale to długa droga, żeby ksiądz pozbył się myślenia, że bez niego o niczym nie można decydować w Kościele.

Formacja tylko utrwala takie myślenie.

Ważne, żeby formacja seminaryjna nie sprowadzała się do uczenia przyszłych księży życia w samotności. Seminarium było dotąd po to, żebyś zdobył wiedzę do wykonywania zawodu i żebyś się nauczył żyć sam wśród sobie podobnych. Tymczasem formacja powinna przygotowywać do tego, żeby ksiądz był częścią wspólnoty, której służy. Do tej pory seminarium to było spędzanie sześciu lat z kolegami. Przez to pojawiają się silne więzy koleżeńskie, wytwarza się mentalność kastowa. Jest jak w wojsku – kompania braci. My najwyżej o coś świeckich zapytamy, ale nam nie można doradzać – tak myślą księża.

Ksiądz jest uczniem Jezusa, nie Jezusem!

To jest zdemolowana teologia, jeśli myślimy, że dotyk księdza oznacza dotyk Boga.

I to właśnie musi się zmienić. Na niezbędnym wysłuchiwaniu głosu świeckich polega synodalność, która dopiero się kształtuje. Musimy odejść od formacji na kształt zakonu monastycznego do modelu, który trzeba dopiero stworzyć.

Podobnie jak zmienić się musi styl życia księży, którym w filmie Sekielskich kuchnię sprzątają siedmioletnie dziewczynki.

Model proboszcza – pana na włościach, któremu ludzie przychodzą odrobić pańszczyznę... Opiera się to na myśleniu: jak służysz księdzu, służysz Bogu.

Bohaterami tego filmu są także rodzice, którzy nie reagowali na sygnały krzywdzonych dzieci.

Ciągle pokutuje jedno: komu bardziej wierzymy – dorosłemu czy dziecku? Przed moimi święceniami na wyjeździe z grupą, którą przygotowywałem do bierzmowania, zauważyłem, że jedna z dziewczyn jest bardzo przygnębiona. Po pewnym czasie powiedziała mi, o co chodzi. Sąsiad, który był lokalnym politykiem, na podwórku ją dotykał w taki sposób, że czuła się niekomfortowo. Ale gdy poskarżyła się matce, usłyszała, że skoro się ubiera w takie kuse spódniczki, sama jest sobie winna. Wygrał prestiż osoby dorosłej, obdarzonej publicznym zaufaniem.

Do niedawna ksiądz miał status w społeczeństwie jeszcze wyższy. W filmie Sekielskich widać, jak nieświadomość rodziców może doprowadzić dzieci wręcz na próg śmierci, gdy są ofiarami czyjejś przemocy. Gdy rodzice posyłali swoje dzieci na parafię, to przecież zakładali, że nigdzie nie będą bezpieczniejsze. Teraz jednak konieczne jest wprowadzanie procedur prewencji, łącznie z kodeksami zachowań, co osobom mającym kontakt z dziećmi wolno, a czego nie wolno: jakie zachowania i w jakich kontekstach są dopuszczalne, a jakie nie. Abp Grzegorz Ryś dał swoim księżom siedem dni na zapoznanie się i podpisanie nowych procedur w archidiecezji łódzkiej.

Czyli chodzi o status społeczny księdza?

Jeszcze niedawno, gdy ksiądz przychodził do czyjegoś domu, to było dla ludzi wyróżnienie. Gdy byłem w Stanach Zjednoczonych, wysłuchałem świadectwa księdza, który w młodości był molestowany przez innego księdza, będącego przyjacielem rodziny. Sprawca przyjeżdżał w odwiedziny i specjalnie zostawał tak długo, aż rodzice mówcy proponowali mu nocleg. W nocy zaś przychodził do jego pokoju i go molestował. Rodzice nigdy tego nie zauważyli, a on nigdy się nie poskarżył. Panowała swego rodzaju wspólnota bez granic – ksiądz mógł w niej przebywać na własnych warunkach.

Oczywiście zagrożenie nie płynie ze strony wszystkich księży – problemem jest mniejszość. Ale właśnie przez to, że większość była obdarowana aż tak wielkim zaufaniem, mniejszość to wykorzystywała.

Podczas homilii powiedziałeś dosadnie, że księża wykorzystują dzieci – nasze, nie swoje. Co zatem rodzice mogą zrobić, by dzieci były bezpieczniejsze – oprócz normalnej czujności i roztropności rodzicielskiej?

Po pierwsze, muszą wiedzieć, co wolno, a czego nie wolno księdzu w relacji z ich dzieckiem. Zatem powinni się zapoznać z kościelnymi wytycznymi odnośnie do prewencji. Po drugie, powinni przekazać tę wiedzę dzieciom w taki sposób, żeby dziecko nie bało się powiedzieć, gdyby poczuło się w relacji z księdzem źle. Powinno wiedzieć, czym jest bezpieczny dotyk. Tego księża nie zrobią.

Jak możemy pomagać ofiarom?

Może warto pomyśleć o funduszu na rzecz terapii i pomocy psychologicznej dla ofiar nadużyć seksualnych w Kościele. Widać, że ofiary uczestniczące w filmie Sekielskich, choć wszystkie doświadczyły skutków ubocznych (np. rozpadu małżeństwa), to jednak przepracowały traumę i same stały się liderami zmiany dla innych ofiar. To są dobrze funkcjonujące społecznie osoby. Jest jednak wiele ofiar, które trauma tak zniszczyła, że żyją poniżej poziomu, na którym mogłyby ↦

↦ żyć. Są rozbite, więc jakaś forma pomocy ze strony wspólnoty wierzących powinna do nich trafić. Oczywiście ofiara musi na to pozwolić.

Publicznie przyznałeś, że jako dziecko byłeś świadkiem wykorzystania dzieci przez księdza. Co zobaczyłeś?

Jako ministrant i lektor wiedziałem, że istnieje w naszym środowisku ksiądz pedofil, choć oczywiście wtedy nie znałem takiej nazwy, ani nie rozumiałem wszystkiego. Wiedziałem, że robi krzywdę niektórym moim kolegom, ale jako nastolatek nie umiałem go jeszcze z tym skonfrontować, choć sam umiałem się oprzeć. On mnie nie mógł skrzywić, gdyż mam taki charakter, że sobie mnie odpuścił. Byłem traktowany na innych zasadach – starał się mnie faworyzować i od pewnych rzeczy izolował. Ale obserwowałem z bliska, jak działał jako sprawca. Cieszył się w środowisku ogromnym autorytetem i był bardzo przebiegły. U niego w mieszkaniu chłopcy byli codziennie. Myśmy do niego przychodzili, niektórzy nawet tam spali, ale ci, co byli krzywdzeni, nie mówili o tym wprost, bo nie potrafili.

Jak ta sprawa była załatwiana?

Za pierwszym razem, gdy byłem w jezuickim nowicjacie, spotkałem się z przedstawicielem kurii, co miało charakter przekazania poufnej wiadomości. Za drugim razem, po wielu latach, już jako ksiądz, pojechałem zeznawać przed sądem kościelnym.

Jaki był finał?

Sprawca zmarł i w związku z tym sprawa ostatecznie została zamknięta.

Czym ta sprawa jest dla Ciebie?

Nigdy nie zapomniałem, że były ofiary, i zobaczyłem, jak przebiegli potrafią być przestępcy oraz jak silnie ochrania ich funkcja i struktura.

Postulujesz powołanie wewnątrzkościelnej komisji z udziałem świeckich do badania nadużyć. Czy taka komisja pod kuratelą biskupią byłaby skuteczna?

Z punktu widzenia prawa świeckiego wiele przypadków się przedawniło albo nie było przestępstwami, np. współżycie z osobą powyżej 15. roku życia. Dlatego powinna być to komisja kościelna, a świeccy niepodlegający bezpośrednio biskupom gwarantowaliby kontrolę – każdy członek takiej komisji miałby wgląd w kościelne akta.

Z powołanej przez Franciszka watykańskiej komisji ds. ochrony małoletnich szybko odeszły osoby będące w dzieciństwie ofiarami, na znak protestu wobec jej nieskuteczności.

Okazała się nieskuteczna nie dlatego, że miała zły skład, tylko dlatego, że ignorowali ją niektórzy kardynałowie z kurii rzymskiej. Paradoksalnie, właśnie z tego powodu nie można z takiego pomysłu rezygnować.

Gdybyś mógł decydować, co byś zrobił z pomnikiem ks. Makulskiego w Licheniu?

Usunąłbym bez skrupułów.

Ojciec Rydzyk, niektórzy publicyści, a także politycy mówią, że teraz następuje frontalny atak na Kościół.

To reakcja obronna. Tak mówią ci, którzy nie chcą dopuścić do prawdziwych reform w Kościele. Co to za atak na Kościół, skoro zajmujemy się ofiarami Kościoła w Kościele? Mamy do czynienia z największym kryzysem w Kościele powszechnym od czasów Reformacji, który stworzyliśmy na własne życzenie. Przecież to nie kosmici wykorzystują dzieci w Kościele, ani nie zlecają im tego wrogowie Kościoła!

Uważasz, że abp Sławoj Leszek Głódź powinien podać się do dymisji?

Myślę, że tak – i tak myśli zdecydowana większość katolików.

A jak do tego doprowadzić?

Konsekwentnie nie odpuszczać. Domagać się wyjaśnienia wszystkich spraw związanych z archidiecezją gdańską i nie dać się zwieść pustym przeprosinom.

Czy przyjazd do Polski abp. Charlesa Scicluny coś może zmienić?

Może wiele, bo nie sądzę, że będzie to „kurtuazyjna wizyta".

Ale on przyjeżdża jako ekspert, a nie jako prokurator.

Biskupi zaprosili go, gdyż miał być świadkiem tego, że postępują zgodnie z wytycznymi papieża. Przeliczyli się, ponieważ nie spodziewali się, że w międzyczasie wybuchnie aż taki kryzys. Scicluna, przyjeżdżając do Polski na zebranie plenarne Episkopatu 13 i 14 czerwca, będzie doskonale zorientowany w naszych problemach. Oczywiście, jeżeli papież nie da mu specjalnej władzy, to nic dodatkowo nie zrobi. Ale wystarczy, że wysłucha głosów, które inaczej do niego by nie dotarły. Nie wierzę zresztą, że nie zdaje sobie sprawy, iż charakter jego wizyty przynajmniej nieoficjalnie musi ulec zmianie. Zakładam, że Franciszek dodatkowo do czegoś go w sprawie Polski upoważni.

©℗ Rozmawiali
ANNA GOC I ARTUR SPORNIAK

KS. JACEK PRUSAK SJ (ur. 1971) jest jezuitą, teologiem i psychoterapeutą, kierownikiem Katedry Psychopatologii i Psychoprofilaktyki Instytutu Psychologii Akademii Ignatianum w Krakowie. Wieloletni członek redakcji „Tygodnika Powszechnego", od 2018 roku jej stały współpracownik.

GRAFIKA MIECZYSŁAW WASILEWSKI

PO STRONIE OFIAR

O wykorzystywaniu seksualnym nieletnich, o zmowie milczenia i innych grzechach polskiego Kościoła piszemy konsekwentnie od lat.

Wybór najważniejszych tekstów „TP" z ostatniego dwudziestolecia na temat, który wstrząsa dziś Polską, w bezpłatnym i aktualizowanym internetowym wydaniu specjalnym.

Czytaj na: TygodnikPowszechny.pl/postronieofiar

KAROLINA SIKORSKA / AG

O. Władysław Wołoszyn podczas spotkania z okazji jego 75. urodzin. Poznań, czerwiec 2004 r.

Z komuną walczył satyrą

STANISŁAW ZASADA

Esbek mówi, że są zadowoleni z jego postawy. Dla ojca Wołoszyna to zniewaga. W niedzielę powie kilka zdań o sypiącej się gospodarce. Papieża więc nie zobaczy.

Na starych zdjęciach odprawia msze. Na leśnej polanie przy pieńku, w góralskiej chacie, na łące. Na innych łazi ze studentami po górach, płyną Dunajcem, w andrzejki leją wosk.

Wychowankowie: – Uczył, jak być wolnym nawet w niewoli, otwartości na innych, podejmowania osobistych wyborów.

Jezuita Władysław Wołoszyn był duszpasterzem akademickim w Toruniu ćwierć wieku. Mawiano, że z duszpasterstwa zrobił drugi uniwersytet. Komuniści go przeklinali. Psuł ideologiczną robotę.

„Na zmartwychwstanie będę czekał w Toruniu!" – napisał.

Potem wyjaśni, że tam chce być pochowany. I że w tym wieku przystoi mu tak pisać.

22 maja kończy 90 lat.

Tedy

Spójnik „tedy" – jego znak rozpoznawczy. Używa go jak przecinka, stanie się jego drugim imieniem. „Tedy" – tak do Władysława Wołoszyna zwracają się ci, którzy są z nim w zażyłości. Wiek nie ma znaczenia – przejście na „ty" proponuje młodszym o kilkadziesiąt lat studentom.

Ale to nie brat łata. Niektórzy uważają, że jest emocjonalnie chłodny.

Wyzwolenie

Ktoś by pomyślał, że to kółko samokształceniowe, nie duszpasterstwo. Owszem, modlą się. Ale głównie dyskutują. O filozofii, encyklikach, nauce społecznej Kościoła. Analizują Norwida, rozprawiają o Miłoszu, Herbercie. „Tedy" podsuwa do czytania „Znak", „Więź", „Tygodnik Powszechny".

Artystom pozwala wystawiać w kościele obrazy, rzeźby. Studentom wystawić spektakl – „Wyzwolenie" zagrają w prezbiterium.

– Literatura i sztuka budzą w człowieku moralny niepokój – tłumaczy. A jemu chodzi o to, żeby młodzi ludzie nie godzili się na otaczający świat.

– Duszpasterzem akademickim zostałem przypadkiem – nie zgrywa się. Początek lat 60. Polska zapomniała już o Październiku, Gomułka walczy z religią. W Rzymie zaś trwa Sobór – Kościół otwiera się na świat.

Wołoszyn jest tuż po święceniach. Przełożeni posłali go do Torunia, każą zajmować się studentami. A on nie ma o tym zielonego pojęcia. Robi zwiady po innych duszpasterstwach, rozmawia ze studentami, duchownymi, intelektualistami. Zrozumiał, że ma uczyć dojrzałego chrześcijaństwa. I że religia to dialog.

Akurat to miał we krwi.

Sybir

Huta Lubycka, stara wieś na Roztoczu. Wołoszynowie mają siedmioro dzieci. I dużo ziemi. Do kościoła siedem kilometrów. Latem chodzi się pieszo (konie zmęczone są pracą w polu), zimą jeździ saniami. Sąsiadami Wołoszynów są Ukraińcy. Chodzą do cerkwi, obchodzą grekokatolickie święta. Władek uczy się z ukraińskimi dziećmi. Widzi, że można mówić innym językiem i inaczej się modlić.

Ma 11 lat. Ukląkł z rodziną, mówią „Pod Twoją obronę". Matka każe mu założyć dwie pary spodni, kilka koszul, swetrów. Jest luty 1940 r. Stalin deportuje Polaków na Sybir. Wołoszynowie jadą miesiąc w towarowym wagonie. Władysław nawet 80 lat później pamięta wstrętną kaszę i ciemny, gliniasty chleb. I „Godzinki", które śpiewali.

Osiedlili ich pod Irkuckiem. Ojciec rąbie w tajdze drzewa, Władek zbiera gałęzie – dzieci też pracują. Miejscowi Rosjanie przynoszą mleko, chleb, kartofle, słoninę.

„*Polsza budjet*" – słyszą latem 1941 r. Sikorski podpisał ugodę ze Stalinem, mogą przeprowadzić się do miasta. Dwa lata później powstaje polska szkoła, Władek kończy czwartą i piątą klasę. Starszy brat Zbyszek idzie do polskiego wojska tworzonego przez Sowietów. Do armii Andersa nie udało się dostać – byli za daleko.

Wołoszynowa jest krawcową, za żywność obszywa miejscowych po kołchozach. Zabiera ze sobą Władka. Gospodarze zaproszą czasem do stołu. – My z mamą się przeżegnaliśmy, a oni długo bili pokłony przed ikoną i dopiero usiedli – wspomina.

Do Polski wrócą po wojnie. Władysław Wołoszyn będzie często opowiadał o Sybirze. Nigdy ze zgorzknieniem. ↦

Paszport

Znajomy ksiądz wypisał na karteczkach: jezuici, pallotyni, salezjanie. Kartki wrzucił do kapelusza. Władek wylosował jezuitów.

Że będzie zakonnikiem, postanowił w gimnazjum. Znał tylko franciszkanów – mieli sanktuarium w Rawie Ruskiej, jako dzieciak chodził tam na odpusty. Zdał się na los. Za nim do jezuitów pójdą młodsi bracia: Tadeusz i Mieczysław. We trójkę odprawią mszę na grobie Zbyszka. Poległ pod Berlinem, leży koło Szczecina.

Rok 1963. Szykuje się na studia do Rzymu – jezuici mają tam Collegium Rusicum, uczą wschodniej teologii. Potem pojedzie nad Bajkał. – Ci ludzie urzekli mnie dobrocią, gościnnością, otwartością – wspomina Sybir. – Widziałem tam wielki głód Boga.

Ale Ludowa Polska nie daje mu paszportu. Przełożeni wysyłają go do Torunia. Wierzy, że na rok, góra dwa. Zostanie dwadzieścia pięć.

Bliźni rządzący

Kościół Świętego Ducha stoi na rynku. Profesorowie i studenci Uniwersytetu Mikołaja Kopernika mówią, że to drugi uniwersytet. Na duszpasterstwo Wołoszyna – „siódmy wydział".

Co środa wykład otwarty. O religii, Kościele, ale też o filozofii, społeczeństwie, ekonomii, kulturze. Przyjeżdża Karol Wojtyła, Józef Tischner, Henryk Muszyński, Józef Życiński, Jerzy Turowicz, Anna Kamieńska, Stefan Kisielewski, Tadeusz Mazowiecki, Jacek Woźniakowski, Bohdan Cywiński, Stefan Bratkowski, Andrzej Drawicz. Kościół pęka w szwach.

Na akademickich mszach „Tedy" lubi podzielić się tym, co sądzi o poczynaniach „bliźnich rządzących". Komentuje artykuły z partyjnej prasy albo dziennik telewizyjny. Ze szczyptą ironii.

– Z komuną walczyłem satyrą.

Janka Ochojska siedzi na wykładzie z fizyki. Rozdają deklaracje wstąpienia do Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. Chce się zapisać, ale zabrakło formularzy. Nowe będą za tydzień. Koleżanka prowadzi ją do duszpasterstwa. „Tedy" mówi, że ma się nie zapisywać.

Czerwiec 1980 r. Dali mu paszport, szykuje się z pielgrzymką do Rzymu. W programie audiencja u Jana Pawła II. Esbek mówi, że są zadowoleni z jego postawy. Dla Wołoszyna to zniewaga. W niedzielę powie kilka zdań o sypiącej się gospodarce. Papieża nie zobaczy.

Mało bojowy

Karnawał Solidarności. Doradza toruńskim działaczom, wspiera studenckie strajki. Ale nie wszystko mu się podoba. – Byłem za dialogiem, nie za wojną – tłumaczy. – Przeszkadzało mi, że wielu działaczy nienawidziło tych z drugiej strony.

Radykałowie mają mu za złe, że jest za mało bojowy.

Kilka tygodni przed stanem wojennym zaprosił Tadeusza Mazowieckiego. Przyszły premier mówił o tym, co Solidarność zmarnowała.

Kazanie

Wszyscy czekają na to, co powie na koniec mszy. Normalnie, w czasie ogłoszeń duszpasterskich, ludzie patrzą na zegarki. Nie u „Tedego". W czasie swoich słynnych „ogłoszeń" poleci ciekawy film, spektakl, książkę. Coś skomentuje.

W kazaniach jest pobożny – mówi o tym, co było w Ewangelii. Nie chce zaśmiecać liturgii sprawami doraźnymi. Nie jego styl. Do dziś nie lubi polityki w Kościele.

Napis

„Zima wasza, wiosna nasza" – farba na murze jeszcze świeża. To już stan wojenny. Wołoszyn pomaga uwięzionym, odprawia msze za ojczyznę, jest nieformalnym kapelanem podziemia. Ale nie wzywa na barykady. – Nie chciałem się wygłupiać i urządzać awantur – powie. Nie rozpamiętuje „rachunku krzywd". Woli „pracę w głąb".

Na rekolekcje ściąga Huberta Czumę. Też jezuita, opozycjonista, siedział w więzieniu. Niektórzy spodziewają się, że będzie ostro. A tymczasem Czuma analizuje sejmowe kazania Skargi. Królewski kaznodzieja wytykał w nich narodowe przywary. – Umówiliśmy się, że nie będzie agresji – Wołoszyn pamięta tamte rekolekcje.

Studentom lubi powtarzać anegdotkę związaną z Tischnerem. W stanie wojennym niektórzy mieli za złe krakowskiemu kapłanowi, że nie atakuje komunistów. Ktoś namazał na murze: „Ksiądz Tischner uczy ludzi tchórzostwa". Podobno bohater napisu długo nie pozwalał go zamalować.

Czasem powie ostro. Jak w maju 1986 r. Jest po awarii w Czarnobylu (radioaktywna chmura dotarła nad Polskę) i po propagandowych obchodach Święta Pracy.

– Dostaliśmy prezent ze Wschodu, a Polacy szli w pierwszomajowych pochodach jak barany – nie wytrzymał. Ludzie wychodzili ze spuszczonymi głowami.

Poznań

– Nie przesadza się starych drzew – ubolewają znajomi, gdy przenoszą go z Torunia do Poznania.

Trafia tutaj w 1988 r. Razem z Wacławem Oszajcą zakładają Ośrodek Kultury Chrześcijańskiej. „Tedy" znów organizuje wykłady. Tym razem dla naukowców – nie chce wchodzić w drogę dominikanom, którzy od lat zajmują się studentami. Powstaje „Galeria u Jezuitów".

„Wielkopolanin z Roztocza" – ochrzczą go szybko poznaniacy. Gdy dziesięć lat temu odchodził do Bydgoszczy, nie chcieli go puścić, jak kiedyś torunianie.

Burzyciel

Prowadzi działalność antypaństwową, sieje ferment, podważa socjalizm – słyszy na przesłuchaniach. Gra z nimi w słownego ping-ponga – marksizm przerobił dobrze na jezuickich studiach. „Burzyciel" – taki kryptonim nadali mu esbecy.

Nie tylko bezpieka ma go dość. Gdy działacz SZSP buntuje się, że na czas Wyścigu Pokoju studenci mają się wynieść z akademików, słyszy pretensje: „Robisz taką robotę jak Wołoszyn".

Nie ugną się pod nim nogi, gdy plotkują, że donosił bezpiece.

Nie musiał się bać – teczka współpracownika była fałszywa. Spreparował ją esbek, któremu nie dał się złamać. Wyciągnie z tego morał: – Materiały w teczkach trzeba traktować mniej serio.

Wiadomości

„Czyta stosy zadrukowanego papieru" – jeszcze w Toruniu mówili o nim znajomi.

Nic się nie zmieniło. W klasztornej celi w Gdyni (jest tu rok): Teilhard de Chardin, Wojtyła, Tischner. Wciąż ogląda telewizyjne „Wiadomości". Mówi, że czuje się wtedy o kilkadziesiąt lat młodszy.

Znów mówi to z sarkazmem.

© STANISŁAW ZASADA

Korzystałem z książki „Ślady obecności ojca Władysława Wołoszyna w naszym życiu" (Wyd. Naukowe UMK w Toruniu, 2003).

Ekumenizm w cieniu islamu

ANNA I KAROL WILCZYŃSCY Z RABATU

W kraju muzułmańskim działa szkoła kształcąca liderów dla afrykańskich wspólnot katolickich i protestanckich – inicjatywa bez precedensu.

FB / AL MOWAFAQA

Wspólny posiłek w Instytucie Al Mowafaqa, lipiec 2017 r.

Okoliczni mieszkańcy wspominają, że tych kilka klas lekcyjnych, dwie duże sale, małe biuro, dziedziniec i ogród przy Chellah Avenue należały kiedyś do Małych Sióstr Zwiastowania. Zakonnice prowadziły tam niewielką przychodnię i aptekę dla ubogich Marokańczyków. Po wyprowadzce sióstr z Rabatu miejsce przemianowano na bibliotekę. Dzisiaj ten sam niepozorny budynek w kolorze piasku chowa się w cieniu najbardziej znanych hoteli marokańskiej stolicy. To tam w 2012 r. założono Ekumeniczny Instytut Teologiczny Al Mowafaqa – pierwsze tego typu wspólne przedsięwzięcie Kościołów katolickich i protestanckich w Afryce, gdzie kształci się świeckich liderów religijnych.

Kościelny lider do wszystkiego

Instytut wydaje się łączyć w sobie funkcje biblioteki i kliniki, które w przeszłości zajmowały tę samą przestrzeń – jest miejscem edukacji, które jednocześnie stara się leczyć relacje między różnymi wspólnotami chrześcijańskimi oraz między chrześcijanami i muzułmanami. – Można powiedzieć, że kontynuujemy tradycje, które były tu przed nami – śmieje się Jean Koulagna, dyrektor Instytutu Al Mowafaqa i luteranin z Kamerunu. – Ale tym, co naprawdę stało się podstawą dla powstania tej inicjatywy, była afrykanizacja wspólnot chrześcijańskich – dodał.

Wraz z intensyfikacją migracji i nowym tempem zmian w krajach Afryki lokalne Kościoły zaczęły potrzebować nowych świeckich liderów, kierowników duszpasterstw, katechetów. Ludzi nie tylko młodych, wykształconych, energicznych, ale nade wszystko miejscowych, którzy od podszewki znają specyfikę lokalnych problemów i potrafią stawiać czoło tym samym wyzwaniom, z którymi mierzą się członkowie ich wspólnot. A wymaga to nie lada zdolności. W zależności od kraju i regionu kościelni liderzy muszą potrafić katechizować dzieci, doradzać kobietom, wspomagać migrantów, wspierać potrzebujących. Z jednej strony potrzebują wiedzy i siły do jej przekazywania. Z drugiej – delikatności do poruszania się po kruchym lodzie relacji pomiędzy konkurującymi ze sobą wyznaniami chrześcijańskimi oraz po grząskim gruncie zaognionych stosunków chrześcijańsko-muzułmańskich.

– Najważniejsze dla nas jest to, że mamy studentów z rejonów od lat ogarniętych konfliktami: z Kamerunu, Wybrzeża Kości Słoniowej, Beninu, Nigru. Oni zabiorą swoją wiedzę i doświadczenie z powrotem do domu – tłumaczył Koulagna, przełożony placówki. – Możesz tu spotkać reprezentantów wielu Kościołów: luterańskich, katolickich, anglikańskich, pentekostalnych. Ale założę się, że gdybym ci o tym nie powiedział, nie byłabyś w stanie się zorientować – roześmiał się dyrektor.

Zacząć rozmawiać jak nigdy dotąd

Każdego roku biskupi kilkunastu afrykańskich diecezji typują jednego lub dwóch kandydatów, którzy otrzymują stypendium na wyjazd do Maroka i naukę w Instytucie Al Mowafaqa. Podczas dwuletniego pobytu studenci na zmianę przebywają w Rabacie, gdzie studiują w ramach kilkudniowych zjazdów, oraz w oddalonych od stolicy diecezjach, gdzie przechodzą praktykę w parafiach.

– Oprócz teologii chrześcijańskich, protestanckiej i katolickiej, studiuję arabski, hebrajski, grekę oraz islam – o swoim doświadczeniu studiów na Al Mowafaqa opowiadała Keren Manzenge z Demokratycznej Republiki Konga. Do Maroka przyjechała osiem lat temu studiować prawo. Jako liderka stowarzyszenia studenckiego na uniwersytecie w Settacie organizowała wspólne obchody chrześcijańskich i muzułmańskich świąt czy międzyreligijne recytowanie Koranu. Dwa lata temu arcybiskup Rabatu wysłał ją na studia teologiczne do Instytutu Al Mowafaqa. Co kilka tygodni podróżuje między Rabatem a Marakeszem, gdzie pracuje w katolickim stowarzyszeniu studentów, zajmuje się pomocą migrantom i prowadzeniem katechezy przy kościele franciszkanów.

– Teraz jak nigdy dotąd w historii naszego kontynentu potrzebujemy rozmawiać. W Afryce wciąż toczy się wiele konfliktów podsycanych argumentami religijnymi – dla Keren, obywatelki państwa, w którym do 2003 r. trwał wyniszczający wiele sąsiednich krajów konflikt, szczególnie ważny w programie nauczania Instytutu był nacisk na przygotowanie absolwentów do prowadzenia działań na rzecz dialogu. – Aby budować od nowa, ↦

↦ musimy w pierwszej kolejności nauczyć się, jak ze sobą rozmawiać – dodała dziewczyna.

Nie od razu stanowili jedno

Mottem Al Mowafaqa są słowa z Ewangelii św. Jana (17, 21): „Aby wszyscy stanowili jedno". Jednak Jean Koulagna wspomina, że u początków działalności Instytutu te słowa nie miały pokrycia w rzeczywistości. – Niektórym protestantom było ciężko uznać katolików za chrześcijan. Podobnie katolicy wcale nie byli otwarci na studiowanie teologii protestanckiej – dodał dyrektor. Zachowania studentów odzwierciedlały uprzedzenia obecne we wspólnotach, z których przybyli.

Nie wszystkie Kościoły od razu zgodziły się posyłać swoich reprezentantów do Instytutu. Dla jednych było problemem, że tylko połowa wykładowców to katolicy, dla drugich, że tylko połowa to protestanci. Niektórzy lokalni zwierzchnicy Kościołów do idei wspólnego kształcenia liderów wspólnot przekonali się dopiero niedawno, w siódmym roku istnienia inicjatywy. – Al Mowafaqa jest ekumenicznym instytutem teologii, ale nie instytutem teologii ekumenicznej. To dla nas ważne rozróżnienie – wyjaśnił Koulagna. – Nie uczymy teologii ekumenicznej. Budując nasze programy nauczania, bierzemy pod uwagę punkty, na które wyczulone są poszczególne wyznania – dodał dyrektor.

Instytut proponuje studentom trzy różne programy nauczania. Najważniejszy z nich, którego ukończenie wiąże się z uzyskaniem tytułu licencjata z teologii, został zaprojektowany wspólnie przez Katolicki Uniwersytet Paryski oraz Uniwersytet w Strasburgu. Ponadto każdego roku studenci poświęcają jeden semestr programowi z zakresu dialogu międzyreligijnego i międzykulturowego, prowadzonemu przez muzułmańskich i żydowskich wykładowców. Dodatkowo wszyscy przechodzą przez seminaria z islamu. – Jako mniejszość zamieszkująca Maroko mamy obowiązek znać islam. Nie możemy zamykać się w czterech ścianach sami ze sobą – mówił Jean Koulagna.

Dialog ma swoje granice

Zajęcia z języka arabskiego, islamologii i historii relacji chrześcijańsko-muzułmańskich prowadzi muzułmanin i marokański islamolog Yelins Mahtat. – Chciałbym, aby moi studenci mieli obraz islamu jako religii, w której żyją muzułmanie, a nie islamu jako systemu – tłumaczy wykładowca. – Nie chodzi tylko o Koran i hadisy, ale także o walki i o miecz, o czynnik ludzki w tej religii, który był aktywny w przeszłości, tak samo jak jest aktywny dziś – dodaje. Na koniec kursu o islamie toczą się rozmowy o współczesnych problemach tej religii. – Korzystając z narzędzi, które daje nam historia, możemy próbować wyjaśniać część tych problemów – mówi Marokańczyk.

Podczas prowadzonych w Instytucie zajęć z historii toczą się dyskusje na temat relacji międzyreligijnych i międzykulturowych, ich podłoża oraz współczesnego kształtu. – Uczymy historii relacji muzułmańsko-europejskich pamiętając o tym, że pierwszymi muzułmanami, których spotkali Europejczycy, nie byli sufi, lecz żołnierze nadciągającej armii muzułmańskiej – Mahtat jest zdania, że uczciwe spojrzenie na historię relacji między religiami może uzdrowić stereotypy, którymi się posługujemy, a do których współcześnie nie mamy ochoty się przyznawać. Dlatego ze studentami nie boi się rozmawiać o kolonializmie i jego związku z chrześcijanami. Kto podtrzymywał wyzysk kolonialny krajów Afryki? Czy kolonializm był winą chrześcijan? To tylko niektóre pytania, z którymi mierzą się studenci na jego zajęciach.

Tworzenie atmosfery dialogu ma jednak swoje granice. Władze Maroka zezwalają na działanie Instytutu tak długo, jak długo nie zajmuje się kształceniem Marokańczyków i muzułmanów. – Nie ma możliwości, aby studiowali u nas miejscowi – Jean Koulagna mówi otwarcie. – Próby przyjęcia muzułmańskich studentów do naszego Instytutu zostałyby potraktowane jako akt prozelityzmu, który w tym kraju jest karany deportacją lub więzieniem.

Nie dla prozelityzmu, nie dla konwertytów

Do dziś, pomimo zauważalnych ustępstw na rzecz różnych wspólnot wyznaniowych, sytuacja religijna w Maroku jest daleka od ideału. W maju 2018 r., kiedy przygotowania do wizyty papieża Franciszka w Maroku były już na zaawansowanym etapie, Ahmed Toufiq, minister ds. islamu z rządzącej partii KNN (Partii Sprawiedliwości i Rozwoju), powiedział, że marokańscy obywatele przechodzący na chrześcijaństwo bądź szyizm „są jak wirus". Widząc oburzenie mediów, liderzy KNN naciskali ministra, aby przeprosił za tę wypowiedź. Toufiq poprzestał na wyjaśnieniu, że obywatele Maroka powinni być „zaszczepieni" i odporni na każdy rodzaj wierzeń, który kłóci się z islamem sunnickim.

Władze Maroka na czele z królem Muhammadem VI szczycą się tym, że zarówno żydzi, jak i chrześcijanie różnych wyznań mają swoje miejsca modlitwy w największych miastach w kraju. Z drugiej strony otwarcie prześladują nie tylko cudzoziemców dopuszczających się aktów prozelityzmu, ale także własnych obywateli, którzy wyparli się islamu. Chociaż prawo państwowe nie stanowi o tym wprost, przejście na inną religię czy nawet na islam szyicki grozi sankcjami i uwięzieniem, zerwaniem więzów rodzinnych i ostracyzmem. – Ci ludzie chcą być uznani za pełnoprawnych obywateli. Nie chcą być wykluczeni z marokańskiego społeczeństwa tylko dlatego, że wyznają inną religię – komentuje sytuację konwertytów Yelins Mahtat. Szacuje się, że w Maroku mieszka około 5 tysięcy osób, które z islamu przeszły na chrześcijaństwo i utrzymują swoją decyzję w tajemnicy.

Prorocki znak w Maroku

Instytut Al Mowafaqa staje w poprzek logiki prozelityzmu i obecnej na kontynencie praktyki rywalizacji wyznań. Zamiast zaogniać i tak napięte relacje międzyreligijne, zaprasza do współtworzenia dialogu członków wspólnot chrześcijańskich i niechrześcijańskich, znajdując dla siebie niszę w sztywnych ramach wyznaczonych przez władze oraz wykorzystując wszystkie możliwości, jakie prawo pozostawia innowiercom w kraju.

Tę działalność docenił papież Franciszek podczas swojej oficjalnej wizyty w Maroku w marcu tego roku. O instytucie wspomniał w swoim pierwszym przemówieniu na placu pod wieżą Hassana. – Za proroczy znak uważam również utworzenie z inicjatywy Kościołów katolickiego i protestanckich w Maroku Instytutu Ekumenicznego Al Mowafaqa – mówił papież w Rabacie. – Ta chwalebna inicjatywa wyraża troskę i wolę mieszkających w tym kraju chrześcijan, by budować mosty, aby wyrazić ludzkie braterstwo i jemu służyć.

© ANNA I KAROL WILCZYŃSCY

SZYMON

Hołownia:
Kościół przetrwa, bo nie jest wasz

Polski Kościół nie przerabiał jeszcze kryzysu tej miary. Radzi z nim sobie na razie na dwóję (w skali dziesięciostopniowej). Fatalnym błędem biskupów była zmowa korporacyjnego milczenia, gdy byli proszeni o wypowiedzi do filmu Tomasza Sekielskiego. Dziś rzucili się do mediów na wyprzódki, sprzątanie czegoś, co już się rozlało, to jednak zadanie kosztochłonne i łatwe do zdyskredytowania. Poza tym: gdy słucham większości z nich (są wyjątki), mam wrażenie, że chyba tylko oni sami wierzą w to, że przede wszystkim chodzi im o dobro ofiar, a nie o „dobro Kościoła" jako instytucji, jego interesy i wizerunek.

Dziś, gdy trzeba wyjść zza rzeczników, iść na ulicę, do ludzi, czuć ich gniew, płakać z nimi, przepraszać, zapewniać, że rozumie się ich lęk o własne dzieci – oni opowiadają o tym, jak skrupulatnie realizują procedury. Zamiast już dawno płacić odszkodowania – rozważają powołanie stosownego funduszu. Ludzie wybaczą wiele, ale nie wybaczą niezrozumienia ich najbardziej tkliwych (chodzi przecież o święty symbol niewinności, o dzieci) emocji. Jeszcze nigdy polskie „owce" nie były tak pozostawione przez swoich arcypasterzy.

Poruszony filmem, pisałem o tym wiele na Facebooku. Temat gorący, zasięgi szły w miliony. Dostałem liczne wiadomości od młodych księży, przerażonych nie tym, że ludzie opluwają ich teraz na ulicy i krzyczą za nimi „pedofil", lecz bezdusznością przełożonych, a także własnym strachem przed nimi, który – co teraz widzą – w nich wszczepiono. „Proszę was, świeccy bracia, bądźcie naszym głosem. Pomóżcie nam! Młodość jest w nas zabijana, karcona. Jesteśmy sfrustrowani olewaniem ze strony naszych biskupów, którzy w seminarium zapewniali, że ich drzwi są dla nas zawsze otwarte, dobici nieudolnie prowadzoną katechezą szkolną i pokonani kolejnymi skostniałymi »zawsze tak było«. Bądźcie naszym głosem, bo mamy związane ręce, bo boimy się kary. I to nie jest normalne. Chcemy Kościoła z Dziejów Apostolskich, bo nikt z nas nie odczytał powołania jako wstępu do kopalni złota, drogi do tytułów czy miejsca »użycia sobie«".

Kto jeszcze, czytając takie słowa, ma wątpliwości co do tego, że ostatnie proroctwo Franciszka („pewnego dnia Duch Święty przewróci kopniakiem stolik i będziemy musieli zaczynać wszystko od początku") ma szanse spełnić się nad Wisłą? Żałosne próby obrony *status quo*, które natychmiast podjęła partyjna propaganda PiS (może i murarze gwałcą więcej – rzecz w tym, że nie występują jako *alter ego* Pana Boga), debilizmy o „planie Sorosa" albo o tym, że Sekielski zrobił film dla oglądalności (zaiste morderczy argument: bo wiarygodne jest tylko to, czego nikt nie chce oglądać), w poważnej analizie można chyba sobie darować.

Sytuacja jest w mojej ocenie bliska krytycznej. Jestem zaprawiony w bojach, nie takie rzeczy wylewano mi na głowę, ale ilu moich współbraci wytrzyma, gdy tysiące ludzi krzyczy dziś, że trzeba zdelegalizować Kościół jak mafię albo faszystowskie bojówki, że każdy chodzący na Eucharystię (co za absurd) jest współwinny gwałcenia dzieci? Ilu z nas znajdzie w sobie tyle siły, by dalej być – wobec sąsiadów, znajomych – twarzą organizacji, która miast twarzy i słów Chrystusa miewa twarz i słowa Sławoja Leszka Głódzia?

Część z nas okopie się na pozycjach: „atakują Kościół, więc się bronimy" (co za idiotyzm; Kościół atakowano, gdy gwałcono dzieci, nie wtedy, gdy Sekielski to ujawnił), część zniechęcona – odejdzie; ale nie przez huczne apostazje, tylko tak jak się u nas z Kościoła odchodzi: przez stopniowe rozluźnianie więzi. Jedyna nadzieja w tej, nie wiem jak licznej, części, która zrozumie „znaki czasu" i znajdzie w sobie siłę, by tę stajnię Augiasza doprowadzić do elementarnego porządku.

Początkiem powinna być dymisja całego Episkopatu. Nie traktowana jako zemsta, lecz prosta ocena: Konferencja Episkopatu Polski ewidentnie nie zdała bardzo ważnego egzaminu. Samo jej bycie nie jest żadną wartością dla Kościoła, ona jest w nim po coś. A skoro tego nie wykonuje, to po co nam – w tym kształcie – ona? Żeby po raz kolejny słuchać bzdur, jakie na pamiętnej konferencji opowiadali arcybiskupi Gądecki i Jędraszewski? Egzamin na swoim polu zdali nieliczni biskupi, i – tak jak w Chile – papież mógłby ich dymisji nie przyjąć. Taka dymisja byłaby nie ucieczką, lecz oznaką dojrzałości. Świadomości, że Kościół jest Chrystusa, a nie tego czy tamtego kapłana.

Absolutnym (i symbolicznym) minimum jest natychmiastowe odejście z urzędu metropolity gdańskiego. Licznymi skandalicznymi wypowiedziami (w wymuszone przeprosiny za jedną z nich uwierzyć może chyba tylko arcymistrz naiwności) z imponującą konsekwencją kompromituje on siebie i Kościół, a o jego metodach sprawowania rządów mówią wszyscy, ale nikt głośno, bo opiera się on na kulturze strachu. Czas zarządzania Kościołem jak oddziałem partyzantów albo PGR-em minął trzydzieści lat temu. Warto byłoby też odkryć, że ma się dokładnie zerową wiarygodność mówiąc ludziom, jak mają żyć, współżyć i walczyć z „cywilizacją śmierci", jeśli toleruje się ją w swoich własnych szeregach.

Oczywiście, że w Kościele dzieje się dużo dobrego. Rzecz w tym, że przez brak radykalizmu, ślepotę, głupotę, lęk, ukrywanie tematu, proceduralne kluczenia, złu nadano olbrzymi impet, włączono je w nasz kościelny krwiobieg. Amputacja nie będzie przyjemna, lecz jest niezbędna, jeśli gangrena nie ma wykończyć organizmu. Miejsce księży przestępców nie jest w domach dla emerytów, tylko w więzieniu (a jeżeli sprawy się przedawniły w świetle prawa cywilnego – w kościelnych miejscach odosobnienia). Surowa kara musi dosięgnąć wikarych, proboszczów, dziekanów, kurialistów, katechetów, sąsiadów, zakrystianów – wszystkich, którzy wiedzieli, a nie powiedzieli albo rzecz bagatelizowali.

Licznym księżom biskupom krzywda się wielka nie stanie, jeśli zostawią stołki i wieść będą odtąd życie zwykłych księży: kto powiedział, że były ordynariusz nie przyda się do pracy w parafii, szpitalu, więzieniu? Nie wiem, kto przyjdzie po nich. Ale wiem, że dalej w tym składzie i w taki sposób nigdzie dalej już nie pojedziemy. Roztrwoniliście, drodzy pasterze, cały kapitał wiarygodności. Wrobiliście Jezusa. Kościół przetrwa, bo on nie jest wasz. Ale nie leje się nowego wina do starych bukłaków. ©

WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI i ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie

Rozmowa jest możliwa

„SZTUKA ROZMOWY" – taki tytuł nosiło pierwsze ze spotkań trzeciej edycji cyklu „Wielkie pytania w nauce", organizowanego przez Wyższą Szkołę Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie we współpracy z „Tygodnikiem Powszechnym". W pewien sposób określiło ono wątek przewodni całej edycji; temat rozmowy, rozumienia i porozumienia powracał podczas kolejnych spotkań. I nic w tym dziwnego. W świecie, w którym wymieniamy ze sobą więcej komunikatów niż kiedykolwiek w historii, coraz silniej odczuwamy niedosyt prawdziwej rozmowy. Doskwierają nam też istniejące w naszym społeczeństwie podziały – to, że staliśmy się wspólnotą dwóch, a nawet więcej języków.

To pierwsze spotkanie odbyło się 5 grudnia 2018 r., a udział w nim wzięli: wybitny językoznawca i popularyzator wiedzy o języku prof. Jerzy Bralczyk oraz dziennikarz i satyryk Michał Ogórek. Prof. Bralczyk zwrócił uwagę, że prawdziwa rozmowa jest przede wszystkim spontanicznością. „Kiedy sobie uświadamiamy, że rozmawiamy, a zwłaszcza kiedy zapowiadamy: »No to sobie porozmawiamy«, to rozmowa od razu, choć nie rozwinęła się jeszcze, więdnie. A jeżeli słyszę: »No, musimy porozmawiać«, to już bywa niebezpieczne nawet, prawda? Jeżeli dodamy do tego jeszcze: »Musimy poważnie porozmawiać« – już słyszą państwo w tym coś, co odbiera radość z rozmowy, która jest w końcu naszym najbardziej naturalnym sposobem bycia z ludźmi". Reguły, konwencje, konwenanse – zauważył uczony – sprawiają nam przyjemność tylko wówczas, kiedy nad nimi panujemy i potrafimy się nimi swobodnie posługiwać.

Michał Ogórek opowiedział o specyficznym gatunku rozmowy, jakim jest wywiad dziennikarski. W wywiadzie tym, podkreślił, bardzo często wcale nie chodzi o to, że dziennikarz chce się czegoś dowiedzieć od rozmówcy. Chodzi również o to, żeby pokazać, jak ktoś nie odpowiada na pytania. Ogórek przywołał przykład wywiadu, który z jednym z polityków przeprowadzała Monika Olejnik. „Nie pamiętam już z kim, co też jest charakterystyczne – że pamięta się dziennikarzy robiących te wywiady, a nie osoby, z którymi rozmawiają". Otóż ten polityk już na samym początku programu zapowiedział, że o czymś tam nie powie. Na co dziennikarka zareagowała: „Ja nie będę pana o to pytać, tylko chcę się dowiedzieć: dlaczego pan o tym nie chce mówić?". „Wokół tego rozwinęła się cała rozmowa i można powiedzieć, że był to najciekawszy fragment tego wywiadu" – dodał Ogórek.

Ale i podczas spotkania pojawiło się pytanie, na które niełatwo było udzielić odpowiedzi. Przysłał je na kartce ktoś z widowni: „Jaki powinien być język publicznej debaty, żeby łączył, a nie dzielił?". Prof. Bralczyk zmienił ton głosu, tak żeby przypominał wypowiedzi w studiu telewizyjnym, i powiedział: „Na takie pytanie odpowiada się: »To jest świetne pytanie i bardzo dziękuję, że zostało zadane. Wydaje się, że to jest jedno z najważniejszych pytań. Myślę, że jeśli byśmy potrafili odpowiedzieć sobie na to pytanie, tobyśmy bardzo dużo o świecie wiedzieli. Dlatego bardzo dziękuję, że zostało ono zadane. I proszę o następne«". Bardzo intrygujący był temat drugiego spotkania: „Czy szczęścia można się nauczyć?" (27 lutego 2019). Zgodnie z przyjętą w tym roku formułą rozpoczęło się od wystąpień zaproszonych gości, którymi byli tym razem dr Ewa Woydyłło-Osiatyńska, psycholożka i psychoterapeutka, oraz ks. prof. Alfred Wierzbicki, etyk, publicysta i poeta. Oboje występujący zwrócili uwagę na to, w jaki sposób można sobie pomóc być szczęśliwym, a Ewa Woydyłło przeprowadziła nawet wśród publiczności „test szczęścia", zadając 13 pytań dotyczących codziennego życia i posiadanych relacji. Potem przyszedł czas na pytania od publiczności, które odczytywał (prowadzący wszystkie spotkania w cyklu) Wojciech Bonowicz. „Czy w szkole powinien być przedmiot »edukacja do szczęścia«?", brzmiało jedno z nich, a prowadzący dodał: „Czy dałoby się prowadzić coś w rodzaju »polityki szczęścia«, tak żeby jak najwięcej ludzi doświadczało dobrostanu, zgody z samym sobą itd.?". „O polityce szczęścia pewnie warto myśleć. Ale wolałbym, żeby żadna partia o tym nie pomyślała" – odpowiedział ks. prof. Wierzbicki. „Co do szkoły, chciałbym, żeby po prostu były tam podejmowane ważne tematy, wśród nich także – temat szczęścia. Jest wiele okazji, kiedy można to robić. Bałbym

DOMINIKA PIĘTAK / ARCHIWUM WSIIZ x2

Z lewej: Spotkanie „Sztuka rozmowy" z prof. Jerzym Bralczykiem i Michałem Ogórkiem. Z prawej: Spotkanie „Cztery pory roku w muzyce i w kosmosie" z udziałem ks. prof. Michała Hellera oraz prof. Konstantego Andrzeja Kulki i zespołu ARSO Ensemble. Wszystkie spotkania poprowadził Wojciech Bonowicz oraz dr Wergiliusz Gołąbek, Rektor WSIiZ.

się natomiast jakiejś takiej »technologii szczęścia«, to może nas naprawdę w złą stronę poprowadzić".
Dr Woydyłło miała nieco inne zdanie: „To jest dobry pomysł – żeby uczyć, przygotowywać ludzi do szczęścia. I często tak się dzieje, nawet jeśli nie ujmuje się tego w ten sposób. Miałam okazję wychowywać się w domu, gdzie rzeczywiście panowała taka aura: jesteśmy szczęśliwi, cokolwiek się zdarzy, to się nie załamujemy. Moja mama mawiała: »Problemami nie trzeba się zajmować, problemy trzeba rozwiązywać«. Nie było takiego trzymania się kurczowo, opowiadania, co było źle". Na pytanie, czy nie jest tak, że w Polsce nie wypada otwarcie rozmawiać o szczęściu, a człowieka pozytywnie nastawionego uważamy za naiwnego, psycholożka odpowiedziała pytaniem: „Jeśli mamy przed sobą trudny problem, to lepiej być w dobrym humorze czy w złym? W dobrym humorze na ogół mamy energię i motywację: chce nam się. W dobrym humorze mamy wyobraźnię, która też ma dobry humor – czyli widzi jasną stronę, nie ciemną. W dobrym humorze wierzymy w to, co mamy zrobić, a w złym – wątpimy. Kiedy stoi przed nami trudne zadanie, trzeba dbać, pracować, starać się o to, by być w dobrym nastroju. A jakie trudne zadanie mamy przed sobą? Życie się ono nazywa. I dlatego ci, którzy są radośni, pełni zapału, więcej osiągają".

Cykl „Wielkich pytań" domknęło spotkanie zatytułowane „Cztery pory roku w muzyce i w kosmosie" z udziałem ks. prof. Michała Hellera oraz prof. Konstantego Andrzeja Kulki i zespołu ARSO Ensemble. Muzycy wykonali cztery sławne koncerty Antonia Vivaldiego, a ks. prof. Heller opatrzył je kosmologiczno-filozoficznym komentarzem. W nim również pojawił się wątek rozmowy, tym razem – pomiędzy nauką a sztuką. „Sztuka jest rodzajem poznania Wszechświata, a nauka rodzajem kontemplacji" – stwierdził mówca. W dyskusji rozwinął ten pogląd: „Osobiście widzę duże pokrewieństwo między nauką i sztuką. I boleję, że nasza kultura często go nie widzi. Powiedziałbym tak: jeśli fizyka jest uprawiana przez rzemieślników, to nie jest sztuką. A jeśli przez artystów – to jest sztuką. Tacy ludzie jak Einstein, Dirac czy Schrödinger to byli wielcy artyści. A Vivaldi i Bach to byli wielcy odkrywcy. Tylko odkrywali te aspekty świata, które są poza zasięgiem standardowej metody nauk ścisłych".
„Z wielką postacią Einsteina jestem powiązany drugi raz w życiu" – zażartował w odpowiedzi prof. Kulka. I przypomniał, jak przed laty zaproszono go, by przygotował muzykę do sztuki Dürrenmatta „Fizycy", w której jeden z bohaterów podaje się za Einsteina. „Akompaniowała mi moja mama. A jakie było generalne założenie? Miałem grać tak nierówno i nieczysto, jak tylko się da". „A potrafi pan grać nieczysto?" – zapytał ks. prof. Heller. „Bardzo się wtedy starałem" – odpowiedział wirtuoz.
Wątek rozmowy pojawił się też podczas spotkania z równoległego cyklu paneli dyskusyjnych „W labiryncie świata", który WSIiZ rozpoczęła wspólnie z klasztorem ojców dominikanów w Rzeszowie. Współorganizatorem tego spotkania (podobnie jak części imprez w ramach „Wielkich pytań") była Fundacja Tygodnika Powszechnego. 21 stycznia w Rzeszowie zjawili się abp Grzegorz Ryś oraz Szymon Hołownia, żeby rozmawiać „O problemach współczesnego chrześcijaństwa". Znów padło pytanie, co zrobić, żeby język publiczny i prywatny był w Polsce lepszy. „Pilnować siebie i pilnować innych" – odpowiedział znany dziennikarz. „Musimy się nauczyć – wszyscy – że człowiek może mieć błędne poglądy, ale to nie znaczy, że jest błędem". Z kolei abp Ryś dodał: „Zamiast nawoływać się nawzajem do zaprzestania wyzwisk i agresji, może ktoś pierwszy z nas powiedziałby »przepraszam«. To bardzo pozytywne i otwierające słowo. Mam głębokie przekonanie, że Episkopat napisze kiedyś taki list, w którym pierwsi powiemy »przepraszam«, niezależnie od tego, jak to będzie przyjęte. Ale to musi być poważne »przepraszam«, to znaczy – musimy także nazwać swoje winy".
Wszystkie spotkania odbywały się w Filharmonii Podkarpackiej im. Artura Malawskiego (zawsze przy pełnej sali), otwierał je i współprowadził rektor WSIiZ, dr Wergiliusz Gołąbek, a pomysłodawcą całego cyklu „Wielkich pytań" był prof. Tadeusz Pomianek, prezydent tej uczelni. Filmowe zapisy spotkań można oglądać na stronie internetowej uczelni: www.wielkiepytania.wsiz.pl/relacje-wideo. Wiemy już, że cykl będzie kontynuowany w kolejnym roku akademickim. Zatem spragnieni prawdziwej rozmowy niech śledzą, co się dzieje w Rzeszowie. © WB

CMENTARZ BEZIMIENNYCH

Chamseddine jest wolontariuszem:
organizuje pochówki imigrantów z Afryki Subsaharyjskiej,
których ciała Morze Śródziemne wyrzuciło na tunezyjski brzeg.

MONIKA PROŃCZUK Z TUNEZJI

Harraga to po arabsku: „Ci, którzy palą”.

W Tunezji *harraga* oznacza osoby, które podejmują ryzyko przeprawy przez Morze Śródziemne do Europy, a przed wejściem do łodzi palą swoje dokumenty. To umożliwia im zmianę tożsamości i pozwala udawać np. Syryjczyków – choć Europejczycy wierzą w to dziś mniej chętnie niż w 2015 r. Bez dokumentów trudniej też zostać deportowanym.

W 2018 r. do włoskich wybrzeży dotarło ponad 5 tys. Tunezyjczyków – więcej niż przedstawicieli jakiegokolwiek innego narodu. Liczba Tunezyjczyków przypływających do Włoch przewyższyła zatem liczbę Erytrejczyków, uciekających z jednej z najokrutniejszych dyktatur świata, a także Irakijczyków czy Sudańczyków.

Niestabilność niszczy turystykę

Do Europy przeprawiło się również dwóch braci Morada, 34-letniego taksówkarza z portowego miasta Zarzis. Dziś jeden mieszka w Paryżu, gdzie (nielegalnie) rozwozi jedzenie. Drugi w Genui, gdzie pracuje w pizzerii (też nielegalnie). W Tunezji obaj pracowali w hotelach, gdzie zarabiali równowartość 150 euro miesięcznie.

Także Morad nieraz rozważał emigrację. Jednak w Zarzisie trzyma go żona i troje dzieci, choć ciężko jest utrzymać rodzinę przy miesięcznej pensji 600 dinarów (równowartość 175 euro). – Nawet gdy jesteś sam, życie jest bardzo drogie. A kiedy masz rodzinę i któreś z dzieciaków np. zachoruje, to prawdziwa katastrofa – mówi mężczyzna, popijając mocną i bardzo słodką herbatę miętową w kawiarni w Zarzisie.

W środę o dziesiątej rano kawiarnia, podobnie jak wszystkie inne w mieście, jest pełna. Przy stolikach bezrobotni mężczyźni popijają kawę lub herbatę i palą papierosy. Nie widać ani jednej kobiety.

Zarzis, jeden z głównych ośrodków turystycznych w Tunezji, jeszcze kilka lat temu tętnił życiem. W tym niewielkim kraju, liczącym 11 mln mieszkańców, działa aż dziesięć hotelarskich szkół zawodowych i trzy hotelarskie szkoły wyższe.

Po 2015 r., gdy w zamachach terrorystycznych w nadmorskim kurorcie Soussi i muzeum Bardo zginęło ponad 60 osób, głównie turystów, branża turystyczna w Tunezji przeżyła zapaść. Wiele największych hoteli zamknięto, a rządy europejskie ostrzegały swoich obywateli przed podróżowaniem do Tunezji.

Ale Morad zamienił pracę w hotelowej restauracji na taksówkę jeszcze wcześniej – w 2011 r. Wtedy turyści przestraszyli się po raz pierwszy – wówczas Jaśminowej Rewolucji, która obaliła dyktatora Ben Alego i dała sygnał do Arabskiej Wiosny w regionie Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. A także przyczyniła się do likwidacji miejsca pracy Morada.

Wolnością się nie najemy

Morad oszacował, że ryzyko związane z wyprawą do Europy jest zbyt wysokie.

Wprawdzie dotąd w Morzu Śródziemnym tonęli głównie migranci z Afryki Subsaharyjskiej, ale zaczęło to się zmieniać wraz ze zwiększoną liczbą tunezyjskich *harraga*. W czerwcu 2018 r. koło brzegu Tunezji zatonęła łódź transportująca 180 migrantów. Zginęło 112 z nich, głównie Tunezyjczyków.

– Ci, którzy wyruszają do Europy, nie mają nic do stracenia. Jest im wszystko jedno, czy umrą tu, czy na morzu. Nie mogę sobie na to pozwolić – mówi Morad.

Wbrew nadziejom Zachodu i samych Tunezyjczyków Jaśminowa Rewolucja z 2011 r. nie przyniosła poprawy poziomu życia zwykłych obywateli. Wręcz ↦

FATHI NASRI / AFP / EAST NEWS

W 2011 r. Chamseddine (na zdjęciu) założył cmentarz, na którym chowa ludzi, których ciała morze wyrzuciło na plażę koło jego miasta Zarzis. Fotografia z lipca 2017 r.

↦ przeciwnie: w 2018 r. inflacja osiągnęła rekordowy, najwyższy od 1990 r. poziom. Średnie bezrobocie wynosi 15,5 proc., ale na południu i w głębi Tunezji – z dala od hoteli i turystycznych miejscowości nadmorskich – jest dużo wyższe.

– Wolnością się nie najemy. Wbrew temu, w co sami chcieliśmy wierzyć – mówi Halmi Rahmeni, 29-letni pielęgniarz z Tunisu.

Halmi brał udział w rewolucji, współorganizował protesty w swojej dzielnicy. – Jestem rozczarowany efektami. Owszem, zmusiliśmy Ben Alego do odejścia, ale wszystko inne pozostało takie samo. Rewolucja stworzyła nową elitę, która wzbogaciła się na zmianach politycznych, a przeciętny Tunezyjczyk nic na niej nie zyskał – tłumaczy swoje rozgoryczenie.

– Mamy wolność słowa, ale nie mamy żadnych perspektyw – dodaje Halmi. – Moja 20-letnia siostra od dwóch lat nie może skończyć szkoły z powodu strajków nauczycieli. Nie ma żadnej ciągłości politycznej, co sześć miesięcy zmienia się rząd, a wraz z nim plany reform. Wszędzie panuje chaos.

Czynniki ubóstwa

Halmi nie brał nawet pod uwagę pracy w publicznej służbie zdrowia, którą opisuje jako „praktycznie nieistniejącą". Pracuje na dwa etaty w prywatnej klinice. Dzięki temu zarabia 1800 dinarów miesięcznie (równowartość ok. 500 euro).

– W stołecznym Tunisie mogę za to wyżyć i to wszystko. Nie mam żadnych perspektyw rozwoju – ocenia. – A przecież w życiu nie chodzi tylko o fizyczną egzystencję. Ludzie potrzebują czegoś więcej. Gdy nie ma się nadziei, to jest jak śmierć za życia.

Halmi mówi, że nie będzie ryzykował nielegalnej przeprawy pontonem przez morze. Natomiast intensywnie uczy się niemieckiego: chce wyjechać legalnie i pracować w Niemczech jako pielęgniarz. Jego kuzyn, który też jest pielęgniarzem, mieszka i pracuje w swoim zawodzie w Wielkiej Brytanii.

Według badań UNDP (agendy ONZ ds. rozwoju) ponad 40 proc. ludności świata arabskiego żyje w ubóstwie. Od początku Arabskiej Wiosny w 2011 r. wszystkie czynniki, za pomocą których ONZ mierzy poziom biedy, utrzymały się na tym samym poziomie albo się pogorszyły. Te czynniki to głównie wojny i konflikty, niestabilne przychody z turystyki i inwestycji zagranicznych, niskie pensje oraz – a może przede wszystkim – zbyt mała liczba miejsc pracy w stosunku do liczby młodych ludzi, którzy co roku wchodzą na rynek zatrudnienia. Równolegle od 2011 r. pogorszył się dostęp do podstawowych usług publicznych, takich jak służba zdrowia, edukacja, zaopatrzenie w wodę i elektryczność oraz transport.

> Gdy brakło miejsca na groby, Chamseddine zorganizował zbiórkę na zakup ziemi pod nowy cmenytarz. Chce go nazwać „Ogród Afryki" i **sadzić na nim kwiaty z różnych krajów kontynentu.**

Tymczasem w świecie arabskim jeszcze nigdy w historii odsetek młodych ludzi nie był tak wysoki: aż 30 proc. mieszkańców krajów arabskich ma pomiędzy 15 a 29 lat.

Obudził się, a ich nie było

Do Europy uciekło też dwoje dzieci Chamseddinego Marzouga, rybaka z Zarzisu.

Kiedy wsiadali na ponton, jego córka miała 17, a syn 19 lat.

– Paradoks jest następujący: w Tunezji pracy nie brakuje, lecz jest tak słabo płatna, że młodzi Tunezyjczycy nie chcą jej wykonywać. Moje dzieci nie miały żadnej nadziei na lepszą przyszłość. Nawet najzdolniejsi nie mogą się rozwijać z powodu korupcji i nepotyzmu. Dlatego wyjechały – mówi Chamseddine.

Mężczyzna nie wiedział, że jego dzieci odejdą. Nie powiedziały mu, że zamierzają uciec do Europy. Pewnego ranka obudził się, a ich już nie było. Zadzwoniły dopiero z Włoch, by powiedzieć, że dotarły na miejsce i są bezpieczne.

– Gdyby poprosiły mnie o pozwolenie, nie zgodziłbym się – mówi Chamseddine. – Ale teraz widzę, że sobie radzą. Ona pracuje w pizzerii, on jest mechanikiem.

Pozwolenie od rodziców jest zresztą niezbędne dla wszystkich młodych Tunezyjczyków, którzy chcą legalnie podróżować poza granice kraju. Po fali wyjazdów młodych, którzy ruszyli do Syrii, aby dołączyć do Państwa Islamskiego, rząd wprowadził ograniczenia w swobodzie podróżowania obywateli do 35. roku życia: aby móc wyjechać za granicę, oprócz paszportu muszą mieć teraz pisemną zgodę od rodziców.

Ogród Afryki

Chamseddine jest dziś wolontariuszem Czerwonego Półksiężyca. W 2011 r. założył cmentarz, na którym grzebie ciała migrantów, głównie z Afryki Subsaharyjskiej, którzy utonęli w morzu nieopodal wybrzeży Tunezji, w drodze do Europy.

„Cmentarz bezimiennych" ma dwa poziomy i mieści ponad 300 grobów mężczyzn, kobiet i dzieci, których tożsamość pozostaje nieznana. Wszystkie ciała zostały znalezione przez rybaków po tym, jak morze wyrzuciło je na plażę.

– To też są ludzie. Nie mają tu bliskich, rodziny, są zupełnie sami. Chociaż po śmierci chcę zapewnić im odrobinę godności, której nie dostali za życia – mówi Chamseddine.

Wolontariusze Czerwonego Półksiężyca sami zajmują się cmentarzem. Nie dostają żadnego wsparcia od rządu. Wszystko kupują sami, łącznie z gumowymi rękawiczkami, których używają podczas grzebania zmarłych.

Chamseddine: – Rząd ma inne problemy. Ja nie angażuję się w politykę, uważam, że to bez sensu. W naszej części świata nie ma co liczyć na pomoc od państwa. Wiesz, czemu nazywają nas Trzecim Światem? Bo nie ma czwartego.

Kiedy na cmentarzu zabrakło miejsca na kolejne groby, Chamseddine zorganizował zbiórkę internetową na zakup ziemi pod nowy cmentarz, który zamierza nazwać „Ogrodem Afryki". Chce zasadzić w nim kwiaty pochodzące z różnych krajów kontynentu.

– Europa pozostawiła nas samych sobie. Morze Śródziemne staje się największym cmentarzem świata. A wiesz, co by się działo, gdybyśmy znaleźli na plaży chociaż jedną blondynkę o białej skórze i niebieskich oczach? Jutro byłyby tu wszystkie możliwe stacje telewizyjne, byliby politycy z krajów europejskich. I byłyby pieniądze na co najmniej trzy kolejne cmentarze – mówi z goryczą.

Ośrodek dla repatriantów

Przeciwdziałać nielegalnej migracji próbuje na miejscu niemiecki rząd, który finansuje w Tunisie ośrodek kształcenia zawodowego dla dorosłych. Nieoficjalnie wiadomo, że wielu Tunezyjczyków

po dotarciu do Europy nie zatrzymuje się we Włoszech, tylko rusza dalej, zwłaszcza do Niemiec. Program niemieckiego rządu w teorii jest otwarty dla wszystkich młodych, ale w praktyce korzystają z niego głównie tunezyjscy repatrianci – ci, którzy wrócili dobrowolnie z Europy do ojczyzny, oraz ci, którzy zostali deportowani.

– Pomagamy im na nowo odnaleźć się w ojczyźnie. Wskazujemy możliwe kierunki kształcenia zawodowego, oferujemy kursy przekwalifikowujące, reorientację zawodową i wsparcie w otwarciu własnego mikrobiznesu – mówi Saoussen Ben Hamouda, która z ramienia niemieckiej Agencji ds. Rozwoju zarządza centrum w Tunisie.

– Zajmujemy się też kampaniami informacyjnymi na temat tego, jak naprawdę wygląda życie Tunezyjczyków bez papierów w Europie – dodaje Saoussen. – Młodzi słyszą od przemytników oraz od tych, którzy już wyjechali, że Europa jest rajem. Posty w mediach społecznościowych tworzą fałszywy obraz życia w Europie. Jeśli czasem usłyszą, że komuś się nie udało, od razu uznają, że to wina tej osoby, i że z nimi na pewno będzie inaczej. Tymczasem w rzeczywistości czeka ich albo pobyt w ośrodku detencyjnym, albo życie w szarej strefie czy nawet działalność kryminalna.

– Ostatecznie naszym celem jest przekonanie młodych, że emigracja nie jest jedynym sposobem na poprawienie ich sytuacji życiowej. Osoby, które decydują się na przeprawę do Europy, najczęściej nie mają wykształcenia, często nawet nie ukończyły szkoły średniej. Niektórzy nie umieją czytać i pisać. Pomagamy im w zdobyciu kwalifikacji odpowiednich do zapotrzebowania pracodawców. Przygotowujemy też film, który będzie pokazywał ryzyko związane z nielegalną przeprawą do Europy – przekonuje Saoussen.

Jednak zasięg programu w Tunezji jest na razie niewielki. Od dwóch lat działalności z oferty ośrodka skorzystało 127 osób; 62 z nich otworzyły własne mikrobiznesy, głównie kioski z napojami i papierosami. Sześć osób znalazło pracę przy taśmach produkcyjnych w fabrykach, a cztery skorzystały z kursów reorientacji zawodowej. W przyszłości program zakłada współpracę z niemieckimi firmami, które działają w Tunisie.

Balti śpiewa o „hargich"

Jednak takie działania to kropla w morzu. Młodzi Tunezyjczycy nadal marzą o Europie. Jedna z najpopularniejszych tunezyjskich piosenek ostatnich lat to „Wala Lela". Tunezyjski raper Balti śpiewa w niej o nielegalnej imigracji: „»Harga« siedzi mi w głowie, a po policzkach spływają mi łzy. Czy mam wyjeżdżać? Powiedzieli mi, żebym jechał do Rzymu. Powiedzieli mi, że spotkam tam znajomych z mojej dzielnicy. Jak wytłumaczyć rodzicom, że »harga« to jedyna opcja?".

Piosenka „Wala Lela" ma 63 mln odsłon na YouTubie. To tak, jakby każdy mieszkaniec Tunezji wysłuchał jej prawie sześć razy.

© MONIKA PROŃCZUK

Tekst powstał w ramach projektu „SILENCE HATE", finansowanego przez Komisję Europejską.

REKLAMA

Prestige MJM
Arena Gliwice
Radio złoteprzeboje
DZIENNIK ZACHODNI
Dziennik Bałtycki
wprost
Do Rzeczy
Gitarzysta
Perkusista
naszemiasto.
trojmiasto.pl
cgm.pl
Multikino
GOLD
STRÖER
VIXON
pap
PRESS SERVICE

Polka na Madagaskarze

PATRYCJA MALIK, WSPÓŁZAŁOŻYCIELKA FUNDACJI DZIECI MADAGASKARU:

Na badania ginekologiczne w buszu przyszło kilkaset kobiet. Stare USG ciągle się psuło, bo tam jest powyżej 30 stopni i wilgoć. Skończył się żel do USG, badałyśmy na żel do włosów.

KATARZYNA ZAJĄC-MALAROWSKA: Ile biustonoszy zebrałyście?

PATRYCJA MALIK: Prawie trzy tysiące. Część już rozdałyśmy dziewczynom, były piękne. Wysypałyśmy je na stół, a one wybierały, cieszyły się. Pomogłyśmy im je dopasować. Rozdawałyśmy je w buszu, w ramach akcji „Staniki dla Afryki", którą wymyślili lekarze z organizacji Lekarze dla Madagaskaru. Inicjatorką jest Ania Paczkowska, ginekolog z Poznania, która regularnie przyjeżdża do naszej fundacji. Razem z brafitterką posegregowały staniki i przywiozły na wyspę. Sporo jeszcze czeka w Polsce na transport. Wysyłka paczek na Madagaskar to kolosalne kwoty.

Czemu staniki, a nie leki?

Zastanawiałyśmy się, co – poza zapewnianiem minimum – mogłoby sprawić Malgaszkom przyjemność, na co miałyby ochotę. A nie ma nic bardziej kobiecego niż biustonosz. One kupują używaną bieliznę na ulicy. Chciałyśmy, by poczuły się jak kobiety.

Zacznijmy od początku. Osiem lat temu rzuciłaś posadę menadżerki w firmie farmaceutycznej i pojechałaś na Madagaskar, żeby pomagać dzieciom.

Zaczęło się od tego, że wcześniej odwiedziłam koleżankę Kasię Białous, która była wolontariuszką w sierocińcu w wiosce Akany Avoko. Zaimponowało mi, że robi coś tak ważnego. Po głowie tłukło mi się marzenie o Afryce, chciałam poznać inną kulturę, wrosnąć w nią. Wróciłam do Polski i zarejestrowałyśmy Fundację Ankizy Gasy – Dzieci Madagaskaru. Założyłyśmy, że Kasia spędzi rok na Madagaskarze, a ja miesiąc. Zostałam do dziś. Kasia ostatnio urodziła dziecko i wróciła na jakiś czas do Polski.

Brzmi jak historia o ucieczce z korporacji na drugi koniec świata.

Dla niektórych może to wyglądać jak sielanka. Ale gdy wylądowałam na Czerwonej Wyspie, kompletnie nie wiedziałam, jak się zabrać do tworzenia fundacji. Widziałam dzieci porzucone przez rodziców na ulicy. Pamiętam dziewczynkę, która była niemowlakiem, gdy została zgwałcona, miała zszywany brzuch. Pomyślałam, że to niemożliwe. Czułam niemoc. Z Kasią nie byłyśmy nigdzie zatrudnione. Przez dwa lata pracowałyśmy bez wynagrodzenia, zastanawiając się, skąd wziąć pieniądze na życie. Zaczęłyśmy organizować wyprawy turystyczne i pracowałyśmy jako przewodniczki po Madagaskarze. Zrozumiałam, że malgaskie dzieci najbardziej potrzebują jedzenia i edukacji. Dlatego stworzyłyśmy program „adopcji na odległość", dzięki któremu dzieci mają fundusze na naukę i obiad.

Na czym on polega?

Każdy może „adoptować" małego Malgasza lub Malgaszkę i opłacić mu rok nauki w szkole. Wystarczy napisać do nas maila, wysyłamy wtedy informację o dziecku, jego historię i zdjęcie. Dwa razy w roku wysyłamy opiekunom informację o postępach w nauce i zdjęcie. Rok „adopcji" kosztuje 170 euro.

Na co to wystarcza?

Na pokrycie kosztów szkoły dziecka, kupienie mundurka i obiadów na stołówce. My kupujemy im ubrania, buty, długopisy, plecaki, zeszyty. Obecnie programem „adopcji" na odległość objętych jest ok. 250 malgaskich dzieci i większość jest wspierana przez Polaków. Przed Bożym Narodzeniem napisał do mnie pan spod Poznania, że chce „adoptować" dziecko i chciałby mu też coś dać od siebie. Byłam akurat w Polsce, powiedziałam, że przekażę prezent, tylko do 5 kilo. Pan jechał do mnie ponad dwie godziny i przywiózł ogrom rzeczy: piłkę, adidasy, korki do grania, czapkę, latarkę, koszulkę, czekoladę. Chłopiec skakał ze szczęścia. Ludzie często pytają, czy mogą „adoptować" dziecko, które jest w podobnym wieku, co ich własne. Chcą, żeby dzieci mogły do siebie pisać listy, przesyłać rysunki.

Można odwiedzić „adoptowane" dziecko?

Oczywiście. Jakiś czas temu na Madagaskar przyjechała polska rodzina z dziećmi, żeby poznać Antonia, którego „adoptowali". Antonio jest synem ogrodnika. Zaaranżowałyśmy spotkanie obu rodzin w lokalnym barze. Malgasze czekali na polską rodzinę odświętnie ubrani, a że z natury są nieśmiali i ważne są dla nich przemówienia, to tata Malgasz, gdy zobaczył Polaków, wygłosił przemowę. Polacy się popłakali. Potem Malgasze ugościli ich w swoim domu, a my zabrałyśmy ich później na wyprawę po wyspie. Widzieli plaże i baobaby, ale też domki z patyków, ludzi w łachmanach i głodne dzieci. Wyjechali poruszeni.

Pod opieką macie 300 dzieci. Uczycie angielskiego, prowadzicie zajęcia sportowe, plastyczne. Przyjeżdżają do Was wolontariusze z całego świata. Zbudowałyście pięć szkół, badacie kobiety, dożywiacie dzieci. Jak radzicie sobie z tym wszystkim?

Pomagają mieszkańcy i wolontariusze. Od ponad dwóch lat pracuje z nami Malgaszka Ony, koordynuje pracę wolontariuszy i program „adopcji". Oczywiście ważne są dotacje od sponsorów, bo wszystko kręci się wokół pieniędzy. Przez ostatni rok zbierałam fundusze na śniadania dla dzieci, bo przychodziły głodne do szkoły i nie mogły się skupić. Czekały na lunch, który jest o 12. Chciałam im zapewnić pełnowartościowy posiłek, bo na co dzień jedzą suche bagietki, rozwodniony ryż i piją rozcieńczone mleko skondensowane. Przez to mają łamliwe kości, ich zęby często nadają się do wyrwania. 20-latkowie nie mają już jedynek.

Po co jeździsz do buszu?

Na zachodnim wybrzeżu w Berevo działa szkoła misyjna prowadzona przez polskie zakonnice i księdza. Zawożę im jedzenie, leki, ubrania i pomagam w ośrodku zdrowia. Od roku razem z ginekolog Anią Paczkowską, tą od staników, organizujemy akcję „Kobiety kobietom"

DOMINIK WŁOCH

Patrycja Malik wśród swoich malgaskich podopiecznych, marzec 2017 r.

w buszu. Ania prowadzi wtedy badania ginekologiczne, robi USG Malgaszkom, mówi, jak się zabezpieczać i dbać o higienę. Jazda do buszu to wyprawa, trwa ponad 30 godzin. Jedziemy lokalnymi autobusami, jeepami i płyniemy barką. Zabieramy jedzenie, odżywki, wodę, króliki, kury, ostatnio sprzęt do USG. Przypomniała mi się piękna historia...

Opowiedz.

Kiedyś trafiłam w buszu na ślub. Wielkim świętem miało być zabicie krowy i zrobienie z niej uroczystego obiadu. Jak ją przyprowadzili, to się popłakałam, bo to był niewielki cielak. Pytam, czy nie ma dużej krowy. Oni na to, że nie, bo w tym rejonie grasują bandyci Dahalo, którzy kradną dorosłe bydło. Mój płacz przerwał telefon od położnej z ośrodka, że rodzi się dziecko. Zostawiłam cielaka i pobiegłam. W szpitalu nie było nic poza stołem, przy porodzie asystowały wszystkie kobiety z rodziny, był tłok. Czekałyśmy razem na dziecko. To była magiczna chwila. Gdy się urodziło, jego mama musiała zejść ze stołu i położyć się na materacu na podłodze. Poprosiła, żebym wybrała dla niego imię.

Gdy wróciłam z przychodni, krowa była podzielona, już się gotowała. Zrozumiałam, że świat rządzi się swoimi prawami. Ktoś musi umrzeć, żeby ktoś się narodził. Usiadłam więc z dziećmi i patrzyłam, jak jedzą. Następnego dnia był ślub nauczycielki i ogrodnika. Ona miała 36 lat i kiedyś była zakonnicą, ale wystąpiła z zakonu i się zakochała. Z ogrodnikiem mieli już dzieci. Na Madagaskarze to normalne, że najpierw rodzą się dzieci, a dopiero potem rodzice biorą ślub. To był piękny widok. Pośrodku buszu panna młoda w białej sukni i pan młody w garniturze. Wzięli ślub o wschodzie słońca, a wesele zrobili w szkole przed rozpoczęciem lekcji.

Sprzęt USG przetrwał drogę do buszu?

Tak, to było dobre USG. I ciężkie. Ania kupiła je za swoje pieniądze i przytachała na własnych plecach na Madagaskar.

Po co?

Kiedy zorganizowałyśmy pierwszą akcję dla kobiet, badałyśmy je starym USG. Ciągle się psuło, bo tam jest zawsze powyżej 30 stopni i wilgotno. Prawie nic nie widziała na ekranie, skończył się żel do USG, więc badałyśmy na żel do włosów. Ania stwierdziła, że kupi nowe. USG zostało w buszu, dała je siostrom jako prezent.

Dużo kobiet przyszło na badanie?

Tłumy. Ksiądz ogłosił w kościele, że przyjeżdżamy. Ludzie z różnych wiosek przyszli pieszo trzy dni wcześniej i czekali w szkole, spali w salach. Badałyśmy 60 kobiet dziennie przez kilka dni. Ania prowadziła też zajęcia z edukacji seksualnej dla dziewcząt. Wyświetliłyśmy film „Cud narodzin". Kobiety obejrzały go trzy razy z rzędu. Była z nami też dentystka, która przeważnie wyrywała im zęby, bo do leczenia się nie nadawały. Wzięłyśmy również grupę dietetyków z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Badali dzieci, niedożywionym dawali leki, witaminy, pobrali próbki włosów i paznokci. Wyniki mają pokazać poziom niedożywienia. Sprawy się przeciągały, bo wiele osób w buszu nie zna daty urodzin. Wtedy robiłam za tłumacza i próbowałam oszacować ich wiek.

Trudny jest malgaski?

Prostszy niż francuski. Nauczyłam się go dzięki rozmowom z malgaskimi znajomymi i dziećmi w sierocińcu. Ułatwia to ↦

↦ komunikację, bo biedniejsi mówią tylko po malgasku.

Co pokazały badania?

Niedożywienie, odwodnienie i przemęczenie, bo kobiety pracują w polu, piją brudną wodę z rzeki Tsiribinha, w której są pasożyty, pływają łodzie i myje się krowy. Kilka miało nowotwory i zagrożone ciąże, nic nie mogłyśmy z tym zrobić. Ania pokazywała im, jak badać piersi. Wielu Malgaszów ma problemy z sercem. To piękne chwile, ale przeżyłam też ciężkie momenty.

Jakie?

Nie czuję się na siłach, by wspierać dzieci psychologicznie. A w naszych ośrodkach jest sporo dzieci, które zostały zgwałcone. Kiedyś z Anią badałyśmy pięć dziewczynek, 10-latki miały choroby weneryczne. Powiedziałam Ani, że już nie chcę tego robić. Widziałam, że ona też była wstrząśnięta. Inna dziewczynka, która mieszkała niedaleko mnie, została zgwałcona. Jej rodzina przyszła do naszej fundacji i poprosiła o pieniądze na lekarza. Wpadłam w furię. Nie potrafiłam odpowiedzieć na pytanie, jakie jest moje miejsce w tym świecie. Po co mam tu działać, skoro za ścianą dzieją się takie rzeczy, a nie mogę zareagować? Malgasze mówią, że jestem biała i nie mogę się mieszać w ich sprawy, policja nic nie robi z takimi przypadkami. Miałam wątpliwości, czy powinnam tu być, skoro nie mogę w takiej chwili pomóc.

Dzieci opowiadają, przez co przeszły?

Tylko te, które długo mnie znają. Czasem już nie chcę słuchać, bo inaczej patrzy się na dziecko, wiedząc, co przeżyło. Niektórzy wolontariusze chcą koniecznie poznać historię dziecka i potem użalają się nad nim. Nie wiem, czy to potrzebne i czy pomaga w jego rozwoju. Pokrzepiła mnie rozmowa z sędzią rodzinnym z Polski, która nas odwiedziła. Historie, które opowiedziała o polskich rodzinach, nie różniły się od tych, które dzieją się na Madagaskarze.

Nie chciałaś wrócić do Polski?

Były takie momenty. Na przykład gdy nasze dzieci chorowały. Albo gdy umarła 12-letnia Mino. Dopiero wróciła z wakacji na wybrzeżu. Była wychowanką w ośrodku resocjalizacyjnym dla dziewcząt w stolicy. Ośrodek przez dwa lata zbierał pieniądze, żeby zabrać dzieci na wakacje, bo nigdy nie widziały morza. Mino po

PATRYCJA MALIK

Dzieci ze szkoły w Ambatomasinie, 2018 r.

powrocie dostała wysokiej gorączki i poszła do lekarza. Ten dał jej leki na przeziębienie. Za jakiś czas straciła przytomność, zawieźli ją do szpitala, okazało się, że ma najgorszą odmianę malarii, mózgową. Nie miała rodziny. Przynajmniej na koniec zaznała miłości w ośrodku. Dla wszystkich było to...

Może chwila przerwy?

W porządku. Mino miała objawy, które świadczą, że trzeba zrobić test na malarię i szybko podać odpowiedni lek, a lekarz tego nie zrobił. Temu można było zapobiec. Ta sytuacja pokazała mi, że cały czas trzeba edukować Malgaszów, bo wysoka śmiertelność z powodu malarii wynika głównie z braku szybkiej reakcji i powikłań.

Ciężko było też, gdy widziałam wypadek drogowy. Było dużo rannych, a karetek tu nie ma. Razem z wolontariuszami wyciągnęliśmy rannych z rowów, część wsadziliśmy do autobusu, innych zabraliśmy autem do szpitala. Albo gdy pewnej nocy otworzyłam oczy i zobaczyłam, że nade mną stoi jakiś mężczyzna. Chciał się położyć obok mnie. Wydarłam się. Przybiegli nauczyciele, ksiądz, siostry w piżamach i go wynieśli.

Ale zawsze po takich strasznych wydarzeniach przychodziła piękna chwila.

Jaka?

Na przykład wigilia, gdy siedzieliśmy z 250 dzieci przy stołach nakrytych białymi obrusami, kolega przebrany za Mikołaja rozdawał im paczki. Czułam, że jesteśmy dużą rodziną. Pomyślałam, że gdybyśmy nie zaczęły działać, te dzieci może nigdy nie poszłyby do szkoły? Widzę, jak nasi wychowankowie zdają maturę, znajdują pracę. To nie ich wina, że urodzili się w biedzie. Mogłam być na ich miejscu.

Jedną z waszych wychowanek udało się wysłać na studia do Polski.

Sandra pracowała w liceum, uczyła angielskiego. Dobrze mówi też po niemiecku i francusku. Wolontariuszki ją polubiły, pomogły jej dostać się na studia w Gdańsku. Stoczyły batalię z polską ambasadą w Kenii, pod którą podlegamy. W końcu Sandra dostała wizę w ambasadzie Szwajcarii. Zebrały na bilet lotniczy. Sandra mieszka teraz w domu Kasi, wolontariuszki z Gdańska, studiuje anglistykę. Zaczęła też pracę jako barmanka.

Nie macie tu pralki.

Pierzemy ręcznie. Najgorzej jest w porze suchej, wody nie ma czasem całymi dniami, dlatego robimy zapasy w garnkach, baniakach. Niektórzy wolontariusze czekają, aż woda wróci. Ale zwykle po trzech dniach dają za wygraną i korzystają z malgaskiego prysznica, czyli nabierają kubkiem wodę z baniaka i się nią polewają. Ja to lubię.

Szkoła życia.

Może dla niektórych. Choć wolontariusze rzeczywiście nie przepadają za dużymi karaluchami. Na szczęście na wyżynie, gdzie mieszkamy, nie jest ich wiele. Teraz mamy większy problem z myszami i szczurami, które wieczorami obgryzają nasze warzywa i nie możemy ich złapać na łapkę. Wolontariusze mają czasem problem z tym, że dzieci nieładnie pachną i przenoszą pchły, a w porze deszczowej ulicami płynie zawartość rynsztoków.

Tobie to nie przeszkadza?

Czasem potrzebuję nabrać dystansu. Organizuję wtedy wyprawy turystyczne. Raz do roku jeżdżę do Polski. Ale po jakimś czasie nuży mnie „europejskie życie", bo dopiero musi wydarzyć się tragedia, jak morderstwo prezydenta Adamowicza, żeby ludzie zaczęli siebie dostrzegać. Razi mnie agresja słowna, skrajne głosy na temat uchodźców. To, że ktoś musi porzucić spokojne życie i uciekać ze swojego kraju, każdemu powinno dać do myślenia, że sam może się znaleźć w takiej sytuacji. Nie od nas do końca zależy, czy dziś mamy co jeść. Paradoksalnie Madagaskar nauczył mnie optymizmu.

Czegoś jeszcze?

To banalne, ale tego, żeby mniej oczekiwać. Kiedyś w szafie miałam górę ciuchów i marzyłam o nowej kolekcji. Teraz mam ich tuzin. Jak coś potrzebuję, kupuję na ulicy, używane. I mam z tego frajdę.

W Madagaskarze lubię to, że ludzie chętnie biesiadują, są weseli, pomagają sobie. Rodziny spędzają ze sobą dużo czasu, jak kiedyś w Polsce. Malgasze wierzą, że im więcej mają potomstwa, tym większa szansa, że po śmierci pamięć o nich przetrwa i będzie kontynuowana *famadihana*, najważniejsze święto rodzinne, gdy przewija się ciała.

Zwłoki?

Malgasze wierzą, że przodkowie mogą wymodlić u Boga to, o co sami proszą. Podczas famadihany wyjmują więc ciała, które leżą na półkach w grobowcach, rozwijają lambamenę, specjalny materiał, którym owija się zmarłego, i zawijają w nowy. Rodzina może w tym czasie połączyć się z przodkiem, zadać mu pytanie, przekazać wiadomość. Na świętowanie zaprasza się całą rodzinę i sąsiadów. To bardzo wesołe święto.

A jakie było twoje dzieciństwo?

Szczęśliwe. Choć brakowało mi rówieśników, bo jestem jedynaczką. Mama jest handlowcem i zawsze trzymała wszystko w ryzach, tata jest wyluzowanym mechanikiem samochodowym. Tata wierzy – podobnie jak ja – że ludzie są dobrzy. Sporo podróżowaliśmy, jeździliśmy do Szwecji na wakacje, dużo czasu spędzaliśmy razem. Tata pasjonuje się starymi autami i motorami. Ma bzika na ich punkcie. Pokazał mi, że pasja i zaangażowanie w to, co się robi, są bardzo ważne. Jestem rodzicom wdzięczna, że nigdy nie wywierali na mnie presji, nie wypominali, że rzuciłam pracę, nie kazali mi wracać.

Czy w Polsce słyszysz pytania, dlaczego wybrałaś malgaskie, a nie polskie dzieci?

Już nie. Być może gdybym po raz pierwszy spotkała dzieci z polskiego sierocińca, to nimi bym się zajęła. To chyba przypadek, los albo Bóg tak chciał. A może to nie ja wybrałam Madagaskar, tylko on mnie? Może to ci ludzie mnie znaleźli?

© Rozmawiała
KATARZYNA ZAJĄC-MALAROWSKA

Informacje o tym, jak można pomóc dzieciom na Madagaskarze, które są pod opieką fundacji, Czytelnicy znajdą na stronie: **www.dziecimadagaskaru.pl**

Ja się przemęczę

ULA IDZIKOWSKA Z HOLANDII

Polaków żyje tu ćwierć miliona. Niektórzy holenderscy politycy chcą zaprosić więcej, bo ktoś musi zbierać paprykę. Inni nie chcą o tym słyszeć. A co myślą o tym tutejsi Polacy?

Roland Gruszecki, który w Holandii mieszka od 33 lat, opowiada tę anegdotę z rozbawieniem. „Trzeba uważać, kogo się wpuszcza! – zwierzyła mu się pani domu, gdy wypełniał dokumenty po inspekcji jej mieszkania. – No bo jakby przyszedł mi tu taki Polak, tobym wszędzie za nim chodziła. Ale w pana przypadku jestem spokojna. Kawki?”.

Gruszecki pił kawę, zachowując pokerową twarz. – Ale przy pożegnaniu nie mogłem się powstrzymać – wspomina. – Rzuciłem: „To ja bym na pani miejscu poszedł sprawdzić, czy na górze wszystko jest na swoim miejscu. Jestem Polakiem”.

36-letni Gruszecki rozsiada się wygodniej na kanapie w swoim mieszkaniu w Spijkenisse pod Rotterdamem, gdzie mieszka z partnerką, 34-letnią Anną Orkowską. Jest niedziela. Dzieci, Olivia i Philippe, ucinają sobie drzemkę, a rodzice odpoczywają po urodzinach Gruszeckiego.

– Sąsiad nas uczulał, żebym się za bardzo pani nie zwierzał. Bo będzie, że pijacy – Gruszecki puszcza oko. – A tak na poważnie, to *De Pool*, Polak, stał się nowym prototypem rzezimieszka w Holandii. Wcześniej złą sławą cieszyli się Marokańczycy i Turcy. Teraz przyszła kolej na Polaków, jako że jesteśmy ostatnią większą grupą emigrantów zarobkowych w Holandii. *De Pool* to teraz niemal postać z dowcipu: „Przychodzi Polak w odwiedziny i wszystko znika” – uśmiech znika też z twarzy Rolanda.

Gruszeckiemu i Orkowskiej jest wstyd, gdy słyszą negatywne opinie o Polakach w telewizji, gazetach czy od Holendrów. – Nie afiszujemy się, że jesteśmy z Polski. Zwłaszcza jeśli w okolicy są Polacy.

Dlaczego? – Bo nigdy nie wiadomo.

Gruszecki i Orkowska podkreślają, że poznali dużo porządnych Polaków. – Ale na początku trzymamy dystans. Przez złą reputację rodaków i kilka przykrych doświadczeń.

Stereotyp Polaka, który kradnie, oszukuje ubezpieczenie społeczne i od rana wędruje z puszką piwa, jest silny zarówno wśród tutejszych Polaków, jak i Holendrów. – Mój brat cioteczny z Polski, który ma firmę transportową, śmiał się, jak otwierano granice Unii: teraz wszyscy złodzieje pojadą do was – wspomina Gruszecki. Orkowska potwierdza: – Przybyło sporo ludzi bez wykształcenia, często z kartoteką. Niektórzy uciekali przed biedą, inni przyjechali, by zarobić i przy okazji się zabawić. To oni stworzyli taki wizerunek Polaka.

Polskie hotele

– Fakt, sporo tu Januszów, Grażyn i Sebików – przyznaje 26-letni Michał Kaczmarek, z wykształcenia logistyk. Na tarasie kawiarni w Eindhoven, w ciepły wieczór Michał opowiada, jak cztery lata temu trafił do Holandii. W Polsce „sobie nie poradził”, miał długi, komornika na karku. Postanowił zarobić, by pospłacać „chwilówki” i odbić się od dna.

Na początku mieszkał w hotelu robotniczym, jak wielu Polaków zatrudnionych i zakwaterowanych przez agencje pośrednictwa pracy. „Polskie hotele” mieszczą się w dawnych biurowcach, klasztorach, domach starców czy piętrowych domach kontenerowych.

Kaczmarek szybko zmienił pracę, gdy zorientował się, że na umowie nie widniała tygodniowa liczba godzin: – Zgodnie z kontraktem miałem pracować średnio 38 godzin. W praktyce w niektóre tygodnie pracowałem po 60 godzin, a w inne pracy nie było. Przyjechałem, żeby pracować, więc się zwolniłem.

Wspomina, jak mieszkał w Boxtel na południu kraju: – Obok był hotel robotniczy. Pamiętam, jak kierownik pilnujący tam porządku wyjechał na wakacje. Co się działo! Rodacy ognisko na dachu zrobili, bili się z policją na dworcu. Takiej patologii ↦

↦ w życiu nie widziałem. Jak to ma nie rzutować na obraz Polaków?

Raport Sociaal en Cultureel Planbureau (Biura Planowania Społecznego i Kulturowego) z 2018 r. potwierdza, że „wizerunek Polaka w mediach został w głównej mierze utworzony przez młodych pracowników sezonowych, którzy mieszkają w grupach na kempingach lub w tzw. polskich hotelach i ciężko pracują, by zarobione pieniądze zabrać do kraju". Raport zaznacza, że „jednak większa część polskich migrantów zarejestrowanych w gminie mieszka w Holandii dłużej" i „planuje zostać na dłużej. Ci migranci pracują i mieszkają coraz częściej w »normalnych« domach".

Zalecenie: promować integrację

Polaków jest dziś w Holandii 250 tys. Między rokiem 2007, gdy kraj otworzył rynek pracy, a rokiem 2017 liczba zameldowanych Polaków wzrosła trzykrotnie, do 160 tys. Biuro Planowania szacuje, że kolejnych 90 tys. mieszka i pracuje bez zameldowania. Czyni to z Polaków najbardziej dynamicznie rosnącą grupę imigrantów.

Już w 2011 r. komisja parlamentarna stwierdziła, że „nie spodziewano się takiego napływu Polaków". Po analizie sytuacji pracowników z Europy Środkowo-Wschodniej komisja zaleciła, by „wyplenić agencje wyzyskujące ludzi, ulepszyć warunki mieszkaniowe i promować integrację". Ale zalecenia komisji wylądowały w szufladzie. Nieuczciwe agencje nadal dopuszczają się nadużyć, warunki w niektórych „polskich hotelach" są wciąż fatalne, a ich sąsiedzi się skarżą.

– Sprawdziłem, rząd nie zrobił z tymi zaleceniami absolutnie nic – mówi Jasper van Dijk, parlamentarzysta z socjalistycznej partii SP. – Minęło osiem lat, a jesteśmy w punkcie wyjścia. Rząd powinien już dawno podjąć działania, by rozwiązać problemy imigrantów zarobkowych.

Choć sprawa godziwych warunków mieszkaniowych i wyzysku jest nierozwiązana, parlamentarzysta Rob Jetten z socjalliberalnej partii D66 nawołuje do „sprowadzenia 50 tys. lub więcej" Polaków, bo „ktoś musi zbierać paprykę i budować domy".

Jak czują się z tym Polacy? Orkowska wybucha śmiechem: – No tak, ktoś musi zbierać paprykę, Holendrzy niechętnie podejmują się ciężkiej pracy fizycznej. Polacy są tu mimo wszystko cenieni za pracowitość i rzetelność.

Łukasz (imię zmienione) wątpi w szczerość Holendrów. Jego zdaniem Polacy są tolerowani, bo kraj czerpie korzyści z taniej i wydajnej siły roboczej. W 2018 r. dziennik „De Volkskrant" pisał, że jest duże zapotrzebowanie na pracowników tymczasowych: takich, którzy zrobią to, co mają zrobić, i wrócą do siebie. Dlatego Łukasza nie dziwi, że Polacy są traktowani instrumentalnie: – Są potrzebni i tyle. Do tego tani. Nikt nie będzie do tego podchodził sentymentalnie. My też mówimy: o, jak ten Ukrainiec elegancko robi za 10 złotych, Polakowi się za tyle nie opłaca.

Rozmawiamy w snack barze we wsi Geldermalsen na południu, gdzie Łukasz pracuje w centrum dystrybucji supermarketu Albert Heijn. – Częściowo Polacy są sami sobie winni. Gdy ktoś planuje tu dłuższą karierę, może znaleźć lepszą pracę, jak się postara – uważa. On nie szuka innej posady. – Jestem tymczasowo, zarobię na drugi dom i wrócę do kraju.

Uzależniony od pracodawcy

– Na początku byłam przekonana, że Polak w Holandii po prostu nic więcej nie może – Agnieszka, lat 27, pracuje dziś jako koordynatorka ds. logistyki w Amsterdamie.

Przyjechała sześć lat temu bez niczego, „tylko z poduszką". Zaczynała „w polu kukurydzy" w Boxmeer przy granicy niemieckiej, przy pakowaniu. Przez pierwsze trzy lata obracała się w gronie osób z agencji. – Nie miałam porównania. Myślałam, że Polacy nadają się tylko do najgorszych prac: kwiatków, truskawek, magazynów. Że nas na więcej nie stać.

Aga uważa, że agencje pośrednictwa celowo stwarzają taką atmosferę, by ludzie czuli się gorsi i od nich zależni. W pewnym momencie, jak mówi, przejrzała na oczy. – Poznałam Słowaka, który uświadomił mi, że ludzie postrzegają mnie tak, jak ja postrzegam siebie, i będą mnie traktować tak, jak na to pozwolę. A ja sobie w kaszę nie dam dmuchać. Zawsze starałam się znaleźć potwierdzenie, np. na jakiej podstawie ktoś żąda ode mnie pieniędzy. Sprawdzałam w internecie, zapytałam kogoś, kto jest tu dłużej. Niewiedza stwarza okazję do oszukiwania.

Paulina Cathersides (lat 43) też odnosi wrażenie, że to zwłaszcza niedoświadczeni młodzi ludzie lub nieznający żadnego języka wpadają w sidła nieodpowiedniej agencji pośrednictwa lub są nabierani

przez pracodawców. – Niewolnictwo nie istnieje, zawsze można przecież odejść – mówi.

Socjalista van Dijk nie jest przekonany, że to takie łatwe: – Często mamy do czynienia ze średniowiecznymi praktykami, gdzie pracodawca wynajmuje mieszkanie pracownikowi. W ten sposób powstaje niezdrowa relacja, oparta na całkowitym uzależnieniu od pracodawcy.

Cathersides mieszka od 10 lat w Amsterdamie, gdzie od dwóch lat prowadzi bar ze zdrową żywnością i sokami. Do pracy zatrudnia też Polaków. – Wierzę, że jeśli ktoś podejmie inicjatywę i samodzielnie poszuka domu i pracy, jest na koniec w dużo lepszej sytuacji niż ludzie, którzy pracują przez agencje.

Ale wtedy trzeba uwierzyć w siebie, a Cathersides uważa, że Polacy mają z tym problemy. – Znam ludzi, którzy pracują poniżej kwalifikacji. Nie potrafią się sprzedać. Nie mają odwagi. Większość Holendrów jest wygadana i potrafi się prezentować, w przeciwieństwie do Polaków, którzy często uciekają w rolę ofiary.

Niektórzy przyjeżdżają z wielkimi oczekiwaniami, a małymi kwalifikacjami. O tych Cathersides powie: – Trzeba być realistą, prawda? Co można robić bez języka i dyplomu?

ULA IDZIKOWSKA

Ania Orkowska i Roland Gruszecki. Spijkenisse pod Rotterdamem, marzec 2019 r.

Nadreprezentowani

Według raportu Biura Planowania Społecznego i Kulturowego w porównaniu z innymi grupami imigrantów w Holandii Polacy są niedostatecznie reprezentowani w górnej części rynku pracy (8 proc.) i nadreprezentowani (47 proc.) w części dolnej. „Wielu Polaków pracuje [bowiem] w sektorach niewymagających wysokiego poziomu wykształcenia lub znajomości języka niderlandzkiego". Stąd też obraz Polaka jako „zbieracza papryki, owoców lub szparagów". Ponadto 42 proc. badanych jest zależne od elastycznych, więc niepewnych form zatrudnienia – to dwa razy więcej niż w przypadku Holendrów, a także więcej niż wśród czterech najliczniejszych niezachodnich grup imigrantów w Holandii: osób wywodzących się z Turcji, Maroka, Surinamu i Antyli Holenderskich.

Z czego to wynika?

– Wielu nie ma ambicji, by się uczyć – uważa Adam Chruściński. Ma 43 lata, od 16 lat mieszka w prowincji Gelderland. – Do języka trzeba przysiąść, codziennie coś czytać, oglądać. Dla wielu Polaków liczy się przede wszystkim euro. Jak będą mieć zapłacone, to im nie przeszkadza, że się tłoczą w warunkach urągających godności. „Ja się przemęczę", mówią takie młode chłopaki, które coś zarobią, w weekend pobalują, a jeszcze im zostanie.

Ci, którzy chcą się uczyć, zaznaczają, że ciężko łączyć pracę na zmiany i kurs języka. – Nie powiem: nie planujcie mi zmiany w sobotę, bo mam rano lekcje – stwierdza Łukasz.

Chruściński na początku porozumiewał się po niemiecku. Po roku w Holandii „się zawziął": – Zacząłem się uczyć z telewizji i książek. Szybko zauważyłem, że od momentu, gdy zacząłem posługiwać się językiem, Holendrzy zaczęli mnie traktować bardziej jak swojego. Teraz jestem postrzegany jako jeden z nich.

Zaczynał przy zbiorze papryki w Zaltbommel koło 's-Hertogenbosch. – Wtedy było nas może z 50 Polaków w całej prowincji. Niektórym Holendrom musieliśmy wyjaśniać, gdzie leży Polska. Była wyraźna ciekawość jej kulturą. Polska była czymś egzotycznym, obcym krajem po drugiej stronie żelaznej kurtyny, choć ona od dawna nie istniała.

Po trzech latach pobytu zapisał się do szkoły technicznej. Ostatnio awansował na asystenta kierownika produkcji. – Niektórzy holenderscy koledzy byli oburzeni: jak to, ten Polak, dlaczego? Prezes firmy wyjaśnił: słuchajcie, on ma doświadczenie, jest odporny na stres, zna cały proces produkcji, więc nadaje się do nadzorowania. Tylko skinęli głowami.

Jeden z pierwszych pracodawców Chruścińskiego chwalił go za jego „polską pracowitość". W 2007 r., po otwarciu granic, zacierał ręce: „Adam, ale będzie biznes, teraz przyjedzie więcej takich jak ty". Chruściński: – Ostrzegałem go, że im więcej Polaków, tym więcej problemów.

I tak się też według Chruścińskiego stało.

Jak pozbyć się etykiet

– Wielka szkoda, bo ludzie tacy jak my, którzy chcą godziwie żyć, płacą za to cenę – ubolewa Justyna Daniluk w swoim domu w Tilburg. 29-letnia Daniluk do Holandii przyjeżdżała sezonowo od 2009 r., jeszcze jako studentka gospodarki przestrzennej. – Żeby dorobić. Po studiach niestety nie udało się w Polsce dorobić niczego – uśmiecha się trochę zażenowana. Od 2016 r. jest tu na stałe. – Wszyscy tylko pytają, ile kasy zarabiamy. Wielu Polaków myśli, że my tu nie wiadomo jak żyjemy. Panuje przekonanie, że euro to główny cel, dla którego przyjeżdżamy. A to nie tak. Nas na życie w Polsce po prostu nie stać.

Holenderskie gazety i politycy bębnią dziś o „wyłudzaniu zasiłków dla bezrobotnych" przez Polaków. „Masowe nadużycia" w nagłówkach gazet wywołują wśród Holendrów skrajne emocje. „Jeśli Rob Jetten chce sprowadzić tych Polaków, to proszę bardzo: niech pracują za darmo, dopóki wszystkiego nie odrobią!" – tweetował oburzony Holender. Historyk Leo Lucassen komentował aferę z zasiłkami na Twitterze: „Uderzające w zamieszaniu wokół Polaków pobierających zasiłek dla bezrobotnych [w Polsce] jest to, że nikt nie wspomina słowem o roli pracodawców i agencji zatrudnienia. I o przewrotnych praktykach zwalniania po 6 miesiącach". Zrywanie umów po tym okresie to powszechna praktyka: pracownicy nie mogą stać się bowiem za drodzy. Wtedy nie opłaca się ich „sprowadzać" z zagranicy.

Chruściński ma obawy, że Polacy w Holandii jeszcze długo będą się borykać z łatką awanturników i oszustów. – Może nasze dzieci i wnuki będą miały łatwiej.

Może, jeśli historia Polaków w Holandii potoczy się innymi torami niż losy tureckich i marokańskich robotników, którzy przybywali do Holandii i Belgii w ubiegłym wieku. Także dlatego, że byli potrzebni.

© ULA IDZIKOWSKA

Ormiański węzeł

WOJCIECH JAGIELSKI

Gdy Robert Koczarian rządził Armenią, dziennikarz Nikol Paszinian siedział w więzieniu. Dziś role się odwróciły: Paszinian włada krajem, a proces byłego prezydenta Koczariana właśnie się zaczął.

Premier Armenii Nikol Paszinian w Tbilisi, 30 maja 2018 r.

Siedzi w pojedynczej więziennej celi już szósty miesiąc. Koczarian trafił za kraty w lipcu 2018 r., gdy Armenia żyła wciąż wiosenną uliczną rewolucją, która obaliła Serża Sarkisjana – następcę i towarzysza broni Koczariana. Na jego miejsce rewolucyjna fala wyniosła do władzy Paszniana – wroga Koczariana i jego więźnia.

Jedną z pierwszych decyzji nowego władcy było wydanie nakazu aresztowania dawnego prześladowcy. Byłego prezydenta oskarżono o „próbę obalenia ustroju" i łapownictwo. W sierpniu 2018 r. sąd kazał go wypuścić, by podczas procesu odpowiadał z „wolnej stopy", ale władze wyrok zaskarżyły i na początku grudnia, tuż przed wyborami, które miały uprawomocnić rewolucyjne rządy premiera Paszniana (zdobył w nich ponad 70 proc. głosów), Koczarian znów trafił za kraty.

Dziś przysięga, że nie brał łapówek, a zarzuty o „próbę obalenia ustroju" zbywa szyderstwami. Twierdzi, że Paszinian mści się na nim za urojone krzywdy. „Ale niech no tylko sąd oczyści mnie z zarzutów, a wrócę do polityki i stanę na czele obozu opozycji – odpisał z celi dziennikarzowi Agencji Reutersa. – Wtedy się z Paszinianem policzymy!".

Wydarzenia marcowe

Premier Paszinian przekonuje, że nie o zemstę mu chodzi, lecz o sprawiedliwość i karę za zbrodnię sprzed 11 lat.

Był marzec 2008 r. i panowanie Koczariana dobiegało końca. Konstytucja zabraniała mu po dwóch prezydenckich kadencjach ubiegania się o następną. Na następcę namaścił więc druha Serża Sarkisjana, a cała potęga armeńskiego państwa miała zapewnić mu wygraną. Dla pewności, by nic nie zakłóciło sukcesji, wybory bezczelnie sfałszowano. Wzburzeni Ormianie wyszli na ulice stołecznego Erywania. Doszło do zamieszek, a Koczarian, wciąż prezydent, wprowadził stan wyjątkowy i kazał wojsku i policji strzelać do ludzi. Podczas protestów zginęło ośmiu demonstrantów i dwóch policjantów.

Paszinian był wtedy dziennikarzem i jednym z szefów kampanii kandydata opozycji Lewona Ter-Petrosjana (wcześniej pierwszego prezydenta niepodległej Armenii). Potem, gdy okazało się, że wybory sfałszowano, Paszinian przyłączył się do demonstracji. Ścigany listami gończymi, ponad rok się ukrywał, aż wreszcie oddał się w ręce policji z nadzieją, że zostanie łagodnie potraktowany. Srodze się zawiódł: w 2010 r. skazano go na siedem lat więzienia. Odsiedział niecałe dwa i wiosną 2011 r. wyszedł dzięki amnestii. Za swoją krzywdę – i za wszystko, co złe w Armenii – winił Koczariana.

Wtedy przegrał, ale 10 lat później dopiął swego. Wiosną 2018 r., gdy mimo końca drugiej, ostatniej prezydenckiej kadencji Serż Sarkisjan umyślił sobie rządzić dalej jako premier, Paszinian znów stanął na czele ulicznej rewolucji. Tym razem zwyciężył. Sarkisjana, który poddał się bez walki, oszczędził. Ale Koczariana kazał aresztować.

Cień Karabachu

Pod rządami Koczariana (w latach 1997–2008; przez pierwszy rok jako premier) i Sarkisjana (2008-18) Armenia została bez reszty zawłaszczona przez sprawujących władzę dygnitarzy i zaprzyjaźnionych z nimi oligarchów. Oparty na prywacie i korupcji porządek nazywano w Erywanie „układem zamkniętym", do którego hasło dostępu znali jedynie rządzący, ich krewni i przyjaciele.

Układ ten miał pewną cechę szczególną: cała władza w trzymilionowej Armenii znalazła się w rękach polityków wywodzących się nie z Erywania, Giumri czy Armawiru, lecz ze 150-tysięcznego Górskiego Karabachu, o który na progu niepodległości Ormianie stoczyli krwawą i zwycięską wojnę ze swoimi sąsiadami i starymi wrogami Azerami, kuzynami Turków.

Karabach to ormiańska enklawa położona w Azerbejdżanie. Gdy pod koniec lat 80. XX w. Związek Sowiecki, ta komunistyczna mutacja imperium rosyjskiego, zaczął chwiać się w posadach, karabachscy Ormianie też upomnieli się o wolność. Zażądali zgody na oderwanie Karabachu od Azerbejdżanu i przyłączenie go do Armenii albo na jego niepodległość. Wybuchła wojna, która w pięć lat pochłonęła 50 tys. ofiar. Zwyciężyli w niej Ormianie – partyzanci z Karabachu i fedaini-ochotnicy z Armenii i diaspory, rozrzuconej od Libanu po Kalifornię (według samych Ormian liczy ona na całym świecie 7 mln lu-

DAVID MDZINARISHVILI / REUTERS / FORUM

dzi). Karabach ogłosił niepodległość, a fedaini, by zabezpieczyć się przed azerskim kontrnatarciem, zajęli jeszcze pół tuzina położonych za miedzą azerskich powiatów i przerobili je na strefę buforową.

To właśnie Koczarian był przywódcą karabachskiego powstania, a Serż Sarkisjan służył u niego jako partyzancki minister wojny.

Weterani rządzą krajem

Ofiarą i zakładniczką karabachskiej wojny stała się też sama Armenia. Hasła „Arcach" (ormiańska nazwa Karabachu) i „Mijacum" (jedność) od początku dominowały na wiecach niepodległościowych, a o groźbie zagłady karabachskich Ormian i wojnie mówiono więcej niż o tym, jak ma wyglądać niepodległa Armenia. Sprawy niepodległościowa i karabachska zlały się w jedną – i do dziś nikomu nie udało się ich rozdzielić. Nikt nawet tego nie próbował.

Karabach wyniósł zwolenników niepodległości do władzy, ale skrępował im ręce. Pierwszy prezydent, Lewon Ter-Petrosjan, został oskarżony o zdradę, gdy napomknął o potrzebie ugody z Azerami. Aby dowieść rodakom patriotyzmu, ściągnął do stolicy Koczariana i zrobił go premierem, a Sarkisjana ministrem policji. Nie minął rok, a dokonali oni pałacowego przewrotu i odebrali Ter-Petrosjanowi władzę.

Odtąd Armenią władali wychodźcy z Karabachu i weterani karabachskiej wojny, a także ci, którzy sprzymierzali się z nimi w nadziei na polityczną karierę i zyski. Z prowincjonalnego Karabachu i partyzanckich okopów przywlekli do Erywania – miasta uczonych, muzyków i pisarzy – swoje zwyczaje i upodobania, maniery, poczucie gustu, smaku i humoru, które stały się w stolicy obowiązujące.

Za uosobienie tamtych czasów i mody uchodził Gagik Carukjan: protegowany Koczariana, mistrz świata w siłowaniu się na rękę. Dzięki przychylności władz dorobił się majątku, a potem, spłacając dług wdzięczności założył za własne pieniądze partię Kwitnąca Armenia, aby zapewniała prezydentowi polityczne wsparcie.

Rosyjska ruletka

Proces Koczariana symbolizuje dziś zmagania nowego ze starym.

Zapalczywy Paszinian być może przeszarżował, ale nie może już się cofnąć, by nie stracić twarzy. Porażką i upokorzeniem będzie dla niego także wyrok uniewinniający Koczariana. Z kolei Koczarian i towarzysze nie złożą łatwo broni. Oskarżają Pasziniana o brak patriotyzmu i szacunku dla wojennych bohaterów, wytykają, że sam nie walczył, nie służył nawet w wojsku. Zarzucają, że jego młodzi ministrowie zapatrzeni są w dekadencki Zachód, że on sam nie szanuje tradycji i Kościoła (ponad 80 proc. mieszkańców należy do Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego, powstałego w pierwszych wiekach chrześcijaństwa).

Mówią też, że Paszinian nie przepada za Rosją, którą Ormianie mają za sojuszniczkę i obrończynię. Koczarian zabiegał o względy Rosjan. Oddał im całą energetykę kraju, zgodził się, by rosyjscy żołnierze mieli w Armenii bazę, trzymali straż na granicy z Azerbejdżanem i Turcją, a nawet na erywańskim lotnisku. Natomiast Paszinian, jako dysydent, przekonywał do potrzeby poluzowania więzów z Rosją. Tłumaczył, że nie pozwalają one Armenii rozwinąć skrzydeł i czynią z niej zakładniczkę sporu z Azerami o Karabach, który uzależnił jednych i drugich od Kremla, uzurpującego sobie rolę arbitra.

Żaden poważny ormiański polityk nie ośmielił się dotąd głośno opowiedzieć za ugodą z Azerami – okrzykniętoby go zdrajcą. Paszinian, mając rewolucyjną większość w parlamencie i wciąż wielki kredyt zaufania rodaków, mógłby przynajmniej spróbować się na to poważyć.

Z powodu sporu o Karabach od ćwierć wieku zamknięta pozostaje granica na wschodzie, z Azerbejdżanem, Ormianie zaś nie mogą liczyć na azerski gaz i ropę. Zamknięta na głucho pozostaje też zachodnia granica – z Turcją, która zatrzasnęła ją dla Ormian w geście solidarności z Azerami. Północne sąsiedztwo z Gruzinami nigdy nie było łatwe, bo Tbilisi miało Ormianom za złe ich ślepą i nieodwzajemnioną miłość do Rosji. Jedynym sąsiadem, z którym Armenia dobrze żyła, jest Iran, ale dziś ta zażyłość może okazać się przekleństwem, bo Donald Trump grozi, że potraktuje jak wroga każdego, kto będzie przyjaźnił się z Irańczykami.

Rządom Pasziniana zagraża nie Koczarian, za którym w Armenii nikt nie tęskni, lecz Rosja, która przywykła myśleć, że otoczeni nieprzyjaznymi sąsiadami Ormianie są skazani, by szukać w niej protektorki. Wiara w wieczną zależność Ormian sprawiła, że Kreml, który alergicznie reaguje na „kolorowe rewolucje" i „majdany", cierpliwie zniósł rewoltę Pasziniana. Gdyby miał pewność, że będzie mógł na nim we wszystkim polegać, pewnie bez skrupułów wyparłby się tak oddanego mu Koczariana.

Na razie jednak na Kremlu odnoszą się podejrzliwie do Pasziniana, a zwłaszcza do jego zamiarów, by uczynić Armenię państwem samodzielniejszym niż dotąd. Bo Rosji, do jej wielkiej gry na Kaukazie i Bliskim Wschodzie, potrzebna jest Armenia skłócona z sąsiadami i całkowicie od niej zależna. Taka, jaka była dotąd.

Prezydent w więzieniu

Polityczni wróżowie w Erywaniu uważają, że 64-letni Koczarian zostanie skazany i przejdzie do historii jako pierwszy przywódca spośród krajów byłego Związku Sowieckiego, który wyląduje w więzieniu za to, że nadużywał władzy (listy gończe za swoimi byłymi prezydentami rozesłali też Kirgizi i Gruzini, a Ukraińcy skazali Janukowycza, ale zaocznie).

Wróżowie sądzą też, że Paszinian zaraz go ułaskawi i każe wypuścić – czym dowiedzie swej rewolucyjnej pryncypialności, ale także wielkoduszności. ©℗

POŻEGNANIE

Ś.† P.

Kazimierz Dąbrowski

konstruktor lotniczy

zmarł w Warszawie 14 maja 2019 roku w wieku 88 lat

Halinie Bortnowskiej-Dąbrowskiej

naszej wieloletniej współpracowniczce i autorce
składamy wyrazy serdecznego współczucia i łączności w modlitwie

Tygodnik Powszechny

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ
Z SIECI
ILE SIĘ DA

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator
Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl

WOJCIECH

Bonowicz:
Uratują nas najsłabsi

Trzeba się ratować. Spać długo, jak śpią koty. Niechby się śniło coś miłego. Niechby nie śniło się to, o czym mówi się na jawie. Na jawie wszystko już zostało powiedziane. Nie oszczędzono nam żadnych szczegółów. Teraz chodzimy z tą winą, której nikt nie chce wziąć na siebie, bo zbyt jest straszna. Bo jest jak rana, na którą przykłada się kolejny opatrunek, a ona krwawi i plami. Niechby się śniło, że ludzie naprawdę chcą tę ranę opatrzeć. Że nie chodzi tylko o to, by ją zasłonić i powiedzieć: o, nie ma plamy!

Trzeba się ratować. Spać długo, nie ruszać się. Jak kot, który w świecie pełnym niepotrzebnego ruchu zastyga, kontrapunktuje. Ludzie wariują od ruchu. Kot przygląda się ludzkiemu światu, popychanemu nieustannie niewidzialnym wiatrem, i pewnie gdzieś wewnątrz swojej kociej duszy wyłącza go i osądza. Kot Leon jest sędzią sprawiedliwym, który nie znosi głodu i podniesionych głosów. Sam udaje, że poluje tylko kilkanaście minut dziennie. Dlaczego ludzie udają, że polują przez cały dzień?

Na ten festiwal przychodzi niewiele osób z zewnątrz. Na sali są głównie producenci, aktorzy, ich rodzice i przyjaciele. Nie wiem, dlaczego ludzie nie chcą tego snu. Sen, jaki się tu śni, choć czasem pełen cierpienia, jest przez swą autentyczność kojący. „Te filmy nie kłamią", mówi jeden z jurorów, „są absolutnie szczere. Co mi dają? Dzięki tym filmom popełniłem mniej błędów w życiu". „Co lubisz najbardziej robić?", pada pytanie do jednego z aktorów. „Najbardziej lubię ubierać choinki", odpowiada zagadnięty, choć nie ma to związku z filmem, w którym brał udział. Prowadzący dopytuje: „Ale co lubisz robić jako aktor? Jaki film chciałbyś zrobić?". „Lubię autobusy. Nakręcimy film z autobusami – dla biednych, niepotrzebujących dzieci", pada odpowiedź, a sala wybucha śmiechem.

To z nas się śmieją. Biedne, niepotrzebujące dzieci to my.

Najbardziej przejmujący jest film o Karolu (druga nagroda na Festiwalu Filmowym Osób Niepełnosprawnych FilmON). Kolejnym kadrom towarzyszy płynąca spoza nich opowieść bohatera. Karol mieszka sam; zakupy robi mu ojciec, ale posiłki przygotowuje sobie samodzielnie. Przed południem chodzi na warsztaty, popołudnia spędza przed komputerem lub telewizorem. Czasem odwiedzi go któryś z kolegów. „Ja bym wolał, żeby ze mną mieszkała jakaś dziewczyna, bo wtedy byłoby mi wesoło całkowicie", mówi. Jego głos jest spokojny, rzeczowy, nawet wówczas, gdy opowiada, że jeśli zasłabłby w wannie, to już z niej nie wyjdzie. „Mam na imię Karol i najważniejsza dla mnie jest rodzina", słyszymy w finale filmu.

W opowieści o Czerwonym Kapturku (nagroda dla najlepszej aktorki) spotykają się dwa światy, w których rządzi nieskrępowana wyobraźnia: niepełnosprawni aktorzy inscenizują znaną historię tak, jak opowiadają ją dzieci z przedszkola. Dlatego pojawia się w niej epizodycznie chiński cesarz, a kiedy wilk przebrany za babcię mówi: „Przytul się do mnie", Czerwony Kapturek odpowiada: „Bez wygłupów". Koniec historii też jest inny, bo wilk, aresztowany przez leśniczego, rodzi babcię... na porodówce.

I tak jest w każdym prezentowanym filmie: świat, który uznajemy za normalny, zostaje zakwestionowany, wyśmiany, obnażony. Niepełnosprawny mężczyzna szuka sprawiedliwości w urzędach, ale tam każdy urzędnik ma tę samą twarz. Chłopak z warsztatów tęskni za tym, by być jednym z superbohaterów, o których czyta w komiksach. Inni mówią o nim „dziwny"; musi się zdarzyć coś nadzwyczajnego, żeby dostrzegli, jak bardzo jest „super" w codziennych kontaktach.

Trzeba się ratować. Ale ludzie nie chcą. Wydaje im się, że nie potrzebują ratunku. A zwłaszcza że nie potrzebują go od tych „słabszych". Biedne, niepotrzebujące, nierozumiejące niczego dzieci. ©

REKLAMA

WIELKIE PYTANIA NA NOWO

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
Templeton Religion Trust
Copernicus Center
59. KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY 59th KRAKOW FILM FESTIVAL

Prof. Jan Terelak badał granice ludzkiej psychiki w warunkach izolacji na załodze Stacji Antarktycznej PAN im. H. Arctowskiego u wybrzeża Wyspy Króla Jerzego

Fundacja Tygodnika Powszechnego i Krakowski Festiwal Filmowy zapraszają na projekcję filmu „Syndrom zimowników" w reż. Piotra Jaworskiego oraz debatę z udziałem prof. Jana Terelaka, Wojciecha Brzezińskiego oraz reżysera

Kino Pod Baranami, Kraków, Rynek Główny 27 | 28.05.2019 g. 18:00 | bilety do nabycia przed seansem i w przedsprzedaży na www.krakowfilmfestival.pl

Z ODDECHEM

CZEGO NAS UCZY HAVEL

Czytając dokumenty unijne miał wrażenie, że zagląda do wnętrza doskonałej maszyny, w której czegoś jednak brakuje. Że pobudzają umysł – ale nie serce.

ALEKSANDER KACZOROWSKI

Gdy zadaję sobie pytanie, jak bardzo ja sam czuję się Europejczykiem i co mnie łączy z Europą, najpierw odrobinę zdumiewa mnie, że zadaję sobie to pytanie dopiero teraz.

Václav Havel,
wystąpienie przed Parlamentem Europejskim
w Strasburgu, 16 lutego 2000

Dla czytelników eseistyki Václava Havla (1936–2011), jednego z najsłynniejszych wschodnioeuropejskich dysydentów, dramaturga, pisarza politycznego, a wreszcie charyzmatycznego polityka o międzynarodowej sławie, która sytuuje go w jednym szeregu z Nelsonem Mandelą czy Dalajlamą, może być zaskoczeniem, jak niewiele w gruncie rzeczy uwagi poświęcił kwestiom związanym z tożsamością europejską, jej duchem i etosem, a zwłaszcza z funkcjonowaniem i przyszłością Unii Europejskiej.

Powód wstrzemięźliwości autora „Siły bezsilnych" był dość banalny: przez większą część życia postrzegał swoją europejskość „jako tak absolutnie oczywistą, że nie wymagała żadnej refleksji, pytań czy choćby artykulacji". W jego myśleniu, zainspirowanym przez tradycję fenomenologiczną i filozofię Heideggera, kontynent europejski pomimo jałtańskiego podziału stanowił historyczną i kulturową jedność; europejski Zachód i Wschód były – przy wszystkich widocznych gołym okiem i możliwych do wyobrażenia różnicach – wariantami tej samej cywilizacji technicznej, domeną „podstępnej i wszystko przenikającej bezosobowej Władzy".

O losie dysydenta pisał tak: „Czy w tych bardzo skromnych, a zarazem wciąż historycznie ważnych zmaganiach z samoruchem bezosobowej władzy przypadek, miejsce zamieszkania, zmusza nas do konfrontacji z zachodnim menedżerem, czy ze wschodnim biurokratą – to przecież naprawdę nie jest tak ważne" („Polityka a sumienie", 1984).

Rozbrojenie

Znacznie ważniejsza w połowie lat 80. ubiegłego wieku wydawała mu się groźba wojny jądrowej. Havel, 49-letni współtwórca opozycyjnej Karty 77 i zakazany dramaturg, który ostat-

SHEPARD SHERBELL / CORBIS / GETTY IMAGES

Václav Havel, Praga, grudzień 1989 r.

nie pięć lat spędził w komunistycznym więzieniu, w marcu 1985 r. podpisał się pod planem demilitaryzacji Europy wystosowanym przez dwudziestu czechosłowackich dysydentów. Sygnatariusze „Apelu praskiego" postulowali: zjednoczenie Niemiec, likwidację NATO i Układu Warszawskiego, wycofanie amerykańskich i radzieckich wojsk z Europy oraz rozbrojenie państw europejskich.

Była to propozycja nawet bardziej radykalna niż najradykalniejsze postulaty zachodnioeuropejskich ruchów pokojowych i tamtejszej lewicy. W owym czasie miliony Niemców, Anglików czy Włochów demonstrowały przeciwko planom rozmieszczenia w Europie Zachodniej amerykańskich pocisków Cruise i rakiet Pershing II. Większym zagrożeniem dla pokoju wydawał się im Ronald Reagan niż nowy pierwszy sekretarz KPZR Michaił Gorbaczow. Z tego powodu wielu wschodnioeuropejskich dysydentów odnosiło się do zachodnich ruchów pokojowych z uzasadnioną rezerwą.

Tej kwestii Havel poświęcił głośny esej „Anatomia powściągliwości jednej ze stron" (1985). Wytknął w nim zachodnim działaczom pokojowym, że pomijają los Europy Środkowej (przy tej okazji pierwszy raz posłużył się tym określeniem, spopularyzowanym na Zachodzie przez Milana Kunderę). Powtórzył ↦

↦ też postulaty „Apelu praskiego", szczególnie mocno podkreślając kwestię zjednoczenia Niemiec. Jednakże przy okazji zdystansował się od cechującego zachodnioeuropejską lewicę antyamerykanizmu. „Nie mam na ogół wielkich złudzeń co do Ameryki, amerykańskiego establishmentu i amerykańskiej polityki zagranicznej, niemniej skala swobód wewnętrznych, a tym samym również wiarygodność polityki międzynarodowej obu mocarstw zdaje mi się tak zasadniczo odmienna, że uważanie dzisiejszej sytuacji za po prostu symetryczną w tym sensie, że obydwa kolosy są równie niebezpieczne, jest dla mnie potwornym uproszczeniem. Tak, obydwa są niebezpieczne, każdy inaczej, ale tak samo niebezpieczne stanowczo nie są".

Propozycje rozwiązań ustrojowych Havla były wzajemnie sprzeczne, a jego wizjom tożsamości europejskiej można zarzucić pustosłowie. A przecież odegrał zasadniczą rolę **w przesunięciu granicy Zachodu** o kilkaset kilometrów na wschód.

Amerykanizacja

W rzeczywistości Havel był zagorzałym amerykanofilem. Pod tym względem jego osobiste doświadczenie kłóciło się z przyjętą pod wpływem lektur filozoficznych wizją świata. Owszem, mógł napisać za Heideggerem, że konfrontacja z zachodnim menedżerem czy ze wschodnim biurokratą to „w gruncie rzeczy" jedno i to samo. Ale nie byłoby mu wszystko jedno, gdyby miał wybrać, czy zapalić ulubionego papierosa marki Peter Stuyvesant, czy machorkę.

Havel jeszcze podczas aksamitnej rewolucji poważnie traktował projekt demilitaryzacji Europy, ale nigdy nie zamierzał przyłożyć ręki do niczego, co groziłoby zantagonizowaniem z Ameryką. Świadczy o tym przebieg jego rozmowy z szefem dyplomacji amerykańskiej Jamesem Bakerem. W lutym 1990 r. Baker przyjechał do Pragi, by dopiąć szczegóły pierwszej oficjalnej wizyty Havla w USA. W trakcie zapoznawczej rozmowy świeżo upieczony prezydent Czechosłowacji oświadczył, że podczas swego wystąpienia w Kongresie zamierza zaproponować rozwiązanie NATO i Układu Warszawskiego.

Baker puścił tę uwagę mimo uszu, ale niedługo później do urzędu prezydenta Havla wpłynęło memorandum zastępcy amerykańskiego ambasadora w Pradze Theodore'a E. Russela. Dyplomata dał jasno do zrozumienia, że wprawdzie prezydent Havel może powiedzieć w Kongresie, co chce, ale stawianie na równi NATO i Układu Warszawskiego, a tym bardziej wezwanie do rozwiązania Sojuszu Północnoatlantyckiego zapewne nie spotka się z życzliwym przyjęciem.

Była to cenna lekcja. Dwa tygodnie później, przemawiając w amerykańskim Kongresie, Havel zaprzeczył, jakoby zamierzał domagać się rozwiązania NATO. W ciągu najbliższego roku, wraz z grupą zaufanych doradców (wśród których nie było już ani jednego sygnatariusza „Apelu praskiego") doszedł do przekonania, że warunkiem utrzymania pokoju i zjednoczenia Europy nie jest demilitaryzacja kontynentu, lecz wprost przeciwnie – rozszerzenie NATO jak najdalej na wschód. I postanowił przekonać do tej wizji Amerykanów.

Tak wyjaśnił po latach tę zmianę poglądów w rozmowie z czeskim dziennikarzem Danielem Kaiserem: „Bardzo szybko doszliśmy do wniosku, że nie warto tworzyć czegoś od podstaw na zielonej łące – na przykład ogólnoeuropejskiej organizacji bezpieczeństwa – skoro istnieje NATO i wystarczy zmienić jego doktrynę, przetransformować je i otworzyć na nowych członków".

Wyniesiona z domu rodzinnego fascynacja Ameryką ogromnie ułatwiła tę zaskakującą dla wielu ewolucję. Ojciec Havla, przed wojną zamożny przedsiębiorca, w młodości odbył półroczną podróż studyjną do USA i wrócił z niej jako gorący zwolennik amerykańskiej demokracji i społeczeństwa obywatelskiego. Pół wieku później, wiosną 1968 r. także jego syn odwiedził Stany Zjednoczone. Spędził tam sześć tygodni; to właśnie wtedy także jego proamerykanizm stał się „tak absolutnie oczywisty, że nie wymagał żadnej refleksji, pytań czy choćby artykulacji" .

Realizm

Wpływ na ewolucję poglądów Havla miały również przykre doświadczenia z kontaktów z czołowymi politykami europejskimi. Jego polityczny idealizm szybko zderzył się z brutalną Realpolitik przywódców Francji i Niemiec. Początki wprawdzie zdawały się obiecujące, np. prezydent Francji François Mitterrand w grudniu 1989 r. zaproponował utworzenie konfederacji europejskiej z udziałem państw postkomunistycznych. Brzmiało to nieźle, ale Havel szybko zorientował się, że tak naprawdę celem Paryża jest utrzymanie postkomunistycznego wschodu z dala od Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (poprzedniczki UE), a Stanów Zjednoczonych – jak najdalej od postkomunistycznego wschodu i Europy (określenie Daniela Kaisera). Na dodatek Mitterrand mówił o integracji europejskiej w perspektywie kilkudziesięciu lat, czyli chciał odwlec ją na święty nigdy. Jego rzeczywistym celem było zmuszenie kanclerza Niemiec Helmuta Kohla do utworzenia wspólnej europejskiej waluty w zamian za zgodę Paryża na zjednoczenie Niemiec.

Utworzona w listopadzie 1993 r. Unia Europejska wkrótce zawarła układy stowarzyszeniowe z krajami wyszehradzkimi, ale żadne ze starych państw członkowskich z wyjątkiem Niemiec nie wydawało się naprawdę zainteresowane rozszerzeniem UE na wschód. W notatkach Havla zachowała się interesująca relacja z jego pierwszego spotkania z Richardem Holbrookiem, asystentem sekretarza stanu USA ds. europejskich i kanadyjskich, podczas obchodów wyzwolenia KL Auschwitz-Birkenau w styczniu 1995 r. „Zapytałem go [Holbrooka], czy nie ma wrażenia, że Niemcy wspierają nasze członkostwo w UE, ponieważ grają tam pierwsze skrzypce, natomiast nie wspierają naszego członkostwa w NATO, gdyż tam z kolei dominują USA, Niemcy zaś chętnie sami zadbaliby o kwestie bezpieczeństwa w Europie Środkowej, ewentualnie we współpracy z Rosją, bez asysty USA. Odpowiedział, że właśnie tak to widzi".

Jednoczenie

Havel większą część swojej czterokrotnej prezydentury, najpierw jako głowa państwa czechosłowackiego (1989–1992), a następnie Republiki Czeskiej (1993–2003), poświęcił przeko-

nywaniu polityków amerykańskich o celowości rozszerzenia NATO, a polityków europejskich – o konieczności rozszerzenia UE. Pierwszemu z tych celów poświęcił jednak nieporównanie więcej uwagi. Po części dlatego, że ze swoją charyzmą, darem argumentacji i idealizmem politycznym łatwiej mógł trafić do uszu polityków amerykańskich, takich jak prezydent Bill Clinton czy ówczesny przewodniczący komisji spraw zagranicznych Kongresu (a dziś prawdopodobny następca Donalda Trumpa w Białym Domu) Joe Biden. Skomplikowane kwestie akcesji europejskiej, sławetne *acquis communautaire*, leżały w gestii kolejnych premierów (Klausa, Tošovskiego, Zemana i Špidli). Havel nie miał do tego serca.

Warto w tym miejscu przytoczyć fragment jego wystąpienia w Parlamencie Europejskim w Strasburgu 8 marca 1994 r.: „Przyznam się, że lektura traktatu z Maastricht i pozostałych dokumentów, stanowiących fundament Unii Europejskiej, nastroiła mnie poniekąd dwuznacznie. Z jednej strony chodzi o dzieło bez wątpienia godne szacunku. Człowiekowi aż się niemal nie chce wierzyć, że dla tak wielce zróżnicowanych systemów prawnych i gospodarczych tylu państw europejskich udało się znaleźć wspólne ramy, stworzyć wspólne reguły gry, wymyślić mechanizmy legislacyjne, administracyjne oraz instytucjonalne, które umożliwiają lub umożliwią płynne funkcjonowanie tego ogromnego organizmu, i że w politycznie tak wielobarwnej przestrzeni powiodło się osiągnąć zgodę w tylu konkretnych sprawach oraz zharmonizować mocno zróżnicowane interesy w sposób, który w ostatecznym rozrachunku okaże się korzystny dla wszystkich. Powtarzam, jest to godne podziwu dzieło ludzkiego ducha i jego racjonalnego myślenia.

Jednak ów podziw, wręcz niemal zachwyt, zakłócało mi odczucie inne, mniej radosne. Miałem wrażenie, że zaglądam do wnętrza absolutnie doskonałej i niesamowicie przemyślnej nowoczesnej maszyny, poznawanie której musi przynosić wielką pociechę każdemu wielbicielowi wynalazków technicznych, zarazem jednak – jako istocie ludzkiej, której stosunek do świata nie ogranicza się do podziwu dla sprawnych urządzeń – dotkliwie mi w niej czegoś brakowało. W pewnym uproszczeniu można by to określić mianem duchowego, moralnego czy też uczuciowego wymiaru. Po prostu pobudzony został mój umysł, jednak serce już nie”.

W ciągu następnych kilku lat Havel zgłosił kilka propozycji usprawnienia funkcjonowania UE. Przemawiając we francuskim senacie zaproponował np. stworzenie zwięzłej konstytucji europejskiej, której dzieci mogłyby uczyć się na pamięć w szkołach (nie miała ona nic wspólnego z projektem traktatu konstytucyjnego UE, odrzuconym w referendach we Francji i Holandii w 2005 r.) oraz „ustanowienie systemu dwuizbowego, jak to bywa w normalnej federacji”. Niemal jednocześnie zapewniał jednak, że nie chodzi mu o „radykalne zastąpienie dzisiejszego związku państw przez jedno wielkie (ponad)państwo federalne, czego obawiają się eurosceptycy” (Strasburg, 2000). „Nie rozumiem Unii Europejskiej jako czegoś w rodzaju monstrualnego superpaństwa, w którym stopniowo miałaby się rozmyć odrębność wszystkich tak zróżnicowanych składowych Europy: narodów, państw, grup etnicznych, kultur, regionów. Wręcz przeciwnie: rozumiem ją jako systematyczne kształtowanie przestrzeni, która tymże składowym umożliwi nieskrępowany rozwój w warunkach trwałego bezpieczeństwa i korzystnej dla wszystkich współpracy, mającej oparcie w regułach demokracji, poszanowaniu praw człowieka, społeczeństwie obywatelskim oraz otwartej gospodarce rynkowej” (Strasburg, 1994).

Propozycje rozwiązań ustrojowych Havla były wzajemnie sprzeczne, a jego wizjom tożsamości europejskiej można zarzucić pustosłowie („Uważam, że jednocząca się Europa nie może dziś poszukiwać i odnajdywać swej idei nigdzie indziej, jak właśnie w nowym określeniu swej postawy wobec niekontrolowanego cywilizacyjnego galopu, który kiedyś sama wprawiła w ruch”, itd., itp.). Jego niekwestionowaną zasługą nie były jednak drobiazgowe wizje jednoczącego się kontynentu, lecz istotna rola, jaką odegrał w przesunięciu granicy Zachodu o kilkaset kilometrów na wschód, nad Bug, Karpaty, Narwę czy Dźwinę.

Pod tym względem ten najbardziej kosmopolityczny z czeskich polityków XX wieku zarazem był typowym, pragmatycznym Czechem, nastawionym na osiąganie wymiernych celów. Na tym polega jego wielkość. I tego współcześni politycy mogliby się uczyć od Havla. © ALEKSANDER KACZOROWSKI

ALEKSANDER KACZOROWSKI *(ur. 1969) jest bohemistą, tłumaczem i pisarzem. Autor m.in. biografii „Havel. Zemsta bezsilnych”, „Hrabal. Słodka apokalipsa” i „Ota Pavel: pod powierzchnią”.*

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania”

ZDUŃSKA WOLA I GRAJEWO

W czwartek 23 maja MARCIN ŻYŁA spotka się z młodzieżą w MBP w Zduńskiej Woli, a dzień później **(piątek, 24 maja)** przeprowadzi lekcję czytania dla licealistów w Muzeum Mleka w Grajewie. Obie dyskusje odbędą się wokół fragmentów książki „Skóra. Witamy uchodźców” Izy Klementowskiej i dotyczyć będą problemu nietolerancji na tle rasowym.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na / LekcjeCzytania

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · TYGODNIK POWSZECHNY · Quad · SALES MANAGO marketing automation

MISJA EKSA

Był czas, gdy władze PRL testowały możliwość wykorzystania krakowskiego arcybiskupa Wojtyły w grze przeciw prymasowi Wyszyńskiemu. Pomóc miał im w tym pewien były jezuita.

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Jesienią roku 1965, po wysłaniu listu do biskupów niemieckich – ze słynną deklaracją „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie" – Kościół w Polsce jest na wirażu. Musi tłumaczyć wiernym sens Orędzia do Niemców i stawić czoło krytyce, a nawet aktom agresji.

Władze PRL wykorzystują do walki z Kościołem falę autentycznego społecznego niezadowolenia, jaką wywołał gest biskupów – wykonany zaledwie 20 lat po II wojnie światowej, i to w sytuacji, gdy w swej masie Niemcy (państwo i społeczeństwo Republiki Federalnej; komunistyczna NRD to osobna historia) ani nie byli gotowi przepraszać, ani nie uznali jeszcze powojennej granicy.

W tej kampanii władzom pomagają lojalni wobec nich duchowni. Wśród nich ks. Julian Humeński: członek ruchu „księży patriotów", mianowany przez władze generalny dziekan Ludowego Wojska Polskiego i były jezuita (w języku jezuitów tacy jak on nazywani są „eksami", tj. członkami zakonu, którzy go definitywnie opuścili lub zostali usunięci).

W styczniu 1966 r. Humeński otrzymuje sekretną misję.

Walka o rząd dusz

Cofnijmy się w czasie. Po 1945 r. w komunistycznej Polsce konflikt państwa z Kościołem to chleb powszedni. Dla religii („opium ludu", jak głosi marksizm) nie ma miejsca; zastąpić ma ją ideologia materialistyczna. W apogeum stalinizmu (1948-54) polityka wyznaniowa przybiera skrajną postać, a jej „ukoronowaniem" jest izolacja prymasa Stefana Wyszyńskiego (1953-56).

Kościół, który był już na drodze do utraty autonomii, wykorzystuje szansę, jaką daje względna liberalizacja w okresie Października '56. Prymas odzyskuje wolność i ściąga cugle: wzmacnia struktury Kościoła, osłabia wpływ lojalnych wobec państwa księży i pokazuje, że duchowieństwo jest wierne Watykanowi. Po 1956 r. trwa więc chwilowe zawieszenie broni między państwem a Kościołem. Gra toczy się o to, aby w Polsce nie wybuchło antysowieckie powstanie – jak na Węgrzech.

Z czasem, gdy ekipa I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki umacnia swą pozycję, relacje państwo–Kościół wracają na tory inspirowanej przez władze konfrontacji – choć bez takich represji jak w powojennej dekadzie. Jedną z osi sporu jest Milenium: nadchodzące obchody tysiąclecia chrztu Polski. Kościół wyprzedza państwo w rocznicowym maratonie. Śluby Jasnogórskie (sierpień 1956 r., powtórzone w maju 1957 r.) i Wielka Nowenna (1957-66) przygotowują wiernych do Milenium (1966). Ale ten program duchowej odnowy narodu jest nie w smak Gomułce, który patrzy na nią przez filtr polityczny i dostrzega tylko zagrożenie. Zarzucając Wyszyńskiemu „ofensywę wojującego klerykalizmu", od 1958 r. zaczyna dokręcać śrubę. Władze inicjują też konkurencyjne obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego. Stawką jest zdobycie rządu dusz Polaków.

Do listopada 1965 r. trwa „milenijne przeciąganie liny". Kościół, mimo ograniczeń, nie ustaje w przygotowaniach do obchodów jubileuszu, ekipie Gomułki zaś brakuje pomysłu, jak wyjść z impasu i – parafrazując słynne wtedy słowa pierwszego sekretarza – pokazać, kto tu jest gospodarzem.

Niespodzianie „pomaga" jej Kościół. Orędzie do Niemców staje się potężnym katalizatorem konfliktu o Milenium. Wystosowane podczas ostatniej sesji Soboru Watykańskiego II, jest zaproszeniem do udziału w jubileuszu chrztu i braterskim wyciągnięciem ręki do pojednania. Ale dla władzy ma charakter politycznej prowokacji. Tę opinię podziela początkowo ogół Polaków, którzy na takie polsko-niemieckie gesty nie są gotowi.

Ekipa Gomułki wykorzystuje list biskupów do wściekłej propagandowej ofensywy przeciw jego autorom. Uczestniczą w niej nie tylko państwowe media, lecz także instytucje i aparat partyjny; swoje trzy grosze dodają niektórzy ludzie nauki i kultury. W antyorędziowej kampanii argumenty mieszają się z kłamstwami.

Komuniści wykorzystują w niej także lojalnych duchownych.

„Ksiądz patriota"

Formacja tych tzw. „księży patriotów" (nazwa ma sugerować, że patriotą jest tylko ten, kto popiera komunizm) powstaje w końcu lat 40. – z inspiracji Stalina i w oparciu o wzorce sowieckiej Cerkwi, zinfiltrowanej przez NKWD. Władze wykorzystują słabości księży, ich ambicje, konflikty z przełożonymi. W swym apogeum ruch skupia ok. tysiąca księży

LASKI DIFFUSION / EAST NEWS

Prymas Stefan Wyszyński i metropolita krakowski Karol Wojtyła podczas wakacji, lata 70.

(10 proc. ogółu), lecz słabnie już w połowie lat 50. Dzięki wsparciu władz zostaje reanimowany w 1959 r. Od czasu do czasu, jak w przypadku wojny o Milenium, „księża-patrioci" są wprost angażowani do walki z Kościołem.

Jednym z nich jest Julian Humeński. Urodzony w 1911 r. w galicyjskiej Kołomyi, w wieku 15 lat wstępuje do zakonu jezuitów (tak wczesne przystąpienie było wtedy możliwe). Kształci się w zakonie, studiuje na Wydziale Filozoficznym w Krakowie i na Bobolanum w Lublinie. W 1938 r. przyjmuje święcenia. Jest superiorem domu zakonnego w Zakopanem (1944-46), później kieruje Wydawnictwem WAM i zostaje redaktorem „Posłańca Serca Jezusowego".

W 1948 r., po konflikcie z przełożonymi, samowolnie opuszcza zakon – i podpada pod kary przewidziane prawem kanonicznym (po dłuższym czasie zostanie z nich zwolniony, ale nie może otrzymać jurysdykcji w Archidiecezji Warszawskiej i sprawować stanowiska kierowniczego). Ucieka więc pod opiekę władz: wstępuje do Duszpasterstwa Wojskowego, które w PRL jest podporządkowane państwu. W latach 1949-54 jest redaktorem „Kapelana Wojskowego", a w 1953 r. sprawuje chwilowo „pieczę" nad „Gościem Niedzielnym". Potem jest proboszczem garnizonów w Rzeszowie i Poznaniu.

W 1964 r. awansuje: zastępuje ks. Romana Szemraja (uznanego wtedy za „politycznie niepewnego") na stanowisku Generalnego Dziekana WP. Istnienie duszpasterstwa wojskowego jest w tym czasie dyktowane wyłącznie potrzebami polityki wyznaniowej, dlatego decydującą rolę odgrywa w jego działalności Urząd do spraw Wyznań. Generalnemu Dziekanowi WP podlega kilkudziesięciu kapelanów, którzy są „społecznie aktywni", a ich praca jest uważana przez władze za pożyteczną.

Na stanowisko Generalnego Dziekana Humeńskiego typuje Komisja KC PZPR ds. Kleru, a rozkaz w tej sprawie wydaje marszałek Marian Spychalski, który po raz pierwszy – jako zwierzchnik armii – nie uzgadnia tego z władzami kościelnymi.

W tej sytuacji – i ze względu na kontrowersje wokół Humeńskiego – prymas odmawia mu jurysdykcji. Eksjezuita prosi o pomoc w tej sprawie szefa Głównego Zarządu Politycznego WP gen. Wojciecha Jaruzelskiego; nie przynosi to jednak efektu.

Mimo wszystko swoją funkcję będzie pełnić – przez kolejne 22 lata.

Zlecenie specjalne

Jest styczeń 1966 r., gdy Humeński otrzymuje specjalne zlecenie: z inicjatywy Urzędu ds. Wyznań ma przeprowadzić rozmowy o Orędziu z biskupami Janem Jaroszewiczem, Michałem Klepaczem, Edmundem Nowickim, Karolem Pękalą, Bogdanem Sikorskim i abp. Karolem Wojtyłą. Dobór rozmówców nie jest przypadkowy i zapewne wynika z dokonanej przez urząd oceny możliwości podjęcia z nimi „dialogu" za plecami Wyszyńskiego.

Humeński podejmuje się tej misji. W trakcie rozmów będzie sondować opinie biskupów w sprawie Orędzia. Będzie też usiłował poznać okoliczności jego powstania, sprawę zaproszenia papieża Pawła VI do Polski, a także stosunek biskupów do prymasa. Tę tematykę ustalono na pewno w gabinetach UdsW, a niewykluczone, że także Służby Bezpieczeństwa. ↦

↦ Humeński „w zaufaniu" informuje rozmówców o planowanym na wiosnę 1967 r. poborze kleryków do wojska, co ma wywrzeć na nich presję, a zarazem otworzyć pole do podjęcia – za pośrednictwem jego jako „księdza patrioty" – zakulisowych rozmów z władzami PRL nie tylko o odroczeniu tej decyzji, lecz także, co ważniejsze, o relacjach państwa z Kościołem.

Humeński występuje w tych rozmowach jako nieformalny rzecznik władz, akcentując ich, jak twierdzi, wolę normalizacji stosunków z episkopatem. Celem spotkań jest zapewne znalezienie wśród biskupów zwolenników ugody z państwem i oponentów Wyszyńskiego. Informacje o „słabych ogniwach" w episkopacie mogą ułatwić władzom jego rozbicie.

Tournée po Polsce

Pierwszą rozmowę Humeński prowadzi 7 stycznia 1966 r. w Łodzi z bp. Klepaczem. W okresie izolacji Wyszyńskiego Klepacz pełnił funkcję namaszczonego przez władze przewodniczącego episkopatu – może dlatego Humeński od niego zaczyna swoje kilkudniowe intensywne *tournée* po Polsce.

W rozmowie były jezuita zwraca uwagę na trudne relacje państwo–Kościół po Orędziu. Klepacz, który chyba zdaje sobie sprawę z celu rozmowy (jego dyskusja z Humeńskim będzie mieć dyplomatyczny charakter), dystansuje się od tej opinii i twierdzi, że spór wokół Orędzia powinien zostać zakończony dla dobra państwa i Kościoła. Humeński sugeruje, że władzom zależy na ułożeniu się z Kościołem, tylko nie wiedzą, jak to osiągnąć. Klepacz odpowiada, że najlepiej przez rozmowy z prymasem, który „może istotnie daje się ponieść nieraz, ale kto z nas nie jest bez winy, a kto jest, niech pierwszy rzuci kamieniem". Słowa Klepacza trudno zinterpretować inaczej jak wyraz lojalności wobec Wyszyńskiego.

Następnego dnia Humeński próbuje ściągnąć biskupów w orbitę władz podczas rozmowy w Płocku z bp. Sikorskim. Informuje o planowanym ataku propagandowym na bp. Jerzego Strobę, w związku z formułowanymi wobec niego zarzutami o podpisanie podczas wojny „volkslisty", i sugeruje wywarcie na niego wpływu, by „jakoś zbliżył się do władz i rzecz całą wyjaśnił" (to w gruncie rzeczy próba szantażowania Stroby). Sikorski daje do zrozumienia, że wie od Stroby, iż jest uzależniony od dyspozycji wydawanych mu przez Wyszyńskiego

ARCH. PROWINCJI WIELKOPOLSKO-MAZOWIECKIEJ TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO

Ksiądz Julian Humeński, zdjęcie z pamiątkowej publikacji.

i z tego powodu nie zmieni swego stanowiska wobec państwa. W sprawie Orędzia Sikorski neguje pogłoski, że nie wszyscy biskupi chcieli je podpisać. Jego zdaniem ich ogół nie znał jednak pełnej treści listu w chwili podpisywania; musieli tu zaufać prymasowi.

Od płockiego biskupa Humeński zdobywa cenne informacje o abp. Wojtyle, które władze mogą wykorzystać przeciw Kościołowi. Pytany, czy Wojtyła redagował Orędzie, Sikorski zaprzecza. Po czym – chyba nie przeczuwając, jak cenne wiadomości przekazuje – dodaje: „Wiem ponadto, że nie reprezentuje on w zupełności poglądów Wyszyńskiego i gdyby był nieco starszy, dałby niewątpliwie temu wyraz. Także gdy niektórzy biskupi krytykowali go za rozmowę z [Zenonem] Kliszką [prominentny członek Biura Politycznego KC PZPR – red.], odpowiedział publicznie, że gdy będzie to pożytkiem dla Kościoła, rozmawiać z nim gotów jeszcze pięć razy. Także z Gomułką, czy z kimkolwiek, kto ma cokolwiek do powiedzenia w sprawie Kościoła. Ta jego wypowiedź bardzo mi się podobała, gdyż jestem tego samego zdania, iż jedynie rozmowy mogą nas przybliżyć". Sikorski zauważa, że choć Wyszyński jest nieprzejednany, to można znaleźć drogę do rozmów z Watykanem poza jego osobą. To jest już co najmniej brak lojalności wobec prymasa.

Podczas kolejnej rozmowy – w Kielcach, 10 stycznia – tamtejszy biskup Jaroszewicz nie wyklucza możliwości aresztowania Wyszyńskiego przez władze i zastąpienia go Klepaczem w ramach reperkusji za Orędzie. Potwierdza Humeńskiemu, że Orędzie to dzieło Wyszyńskiego i wrocławskiego biskupa Bolesława Kominka. Zaprzecza, by pracował nad nim Wojtyła. Kielecki hierarcha informuje Humeńskiego, że Paweł VI nie został zaproszony do Polski przez episkopat.

Informacje o okolicznościach podpisania Orędzia uzyskuje Humeński także od bp. Pękali, który dzień później w Tarnowie mówi mu, że wielu biskupów nie znało jego treści i opierało się na wezwaniu prymasa, by mu zaufali i dokonali tego aktu. Hierarcha przyznaje, że po ponownym przeczytaniu Orędzia miał wrażenie, że nie wszystkie jego fragmenty były potrzebne; np. wzmianka o „przedwojennych polskich ziemiach na Wschodzie". Stara się tłumaczyć episkopat, że podpisując Orędzie miał jak najlepszą wolę i chciał się przysłużyć krajowi, a nie mu zaszkodzić. Pękala potwierdza opinię rozmówcy, że nieprzejednane stanowisko Wyszyńskiego może tylko komplikować napiętą sytuację państwo–Kościół.

Wyrzucony za drzwi

Najkrótsza, gdyż zaledwie kilkuminutowa rozmowa odbywa się 12 stycznia w Krakowie. Arcybiskup Wojtyła od razu oznajmia Humeńskiemu, że nie posiada jurysdykcji kościelnej do sprawowania urzędu Generalnego Dziekana WP, i że w związku z tym wszystko czyni bezprawnie.

Duchowny oponuje. Twierdzi, że został powołany przez Spychalskiego, lecz metropolita krakowski nie przyjmuje tego do wiadomości. Wojtyła podkreśla, że władze nie mogą dać przecież Humeńskiemu jurysdykcji kościelnej. Ten oznajmia, że są biskupi, którzy z nim rozmawiają i nie podzielają tego stanowiska. Na tym rozmowa się kończy. Humeński odnotowuje, że pożegnał się z Wojtyłą, „zachowując się do końca bardzo uprzejmie, ale i z godnością". Prawda jest taka, że abp Wojtyła właściwie wyrzuca go za drzwi.

Mimo tej porażki, Humeński kontynuuje misję. Następnego dnia, w rozmowie z bp. Nowickim w Gdańsku, akcentuje pozytywny stosunek tego biskupa do państwa. Ma miejsce taki oto dialog. Humeński: „Postawa ks. biskupa wobec naszych władz budzi ogólny szacunek wśród nas, księży. Zresztą podoba się także niejednemu księdzu biskupowi, choć nie mają odwagi ekscelencji naśladować". Nowicki: „A niech naśladują, będą też mieli lżej".

Na tym rozmowy Humeńskiego z biskupami się kończą. W lutym płk Markuszewski, zastępca szefa Zarządu I Szefostwa Wojskowej Służby Wewnętrznej (wojskowej bezpieki), przesyła sprawozdania z nich dyrektorowi „wyznaniowego" Departamentu IV MSW płk. Morawskiemu.

Spotkania Humeńskiego z biskupami dostarczają tajnym służbom wojskowym i cywilnym oraz władzom cennych wiadomości o kulisach Orędzia, zaproszeniu Pawła VI, stosunku biskupów do państwa i możliwości dialogu z nimi. W wypowiedziach niektórych hierarchów czuć dystans do Wyszyńskiego. Ale jeśli ktoś we władzach sądził, że Wojtyła da się wykorzystać do rozgrywki z Wyszyńskim, to się zawiódł. Eksjezuita dostał od niego lekcję pokory. To także sygnał, że Wojtyła jest lojalny wobec prymasa.

Na fali kampanii wymierzonej w Orędzie, w styczniu i lutym 1966 r. władze inicjują także inne rozmowy: przewodniczących prezydiów wojewódzkich rad narodowych z kilkudziesięcioma biskupami. Nie przynoszą efektu. W episkopacie nie dochodzi do podziału i otwartej krytyki prymasa. Wkrótce, wiosną 1966 r., Kościół zacznie obchody tysiąclecia chrztu Polski.

***

Ks. Julian Humeński, odznaczany wysokimi orderami państwowymi, przechodzi w stan spoczynku w 1986 r. i wraca do jezuitów. Umiera w 1994 r.

Do dziś nie wiadomo, czy ten gest miłosierdzia ze strony zakonu został poprzedzony jakąś ekspiacją.

© BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Autor jest historykiem, pracownikiem naukowym IPN w Warszawie.

Yad Vashem i „grupa berneńska"

Decyzja, by tytuł Sprawiedliwego przyznać tylko jednemu z polskich dyplomatów z Berna, jest niezrozumiała, a tłumaczenie Yad Vashem – nieprzekonujące.

Chciałbym mieć paszport Paragwaju / Złoty i wolny to jest kraj / Ach jak przyjemnie być poddanym / Kraju, co zwie się Paragwaj" – to fragment wiersza „Paszporty", który poeta Władysław Szlengel napisał w warszawskim getcie. Podobno śpiewano go tam na spotkaniach literackich i w kabaretach (dopóki istniały).

Szlengel prawdopodobnie nie dostał fałszywego paszportu Paragwaju. Zginął wraz z żoną podczas powstania w getcie. Jego song przypomniał Gerhard Gnauck, korespondent niemieckiego „FAZ", opisując dzieje „grupy berneńskiej": sześciu ludzi, którzy wystawili, wedle ostatnich szacunków, aż 8-10 tys. fałszywych latynoskich paszportów. Zwiększały szanse przetrwania Żydów, którzy je otrzymali: obywateli państw latynoskich, także tych pochodzenia żydowskiego, Niemcy traktowali inaczej niż Żydów europejskich (np. wysyłali do osobnego obozu internowania, licząc, że wymienią ich na Niemców internowanych w Ameryce Południowej). Ustalanie, ilu posiadaczy paszportów ocalało, ciągle trwa – dziś wspólnym wysiłkiem wielu ludzi i instytucji, na czele z Jakubem Kumochem, ambasadorem w Bernie, który walnie przyczynił się do odkrycia „grupy berneńskiej" (jej historię opisaliśmy w „TP" 43/2018).

W minionym tygodniu instytut Yad Vashem ogłosił, że tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata otrzyma konsul Konstanty Rokicki, a Aleksander Ładoś i Stefan Ryniewicz jedynie „podziękowania" (Juliusz Kuehl był pochodzenia żydowskiego, a tytuł otrzymują tylko nie-Żydzi). YV tłumaczy, że z jego analizy wynika, iż Rokicki był „kluczową postacią". Nie zgadza się z tym międzynarodowe środowisko ludzi, którzy od lat rekonstruują dzieje grupy: decyzję YV przyjęli z rozgoryczeniem i uważają, że jest sprzeczna z udokumentowaną wiedzą historyczną.

Można zrozumieć ich rozgoryczenie. Można też zapytać, czy polscy dyplomaci padli ofiarą ostatniego „zlodowacenia" między Izraelem i Polską? Na początku maja jedna z izraelskich gazet pisała, że uznanie trzech dyplomatów za Sprawiedliwych mogłoby być krokiem „ku rozładowaniu napięć między Izraelem i Polską na tle współwiny za Holokaust i antysemityzm", i że „zostałoby to także zinterpretowane jako zaakceptowanie przez Izrael narracji, że polski rząd na uchodźstwie (...) nie był obojętny na tragiczny los Żydów" (cytat za PAP). Tymczasem w swoim stanowisku YV podkreśla „niezależność od wszelkich publicznych wpływów, w tym politycznych i medialnych". Nasuwa się hipoteza, że YV mógł podjąć decyzję o uhonorowaniu tylko Rokickiego, aby – profilaktycznie – zademonstrować, że nie wpisuje się w politykę, w tym wypadku rządu Izraela, dla którego uhonorowanie całej trójki mogło być przydatne, jako element politycznej deeskalacji.

Ze środowiska znawców „grupy berneńskiej" słychać postulat, aby Yad Vashem jeszcze raz przeanalizował dokumentację. Czekając na to, na razie możemy odsłuchać wykonania songu „Paszporty" na portalu YouTube (hasło: Paszporty Szlengel).

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

TP

ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU" SPECJALNY DODATEK HISTORYCZNY

4 czerwca 1989: Polska, Europa, świat

Co stało się 30 lat temu w Polsce? Co działo się w innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej, a także w Chinach i Iranie?

▪ ANDRZEJ PACZKOWSKI o „scenariuszach alternatywnych": co by się stało, gdyby władze PRL unieważniły wynik wyborów z 4 czerwca? ▪ ŁUKASZ KAMIŃSKI o roku 1989 w krajach bloku wschodniego ▪ ANTONI DUDEK o planach władz PRL ▪ MARCIN KACZMARSKI o placu Tiananmen ▪ WOJCIECH JAGIELSKI o 4 czerwca 1989 r. w Iranie i skutkach dla Bliskiego Wschodu.

WSPÓŁWYDAWCA:

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY:

FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

KONRAD ADENAUER STIFTUNG

ZROZUMIEĆ WSZECHŚWIAT

REWOLUCJA NEURONAUKOWA

WARTOŚCI DZIŚ

JĘZYK I KOMUNIKACJA

Dyskusje, które toczą się dziś w przestrzeni publicznej, są zazwyczaj uwikłane w bieżące spory światopoglądowe i polityczne. Bardzo często przyjmują formę prowadzonych z żabiej perspektywy sprzeczek, którym z zapałem oddają się przedstawiciele zwaśnionych plemion. By przeciwdziałać tym zgubnym praktykom, postanowiliśmy na nowo zadać wielkie pytania. Naszym celem jest przeniesienie rozmowy na inny poziom. Pragniemy podjąć refleksję nad najważniejszymi według nas zagadnieniami naukowymi i filozoficznymi. Przestrzenią namysłu są tematyczne dodatki do „Tygodnika Powszechnego", cykliczne wykłady, które organizujemy zarówno w przestrzeni akademickiej, jak i pozaakademickiej, lekcje czytania dla uczniów szkół średnich, nagrania udostępniane na naszej stronie internetowej oraz wydarzenia, które włączamy do programów trzech festiwali: Conrada, Kopernika, a także Krakowskiego Festiwalu Filmowego. Jak mówił Josef Albers, amerykański artysta i teoretyk sztuki, prawdziwa nauka polega na zadawaniu właściwych pytań.

WIELKIE PYTA

MATERIAŁY PRASOWE

DEBATY

Debaty w przestrzeni publicznej organizujemy po to, by poddać pod powszechną dyskusję odpowiedzi na najważniejsze pytania, udzielane przez ekspertki i ekspertów. Na zdjęciu publiczność oczekująca na jedną z naszych debat, współorganizowaną z Wyższą Szkołą Informatyki i Zarządzania w Filharmonii Rzeszowskiej. Obok – pierwszy z cyklu dodatków „TP", poświęcony matematyce.

INTERNET

Wszystkie teksty, które publikujemy w cyklicznych dodatkach tematycznych, jak również wybrane rejestracje wywiadów, wykładów i debat można znaleźć na stronie serwisu „Wielkie Pytania na Nowo" pod adresem **www.TygodnikPowszechny.pl/wielkiepytania**

OGŁOSZENIE PŁATNE

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Templeton Religion Trust

Copernicus Center

OPRACOWANIE: Grzegorz Jankowicz

PRZEMYSŁAW JAHR / WIKIMEDIA COMMONS

WYKŁADY

Publiczne wykłady organizowane są w krakowskiej księgarniokawiarni De Revolutionibus. Na zdjęciu po prawej ks. dr hab. Tadeusz Pabjan, którego prezentacja była próbą odpowiedzi na pytanie, czy świat, jaki znamy, jest najlepszym z możliwych. Po lewej Michał Krasenkow, arcymistrz szachowy, reprezentant Polski i trener. Rozmowa z nim ukazała się w dodatku „TP" poświęconym sztucznej inteligencji.

MATERIAŁY PRASOWE

NIA NA NOWO

WOJCIECH KARLIŃSKI / COPERNICUS FESTIVAL

EDYTA DUFAJ / CONRAD FESTIVAL

Po lewej: Adam Zagajewski, Copernicus Festival; powyżej: Elisabeth Åsbrink, Festiwal Conrada

FESTIWALE

Zagościmy w tym roku na trzech festiwalach. W ramach Festiwalu Kopernika, którego tematem jest „Język", odbędzie się wykład kosmologa Paula Daviesa pt. „Informacja i język życia" oraz towarzysząca mu dyskusja, którą poprowadzi Michał Eckstein (środa, 22.05, godz. 20.00, Muzeum Narodowe w Krakowie, transmisja na www.youtube.com/copernicuscenter). Zorganizujemy też cykl „Lekcji Czytania" dla licealistów, podczas których omawiane będą książki gości tegorocznej edycji.

Na Krakowskim Festiwalu Filmowym odbędą się projekcje pięciu filmów w ramach pasma „Docs+Science" oraz towarzyszące im dyskusje z twórcami: Katriną Costello, reżyserką filmu „Srebrna gałąź", Dagomirem Kaszlikowskim, reżyserem filmu „Efekt Zenona", i Katriną Janatkovą, reżyserką filmu „Bilet na Księżyc". Program całego pasma „Docs+Science" na stronie Krakowskiego Festiwalu Filmowego. Pokazy w dniach 27-31 maja, o godz. 17.00 i 19.30, zawsze w Kinie Paradox (Krupnicza 38). Zapraszamy także we wtorek 28.05. o godz. 18.00 do Kina pod Baranami (Rynek Główny 27) na projekcję filmu „Syndrom zimowników" oraz dyskusję z udziałem reżysera Piotra Jaworskiego, prof. Jana Terelaka i Wojciecha Brzezińskiego.

A w październiku wielkie pytania na nowo zadawać będziemy podczas wybranych spotkań XI edycji Festiwalu Conrada.

POSZUKIWANIE JĘZYKA W MÓZGU

Próby zlokalizowania ośrodków językowych w mózgu trwają od XIX w. Dziś wydaje się jednak, że mózgu nie można tak łatwo poszatkować na oddzielne i niezależne moduły.

MARCIN MIŁKOWSKI

Jednym z przejawów wyjątkowości człowieka jest mowa, którą Arystoteles uczynił wręcz naszą cechą definicyjną. Człowiek to więc „zwierzę władające mową" (*zoon logos echon*). Wieloznaczny wyraz *logos* dla Greków oznaczał też rozum, dlatego w przekładach łacińskich utarło się to określenie tłumaczyć jako *animal rationale* – zwierzę rozumne.

Nowożytność i współczesność daleko od takiej oceny mowy nie odchodzi. Kartezjusz sądził, że mechanicznie wyjaśnić można wszelkie cechy cielesne, fizjologiczne i emocjonalne człowieka, lecz nie jego racjonalną mowę. Miało być tak dlatego, że nie można zbudować automatu, który by prowadził rozumny dialog. W XX w. matematyk Alan Turing, idąc śladami Arystotelesa i Kartezjusza, uznawał, iż wskaźnikiem inteligencji jest właśnie rozumna mowa – gdybyśmy zbudowali automat, którego w rozmowie nie da się od człowieka odróżnić, mielibyśmy do czynienia ze sztuczną inteligencją.

WYPUKŁOŚCI CZASZKI LUDZKIEJ
DIAGRAM WG ALEXANDRE'A YSABEAU

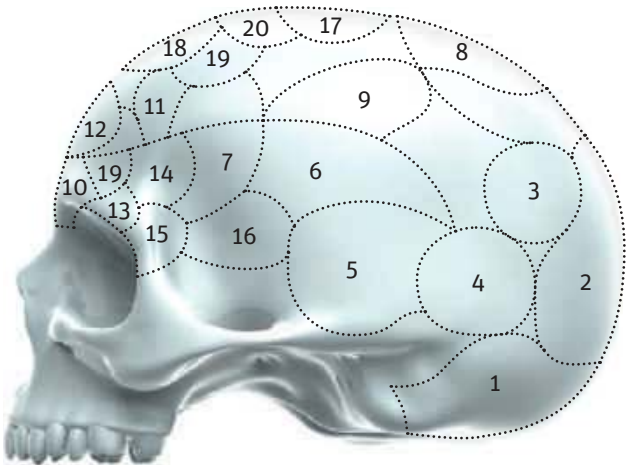

1. Zmysłowość
2. Miłość ku potomstwu
3. Miłość ku bliźnim
4. Obrona życia
5. Popęd do zabójstwa
6. Chytrość
7. Instynkt własności
8. Pycha
9. Przezorność
10. Pamięć wydarzeń
11. Pamięć miejscowości
12. Pamięć wyrazów
13. Filologia
14. Poczucie dźwięków
15. Poczucie liczb
16. Poczucie piękna
17. Głębokość umysłu
18. Dowcip
19. Dar naśladownictwa
20. Religijność

Turing jednak uważał już, że jest to całkowicie wykonalne, gdyż mowa ma podłoże materialne i mechaniczne. Zanim bowiem Turing sformułował program całkowicie mechanicznego wyjaśniania myślenia, nad kartezjańskim dualizmem ciała i duszy musiał zatriumfować materializm.

Byt ducha w kości

Jeden z kluczowych argumentów za rolą mózgu w myśleniu pojawił się już w XVIII w. Sformułował go uznawany za skrajnego materialistę Julien Offray de la Mettrie, który, orientując się dobrze w ówczesnej wiedzy medycznej, w swoim radykalnym dziełku „Człowiek maszyna" zauważył, że gdyby ciało nie miało nic wspólnego z myśleniem, to dziwne byłoby, że myślenie ustaje, gdy śpimy bez snów, że osłabia się w upojeniu alkoholowym czy po zażyciu opium, że wreszcie zo-

LECH MAZURCZYK X2

staje zaburzone, gdy mózg doznaje zaburzenia. Później, w XIX w., idea, że uszkodzenia mózgu mogą dać nam pogląd na podstawy myślenia – i rozumu – przebija się pod wpływem systematycznego badania czaszki i urazów mózgu.

Na początku XIX w. zaczynają się próby systematycznego korelowania cech mózgu i przejawów myślenia. Ma do tego służyć badanie kształtu czaszek i wnioskowanie na ich podstawie o ludzkich predyspozycjach. Franz Gall, twórca tzw. frenologii, bronił hipotezy, że poszczególne władze umysłowe są ściśle zlokalizowane w określonych fragmentach mózgu. Te fragmenty zaś mogą być mniej lub bardziej rozwinięte, co może odpowiadać obserwowanym zdolnościom umysłowym czy nałogom. Doprowadziło to do rozkwitu, zwłaszcza w USA, ale także i w Europie, całego frenologicznego przemysłu: mierzono wypukłości na czaszce, chcąc wnioskować o umysłowych predyspozycjach jej posiadacza, a Hegel dworował sobie z pomysłu, że „bytem ducha jest kość". Frenologia łączyła w sobie zupełnie rozsądny pomysł, że nauka powinna posługiwać się metodami pomiarowymi, z zupełnie fantastycznymi koncepcjami lokalizacji i podziału władz umysłowych, co ilustruje diagram wg Alexandre'a Ysabeau (na sąsiedniej stronie).

Frenologia okazała się niewiele więcej warta od astrologii, chiromancji czy wnioskowania o charakterze z rysów twarzy. A książeczki frenologów, mające ułatwić rodzicom wybór kariery dla swoich pociech, obejmowały wróżenie z kształtu rąk czy rysów twarzy, często na dodatek okraszone rasizmem czy mizoginizmem.

Dwa ośrodki

Pomiary czaszki mogłyby mieć większy naukowy sens, gdyby dało się je systematycznie wiązać z obserwacjami zaburzeń umysłowych. Lecz frenologia miała już tak złą sławę, że francuski lekarz Paul Broca, który zajmował się pacjentem ze specyficznym zaburzeniem w wyniku urazu mózgu, gwałtownie się od niej odżegnywał. Pacjent ten, Louis Victor Leborgne, cierpiał na padaczkę i Broca poznał go, gdy ten był w stanie bardzo ciężkim. Zwany był również „tan tan", gdyż tylko to był w stanie powiedzieć. Rozumiał jednak wszystko. W 1861 r. do gabinetu Broki trafił inny, 84-letni pacjent, Lelonga, który miał nieco więcej szczęścia – mógł wypowiedzieć pięć słów. Tego rodzaju zjawisko nazwano „afazją Broki" – zaburzeniem możliwości wypowiadania mowy przy jednoczesnym zachowaniu jej rozumienia. Po sekcji zwłok okazało się, że obaj pacjenci mieli uszkodzone specyficzne obszary mózgu, które powiązano z zaburzeniami mowy i nazwano na cześć ich odkrywcy „ośrodkiem Broki".

Wyniki badań Broki zainteresowały urodzonego w Tarnowskich Górach niemieckiego psychiatrę Karla Wernickego, który zauważył, że zaburzenia mowy nie zawsze są związane z urazami w obszarze Broki. Co ciekawsze, w 1873 r. odkrył zaburzenie odwrotne – polegające na umiejętności wypowiadania się, przy jednoczesnym zaniku rozumienia mowy. Za to zaburzenie odpowiadało uszkodzenie tylnej trzeciej części zakrętu skroniowego górnego w lewej półkuli. Ten obszar nazwano później „ośrodkiem Wernickego" (zob. infografika poniżej).

Po tych odkryciach posypały się następne. Odkrywano kolejne rodzaje afazji, czyli zaburzenia mowy, i kolejne odpowiedzialne za nie ośrodki. Okazało się, że równie ścisłą lokalizację mogą mieć też ośrodki, których uszkodzenie skutkuje zaburzeniami czytania. Wielu ówczesnych badaczy doszło do wniosku, że cały mózg złożony jest ze struktur wyspecjalizowanych w konkretnych zadaniach poznawczych. Prace nad poznawaniem kolejnych kluczowych ośrodków przyspieszyły w wyniku wybuchu I wojny światowej – bardzo wielu żołnierzy zostało postrzelonych w głowę. Dla neurobiologów hołdujących idei „wąskiej lokalizacji" były to istne krwawe żniwa.

Mapy mózgu wyszczególniające położenie różnych ośrodków sporządził niemiecki psychiatra Karl Kleist w 1934 r. Można byłoby sądzić, że oto oskarżana o pseudonaukowość frenologia została przynajmniej częściowo zrehabilitowana. W dodatku obydwa ważne ośrodki związane z językiem znajdują się w korze mózgowej, która jest częścią istoty szarej mózgu. Jak sama nazwa wskazuje, kora jest na powierzchni mózgu – czyli blisko czaszki. Chociaż więc Gall mylił się, że rozrost ośrodka w korze może doprowadzić do uwypuklenia się czaszki, to jednak dałoby się bronić idei, że to w niej kryje się klucz do wyjaśnienia zagadki mowy i rozumu.

A może cały mózg?

Jednak już w XIX w. hipoteza wąskiej lokalizacji była krytykowana przez wpływowych neurobiologów, z Johnem Hughlingsem Jacksonem (1835–1911) na czele, którzy nie przeczyli istnieniu zaburzeń związanych ze ściśle zlokalizowanymi uszkodzeniami, lecz podkreślali, że procesy umysłowe można lepiej zrozumieć w świetle ich całościowej organizacji, a nie tylko lokalizacji. Mowa zależy więc wedle tej konkurencyjnej hipotezy od funkcjonowania całego mózgu.

W najskrajniejszej wersji odrzucano wręcz świadectwa na rzecz lokalizacji, twierdząc, że liczy się raczej skala uszkodzenia, a nie jego położenie. Tej idei bronił m.in. laureat Nagrody Nobla, neurobiolog Charles Sherrington (1857–1952) ↦

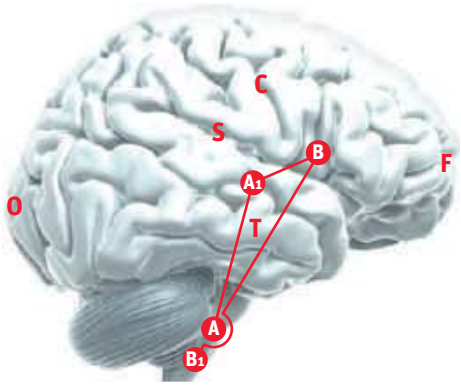

Afazja Wernickego

Model afazji według Wernickego z jego oryginalnej pracy z 1874 r. (nie jest jasne, dlaczego Wernicke rzutował połączenia na prawą półkulę; język u osób praworęcznych zlokalizowany jest w lewej).
F – płat czołowy, **T** – płat skroniowy, **O** – płat potyliczny, **C** – bruzda środkowa, **S** – szczelina Sylwiusza, **A1** – ośrodek Wernickego, główne zakończenie nerwu słuchowego, **A** – wejście nerwu słuchowego do rdzenia przedłużonego, **B** – ośrodek Broki, zakończenie nerwów motorycznych odpowiedzialnych za mowę (w oryginalnym artykule brak wyjaśnienia, co oznacza b1). Przerwanie połączeń na drodze aa1–bb1 powoduje afazję.

↦ i wpływowy psycholog Karl Lashley (1890–1958). Ten ostatni przeprowadził spektakularne badania nad procesami zapamiętywania u szczurów, coraz bardziej niszcząc ich mózgi. Zaobserwował jednak tylko stopniowe obniżenie umiejętności znajdowania dróg w labiryncie. Wywnioskował więc, zupełnie błędnie, że liczy się tylko ilość tkanki mózgowej, a nie to, gdzie się ona znajduje i w czym specjalizuje. Ba, sądził, że nie ma mowy o żadnego rodzaju specjalizacji. Jego stanowisko określa się mianem hipotezy „ekwipotencjalności" – zgodnie z nią wszystkie obszary kory mózgowej mogą realizować dowolne funkcje.

Podejścia Lashleya nie podważyły nawet kolejne odkrycia dokonane po II wojnie światowej, w wyniku której znowu w ręce neurobiologów trafiły kolejne tysiące żołnierzy z postrzałami głowy. Okazywało się jednak, że uszkodzenia potrafią się cofać. Dzięki trwającej ponad ćwierć wieku rehabilitacji u wybitnego radzieckiego neuropsychologa, Aleksandra Łurii (1902–1977), postrzelony w 1943 r. w głowę lejtnant Zasiecki z wolna przezwyciężał utratę pamięci i innych umiejętności, w tym umiejętności pisania i wypowiadania się. Łuria dokonał wyboru z ponad 3 tysięcy stron pisanego automatycznie pamiętnika Zasieckiego i opublikował w postaci krótkiej, wstrząsającej książeczki „Świat utracony, świat odzyskany". Jest ona zarazem świadectwem plastyczności ludzkiego mózgu.

Łuria jednak nie uważał, by mózg miał charakter zupełnie niezróżnicowany, jak chciałby Lashley. Lashley po prostu nie wiedział, jak dobrze przeprowadzić eksperymenty, gdyż nie znał się na anatomii mózgu. Łuria zaś uważał, że złożone procesy psychiczne nie mają postaci prostej pary bodziec–reakcja, przebiegającej w prostym mechanizmie, który odkrył już Kartezjusz, a mianowicie w łuku odruchowym. Przeciwnie, są to złożone układy funkcjonalne, dzięki którym może następować częściowa kompensacja przy zaburzeniach funkcjonowania mózgu. Bronił takiej koncepcji funkcjonowania mózgu już w latach 60. XX w., lecz poza ogniskowymi uszkodzeniami mózgu trudno było wskazać empiryczne dowody na jej słuszność.

Od obrazowania do modułów

Wróćmy do kwestii pomiaru. Dopiero mogąc przeprowadzić odpowiednie pomiary czynności żywego mózgu, można potwierdzać hipotezę, że dany jego ośrodek odpowiada za jakieś procesy psychiczne. Można oczywiście wprowadzać do mózgu elektrody, aby rejestrować impulsy nerwowe. To świetnie sprawdza się przy zwierzętach. Lashley nie stosował elektrod, a gdyby to czynił – i czynił z głową – mógłby przekonać się o istnieniu map poznawczych zlokalizowanych w hipokampie. Za odkrycie lokalizacji tych map głównie tymi metodami w 2014 r. Nagrodę Nobla otrzymali John O'Keefe oraz May-Britt i Edvard Moserowie (a badania te prowadzono już od lat 70. – komisja noblowska jest nierychliwa).

> Ośrodki mózgu powstają **na drodze ewolucyjnego recyklingu**: istniejąca struktura funkcjonalna przejmuje z czasem nowe role.

Sęk w tym, że tego rodzaju eksperymenty z elektrodami w mózgach nie wydają się szczególnie bezpieczne dla ludzi, więc stosuje się je (przede wszystkim w celach diagnostycznych) głównie u osób chorych, które zwykle, podobnie jak żołnierze, mają wiele różnych uszkodzeń jednocześnie.

W połowie XX w. do tego arsenału metod pomiarowych doliczyć należało jeszcze elektroencefalografię (EEG), czyli bezinwazyjny pomiar aktywności elektrycznej na skórze głowy, oraz pneumoencefalografię, która polegała na zastąpieniu części płynu mózgowo-rdzeniowego tlenem. Niestety, ta ostatnia była niesłychanie bolesna dla pacjentów i wiązała się z ryzykiem powikłań. Dopiero w latach 80. całkowicie ją zarzucono dzięki pojawieniu się innych metod pomiaru opartych na tomografii i rezonansie magnetycznym. Te metody, zwłaszcza fMRI, czyli funkcjonalny rezonans magnetyczny, bezpieczny i bezinwazyjny, a także coraz dokładniejszy, okazały się rewolucją.

I to właśnie rewolucyjne wykorzystanie metod obrazowania, mimo że mniej precyzyjne od wprowadzania elektrod bezpośrednio do mózgu, doprowadziło do renesansu wąskiej hipotezy o lokalizacji zdolności umysłowych. W 1983 r. filozof Jerry Fodor opublikował prowokacyjną książeczkę z frenologicznym obrazkiem na okładce. Bronił w niej koncepcji, że władze psychiczne Franza Galla to wcale niegłupi pomysł. Wręcz przeciwnie, istnieją w mózgu ośrodki działające zwykle automatycznie i obligatoryjnie, zlokalizowane w określonych miejscach, izolowane od reszty systemu i wrodzone. Te ośrodki to moduły – jednostki funkcjonalne wyspecjalizowane w przetwarzaniu określonego rodzaju informacji. I tak na przykład moduły odpowiadają za to, że nie jesteśmy w stanie zobaczyć, iż w kinie na ekranie wyświetla się pokaz slajdów, gdyż moduł automatycznie analizuje informacje wzrokowe, doprowadzając do powstania złudzenia ruchu. Zdaniem Fodora moduł odpowiada też za rozumienie i wypowiadanie mowy. Żeby się o tym przekonać, wystarczy posłuchać dźwięków mowy – albo nawet dowolnego nagrania z ludzką mową. Nawet jeśli nie znamy języka, w którym ktoś mówi, automatycznie wiemy, że to dźwięki mowy artykułowanej.

Taka wizja mózgu doskonale pasowałaby do odkryć Broki i Wernickego. Dwa osobne moduły, jeden odpowiedzialny za rozumienie, drugi za produkcję języka. Co więcej, jeśli rację ma Noam Chomsky, to językowe zdolności są uniwersalne dla człowieka, a predyspozycje do opanowywania gramatyki – wrodzone. Jeśli rozumiemy język jako strukturę, do przetwarzania której przystosowane są wyspecjalizowane mechanizmy, to mogłyby nimi być właśnie moduły. Rzecz jednak okazuje się nieco bardziej skomplikowana i po myśli raczej Łurii niż frenologów czy Fodora.

Rozpad wizji modularnej

Oto w 2007 r. opublikowano wyniki badań mózgów pacjentów Broki wykonane na zachowanych czaszkach za pomocą rezonansu magnetycznego. Okazało się, że uszkodzenia były znacznie bardziej rozległe i w obu przypadkach obejmowały też pęczek podłużny górny, łączący przednie i tylne ośrodki języka. Wcześniejsze badania zaś wskazywały, że uszkodzenia samego ośrodka Broki nie prowadzą do trwałej afazji. To podważa nieco hipotezę modularności.

Co gorsza, jak się okazuje, wśród neurobiologów wcale nie ma zgody co do samej lokalizacji obu ośrodków w mózgu, zwłaszcza ośrodka Wernickego. Wynika to stąd, że co najmniej od lat 70. XX w. po-

wszechnie definiuje się lokalizację tego ośrodka przez jego funkcję – to jego uszkodzenie ma odpowiadać za zaburzenie rozumienia mowy. Stąd też bywa przenoszony w różne obszary mózgu.

Nasza znajomość anatomii mózgu znacznie się pogłębiła od XIX w. i wiadomo już, że oba ośrodki, Broki i Wernickego, nie są jednorodne pod względem struktur komórek ani włókien nerwowych wychodzących od sąsiadujących obszarów. Nie mają też bynajmniej jednorodnej funkcji, gdyż przetwarzanie języka zależy od działania bardzo wielu innych obszarów mózgu: do trwałej afazji prowadzą chociażby uszkodzenia półkuli dominującej w okolicy szczeliny Sylwiusza, leżącej między nimi, czego model Wernickego nie uwzględnia. Ten model, nieco zaktualizowany przez Normana Geschwinda w 1972 r., opisuje tylko dwa ośrodki języka, pomija istnienie struktur podkorowych (choć Wernicke o nich pisał), a wreszcie zupełnie nie uwzględnia roli istoty białej, czyli połączeń między neuronami. Klasyczny obraz opisuje wyłącznie struktury w istocie szarej mózgu.

Dzisiejsze hipotezy na temat funkcjonowania mózgu zmierzają raczej do wniosków bliższych temu, o czym pisał już Łuria. Coraz bardziej wpływowa jest koncepcja Michaela Andersona, który twierdzi, że ośrodki mózgu powstają na drodze „ewolucyjnego recyklingu": istniejąca struktura funkcjonalna przejmuje z czasem nowe role, a organizacja mózgu nie daje się tak łatwo poszatkować na osobne i niezależne moduły. Anderson zatytułował swoją książkę z 2014 r. „After Phrenology", czyli „Po frenologii" – co dobrze oddaje ducha dzisiejszej neuronauki.

Wśród neurobiologów nie ma zgody co do samej lokalizacji w mózgu ośrodków Broki i Wernickego, które miałyby odpowiadać za język.

Praca Andersona przedstawia wyraźnie niemodularną wizję mózgu – ośrodków organizujących się w funkcjonalne koalicje, a nie trwających w izolacji od siebie. Jego zdaniem procesy komunikacyjne są pewnego rodzaju działaniami społecznymi. Rzeczywiście, niezależnie od trudności w ścisłej lokalizacji ośrodka Broki, pojawiają się hipotezy, że pierwotnie przystosowany był on do koordynacji działań, a dopiero potem w biegu ewolucji przejął funkcję zawiadywania komunikacją.

Żywe pismo czy wrodzone formy

Choć nie ulega wątpliwości, że ogniskowe uszkodzenia mózgu mogą zaburzać funkcje językowe, modularna wizja staje się coraz mniej wiarygodna. Mózg jest organem cechującym się nieustanną aktywnością, także we śnie, a jego funkcją jest nie tylko myślenie, ale też działanie. Zaburzenia mózgu uświadomiły nam, że rozumienie języka to wyraźnie inny proces niż wypowiadanie się w nim. A badania nad zaburzeniami czytania – z powodu których nawet najbardziej inteligentne dzieci mogą okazać się dyslektykami i mieć ogromne trudności z automatycznym składaniem liter alfabetu w słowa – pokazują, że mowa i pismo wymagają współpracy rozmaitych ośrodków mózgowych.

W przypadku neurobiologii języka nierozstrzygnięty pozostaje jednak spór, czym jest on sam. Wiadomo, że inne zwierzęta nie mają tak złożonego systemu komunikacji: nie umieją opanować chociażby zdolności wypowiadania zdań o złożonej strukturze. Niektóre umieją jednak łączyć symbole i komunikować swoje potrzeby. Można jednak spierać się o to, czy język naturalny – taki jak polski czy francuski – jest jednolitym systemem, którego gramatykę dałoby się opisać w spójny sposób. A od tego rozstrzygnięcia zależeć będzie też to, jak postrzegać będziemy przetwarzanie języka: czy są to nieco krótkotrwałe koalicje ośrodków koordynujących społeczną komunikację, czy też raczej stosunkowo stabilne mechanizmy analizujące i generujące złożone reprezentacje symboliczne? Neurobiologia mózgu nie odpowiada na te pytania, ale ani psychologia, ani lingwistyka same ich też nie rozstrzygną.

Wiadomo jednak, że ludzki język nie może zostać sprowadzony do zdolności samego tylko mózgu – bez istnienia stabilnych praktyk kulturowych, dzięki którym się go uczymy, a więc bez innych ludzi, języka nie opanujemy.

Jest on czymś, co łączy nas z innymi, umożliwia ścisłe rozumowanie i myślenie, ale nie znajduje się w takim czy innym miejscu w czaszce – mimo że bez mózgu nikt jeszcze nie mówił rozumnie.

© MARCIN MIŁKOWSKI

Autor jest filozofem, kognitywistą i tłumaczem. Profesor nadzwyczajny w Zakładzie Logiki i Kognitywistyki w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN.

REKLAMA

KULTURA

TERYTORIUM WAJDA

Na wystawie w Muzeum Narodowym w Krakowie są pamiątki, dokumenty pracy, egzemplarze scenariuszy, ale to nie one decydują o tym, czym jest jej zwiedzanie. Chodzi o to, by nie tylko poznać, ale i doznać tego, co wystawiane.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Monumentalny Gmach Główny Muzeum Narodowego w Krakowie już samym wyglądem wywołuje skojarzenia z grobowcem. Dzięki nowej wystawie zostają one przekreślone. Muzeum stało się przestrzenią ożywienia.

Otwarta dwa tygodnie przed Wielkanocą wystawa „Wajda" opisywana jest jako „narracyjna". Często używany dzisiaj przymiotnik oznacza, że w centrum zainteresowania są nie tyle eksponaty i artefakty, ile skomponowana przy ich użyciu opowieść będąca interpretacją głównego tematu. Określenie modne, ale zarazem mylące: narracja wiąże się z opowieścią i jej czytaniem lub słuchaniem, a wystawa wymaga aktywności całego ciała, nie tylko wzroku i słuchu. Trzeba dosłownie wejść w specjalnie zaaranżowaną przestrzeń, przebyć ją. Wystawy „narracyjne" zazwyczaj posługują się wieloma współczesnymi technologiami i technikami wystawienniczymi, by zanurzyć zwiedzającego w wykreowanym świecie. Chodzi o to, by nie tylko poznać, ale i doznać tego, co wystawiane. Wystawa ma się stać doświadczeniem.

Taki charakter ma też „Wajda". Oczywiście są tu pamiątki, dokumenty pracy, egzemplarze scenariuszy, projekty, kostiumy i inne tradycyjnie muzealne eksponaty, ale to nie one tworzą rdzeń ekspozycji, a już z pewnością nie decydują o tym, czym jest jej zwiedzanie, czy raczej – przejście rozumiane w całej dwuznaczności tego słowa. Spis zgromadzonych obiektów, lista tytułów wyświetlanych filmów, zawartość esejów filmowych i prezentacji multimedialnych do samodzielnego oglądania byłaby długa i z pewnością można wyobrazić sobie zwiedzającego, który po wielu godzinach spędzonych na wystawie wynosi z niej ogromną wiedzę encyklopedyczną i interpretacyjną. Ale nie on jest założonym widzem. Wydaje się nim raczej ktoś dla dzisiejszego życia kulturalnego dość typowy: mniej lub bardziej zaciekawiony człowiek mający w kieszeni dostęp do rozległego archiwum kultury i historii, który przyszedł do muzeum między wieloma innymi doświadczeniami, jakie spotkają go tego dnia. To jego wystawa chce zagarnąć, zaczadzić, zawajdzić.

Voi ch'entrate

Przestrzeń krakowskiej wystawy to ciąg sal i korytarzy, które tworzą jakby tajemny dom, jakąś Villa dei Misteri z przestronną wielokątną komnatą w centrum. Wiem to jednak dopiero po przejściu trasy wytyczonej i przygotowanej przez kuratora Rafała Syskę i projektanta Tomasza Wójcika. Początkowe doświadczenie to przechodzenie przez kolejne przestrzenie o własnej, mocno zagęszczonej atmosferze i układzie, który nie zdradza, co nas czeka. Każdy kolejny etap drogi to rodzaj odrębnego środowiska, wchodzi się w nie jak do nieznanego, zapełnionego nie wiadomo czym pokoju. Choć ciało zachowuje się spokojnie (w końcu jesteśmy w muzeum), to wyostrzone zmysły pracują bardzo intensywnie, starając się jak najszybciej zorientować, co jest wokół, rozpoznać, z czym mam do czynienia.

Początek jest dość tradycyjny: pokój zatytułowany „Dom" wypełniają pamiątki osobiste opatrzone solennymi komen-

JOANNA HELANDER / ZE ZBIORÓW OŚRODKA KARTA / MNK

Andrzej Wajda, Kraków, wiosna 1976 r.

tarzami. Dopiero obraz Andrzeja Wróblewskiego z cyklu „Rozstrzelań" wprowadza niepokój zbliżania się do czegoś, co żadnych komentarzy nie potrzebuje: tuż obok, za ażurową zasłoną lśni bezlitosnym pięknem „Lotna". W małej sali wręcz przytłaczają trzy ustawione obok siebie wielkie ekrany: barwne pobojowisko w centrum, legendarny atak kawalerii na czołgi z prawej i niemal czarno-biały Adam Pawlikowski osłaniający zabitego konia i łamiący szablę po lewej.

„Lotna" jako fabuła ulotniła się niemal zupełnie z mojej pamięci, choć nawet opowiadanie Wojciecha Żukrowskiego kiedyś czytałem. Ale te kadry wracają i uderzają nagle z zaskakującą mocą, która nie opowiada o Wajdzie-reżyserze, ale pozwala doznać czegoś o wiele ważniejszego, co zadecydowało o jego znaczeniu w polskiej kulturze: mocy obrazów zaklinających i zarazem kształtujących zbiorową pamięć i wspólnotowe doświadczenie.

Wraz z „Lotną" wkraczamy w „Piekło" – niezwykle silnie działającą część wystawy. Przejście przez „Piekło" zadecydowało dla mnie o sposobie, w jaki odebrałem całość. Nie wiem i nie potrafię powiedzieć, co zrobiły te wiodące w głąb wszechkloaki przestrzenie z mijającymi mnie ludźmi, w większości (cóż zrobić...) młodszymi ode mnie. Ale ja doświadczyłem jakby anamnezy. Wojenna rzeź nie była oczywiście moim doświadczeniem. Należę jednak do pokolenia wychowanego w cieniu okupacji, którą opisywano i pokazywano jako totalną klęskę człowieczeństwa i jego wytworów. Nawet propagandowi „Czterej pancerni" nie tworzyli tak dziś wszechobecnego mitu wojny jako wielkiej ofiary dla ubóstwionych idei. Byliśmy wychowywani antywojennie, bo wojna to był obóz, kanał i Maciek Chełmicki umierający na śmietniku.

Do „Piekła" polskiej klęski i rozpadu człowieczeństwa wchodzimy historycznie, choć niechronologicznie. Sala „Lotnej" to zaledwie przedsionek, zaraz za nim ↦

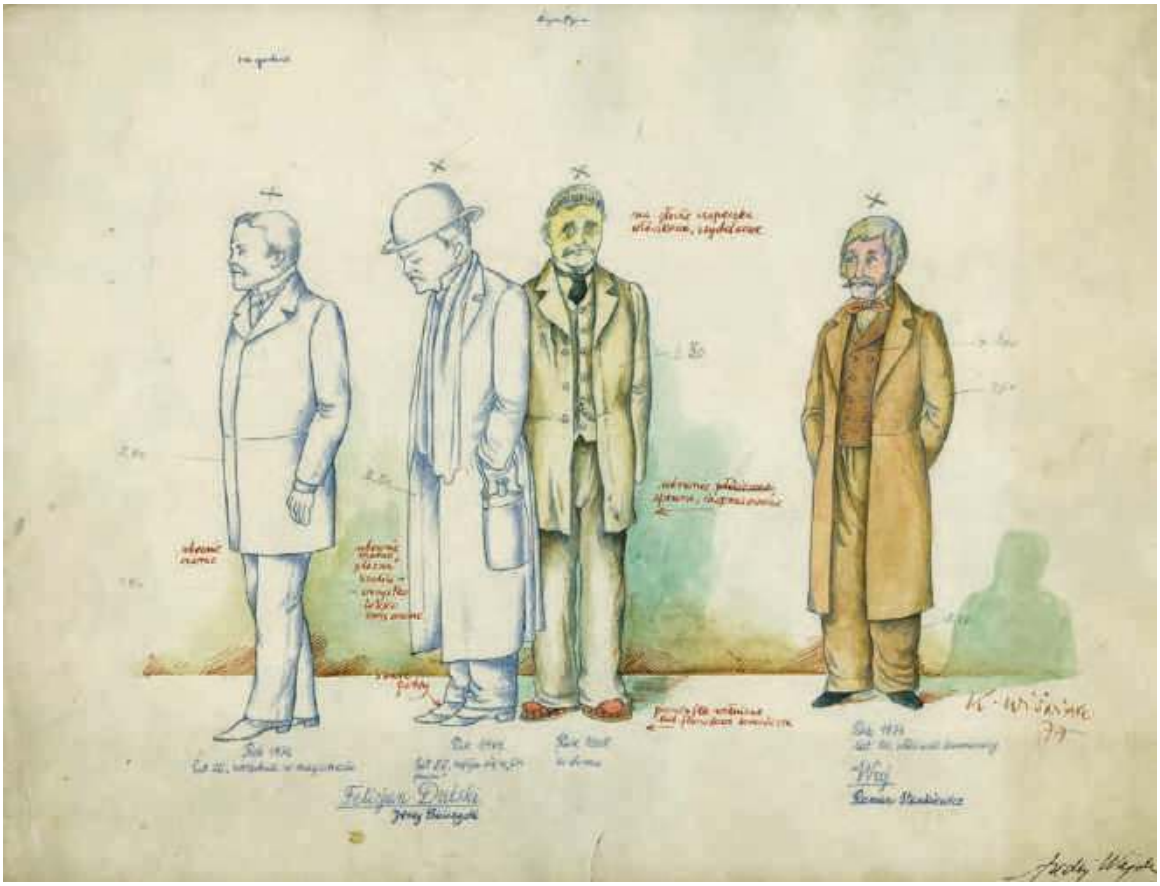

ZE ZBIORÓW STAREGO TEATRU W KRAKOWIE / MNK

Kazimierz Wiśniak, Projekt scenografii do „Z biegiem lat, z biegiem dni" Andrzeja Wajdy, ze zbiorów Starego Teatru w Krakowie

↦ otwiera się katyński dół, a po nim to, co najtrudniejsze i wciąż nieprzepracowane: Zagłada. Niemal zaskakuje mnie, jak często podejmował Wajda temat polskiej odpowiedzialności za nią w swych późnych filmach. Pamiętam, jakie dyskusje wywołał „Korczak", który powstał pięć lat po głośnym „Shoah" Claude'a Lanzmanna i był odbierany jako rodzaj polskiej polemiki obronnej. Potem ani „Wielki Tydzień", ani „Wyrok na Franciszka Kłosa", przypomniane w tej części wystawy, nie wywołały już takich dyskusji – przeszły prawie bez echa. Może dlatego tak mocno uderza mnie fragment tego pierwszego filmu, na którym Artur Barciś z twarzą przekonanego o swej racji inteligenta wypowiada swoje zadowolenie, że Niemcy wykonali to, co Polacy i tak musieliby zrobić, bo prawdziwa Polska to Polska bez Żydów. Posłuchajcie, bracia miła...

W pierwszej chwili to, że „Piekło" otwarte zostaje „Katyniem", trochę mnie zmroziło, bo pojawiła się obawa, że mityczny mord na polskich ofiarach zepchnie na drugi plan doświadczenie „Kanału". Nic takiego się nie dzieje, przeciwnie – „Katyń" to tylko pierwszy krąg, za którym otwiera się porażająca w swojej wspaniałości sala „Kanału". Na wielkich, nałożonych na siebie z precyzją i wyczuciem projekcjach dwie legendarne sceny: cytat z Dantego wygłaszany do obrazu kłębiących się ku wyjściu ludzi oraz marzenie o wolności pod śmiertelną kratą.

Egzystencjalna i poetycka siła tych obrazów jest tak wielka, że wyświetlany obok komentarz reżysera, który tłumaczy, że „Kanał" powstał jako reakcja na historyczne kłamstwa o powstaniu warszawskim, odbieram wręcz jako zgrzyt. To tłumaczenie, choć pewnie prawdziwe, jest płaskie jak dzisiejsza polityka historyczna, która właśnie o mocy obrazów „Kanału", „Popiołu i diamentu" czy „Krajobrazu po bitwie" stara się zapomnieć, wypierając tamto doświadczenie rozpadu świata wartości, wielkich słów i idei. A przecież tamten rozpad wiązał się nie tyle z łatwym w końcu do oswojenia doświadczeniem zewnętrznego zła nazizmu i stalinizmu, ile z poczuciem bezbronnej kruchości tego, co kochamy i budujemy dzień po dniu jako wiecznotrwały dom.

Ta kruchość obnażona przez wojnę wywoływała gniew i rozpacz, których pełne są wczesne filmy Wajdy, łącznie z propagandowym koniec końców „Pokoleniem". Ale bez jej rozpoznania, bez pamięci o niej groźba faszystowskiej iluzji oddającej całą władzę w ręce większości, usprawiedliwianej w swym braku solidarności z najbardziej kruchymi, staje się znów realna.

Bruk i glamour

Po mocnym doświadczeniu pierwszych sal wejście do komnaty centralnej jest niemal rozczarowaniem. Wydawałoby się, że z „Piekła" powinniśmy wejść w przestrzeń szczególnie znaczącą, zwłaszcza jeśli tworzy ją sala największa, z której można dotrzeć do wszystkich części wystawy.

Owszem: kształt i barwy zaaranżowanej przestrzeni koją po piekielnych ciemnościach, a umiejscowienie w centrum tematu „Inscenizacja" ma swój sens (ostatecznie wszystko, co wokół, powstało dzięki niej). Mnie jednak, szczerze mówiąc, mało obchodzi, jak Wajda robił swoje filmy. Filmy jako produkcje, a może filmy jako takie w ogóle wydają mi się mało ważne wobec tego, co na tej wystawie najciekawsze – pracy szczególnych fragmentów, sekwencji, które wydają się niemal autonomicznymi esencjami doświadczenia zbiorowego nie tylko w tym znaczeniu, że je syntetyzują, ale też

w tym, że je kształtują. Wiadomo, że ich moc jest efektem zespołowego wysiłku, wieloetapowej pracy, złożonych kontekstów i oczywiście wszystkich nieobecnych tu scen, które je poprzedzały lub następowały później. Jednak sedno i sens wystawy tkwią nie w tajnikach i śladach produkcji, ale w odkrywanej dzięki ekspozycji szczególnej potędze kilku minut łączących zmontowane obrazy ludzkich działań i słów.

Odczuwam ją znów z całą mocą w umieszczonej za główną przestrzenią sali „Rewolucji". Już samo zestawienie ma niezwykłą trafność skrótu, który jest jak sztych: na jednym końcu „Ziemia obiecana" z wyświetlaną na wielkim ekranie sceną finałową, w centrum „Człowiek z marmuru" i „Człowiek z żelaza", a na drugim końcu pracująca nieustannie gilotyna z „Dantona". Przypominam sobie, z jakimi emocjami oglądałem po raz pierwszy te filmy, gdy dyrektor mojego liceum (przekonany marksista) organizował w stanie wojennym specjalne seanse dla uczniów. Odruchowo zaciskam pięść i czekam na kamień i czerwoną chustkę na skrwawionym bruku.

Pamięć licealnych seansów nie gaśnie, bo w kolejnej sali na ekranie „Popioły", które oglądaliśmy w pierwszej klasie, kompletnie nieprzygotowani, po kilku godzinach lekcji. Pamiętam, jaki byłem głodny, gdy wróciłem do domu. I pamiętam, jakie miałem mdłości na wspomnienie kolejnych scen tego porażającego, a dziś chyba zapomnianego arcydzieła.

Zdziwiło mnie jednak, że „Popioły" wyświetlane są w sali o nazwie „Mit", razem z „Weselem", „Zemstą" i... „Panem Tadeuszem". Jakoś za łatwo i za szybko sklejają się tu obrazy nieprzystające do siebie. Przecież „Popioły" i „Wesele" to ciąg dalszy pracy z doświadczeniem „Kanału" i „Krajobrazu po bitwie", która wcale nie polega na tworzeniu mitu. Dokładnie odwrotnie – jest raczej jego rozbijaniem, walką z jego kojącymi fałszami. To właśnie w tych filmach Wajda razem z Munkiem, Hasem i Kawalerowiczem prowadził wielką dyskusję z narodowym romantyzmem, odsłaniając i jego ciemne strony, i transowo obezwładniającą moc. Tworzeniem mitów i pocieszeń zajął się dopiero później, gdy sam stał się klasykiem, a otoczenie przestało mu stawiać opór.

Przyszło mi do głowy, że paradoksalnie ciekawsze w perspektywie pewnego procesu historycznej ewolucji obrazów byłoby skomponowanie tej wystawy chronologicznie i umieszczenie „Popiołów" między „Kanałem" a „Krajobrazem po bitwie", oraz zestawienie „Pana Tadeusza" z „Katyniem". Wtedy można byłoby postawić ważne pytanie: skąd potrzeba pocieszającego mitu i czy osunięcie się weń po zderzeniu z zamykającą świat kratą jest nieuchronne? Jak i dlaczego polonez z „Popiołu i diamentu" przemienił się w polonez z „Pana Tadeusza"?

> Przestrzeń wystawy to **ciąg sal i korytarzy, które tworzą tajemny dom,** jakąś Villa dei Misteri z przestronną wielokątną komnatą w centrum.

Ostatnie sale chwilami sprawiają wrażenie czegoś zbudowanego trochę przypadkowo z tego, co jeszcze zostało i o czym wypada opowiedzieć. Przechodząc przez salę nazwaną „Intymność" ze zdziwieniem widzę sceny z „Dyrygenta" i „Bez znieczulenia" (?!), i zastanawiam się, czy na pewno trzeba opowiadać o wszystkim, skoro i tak wszystkiego opowiedzieć się nie da? Czy wobec „Piekła" i „Rewolucji" pokój „Wajdy światowego" ma w ogóle sens? To przecież zupełnie inna kategoria, inny porządek, zakłócający wręcz kompozycję całości, a na dodatek unieważniający wspaniałą „Smugę cienia", która pojawia się niemal wyłącznie jako dowód, że Wajda robił filmy za granicą. No, robił, ale one były jednak o czymś, prawda?

Chyba że „światowość" była konieczna jako wstęp do „Nieśmiertelności", której potwierdzenie ostateczne mają stanowić zgromadzone w ostatniej sali nagrody na czele z Oscarem. Podejrzewam, że to może być dla wielu przeżycie – zobaczyć Oscara na własne oczy. Ale mnie ten Oscar jakoś żenuje i smuci, jak smucił mnie sztucznie radosny uśmiech Wajdy, gdy opromieniony glamourem całował w policzki Jane Fondę. To tam się dochodzi z kanałów Warszawy i z bruków Łodzi? Tylko takie jest dostępne nam „aż"?

Mam ochotę wrócić do sali „Kanału", ale cofam się tylko kilka kroków do pokoju, w którym wyświetlane są sceny z „Brzeziny" i „Panien z Wilka". Nawet w ich pięknie nie znajduję jednak wyjaśnienia. Co z tego, że Olgierd Łukaszewicz promienieje wśród brzóz, a Jarosław Iwaszkiewicz patrzy olimpijsko spokojny o swoją nieśmiertelność na Daniela Olbrychskiego? Wajdowska inscenizacja usiłująca przeciwstawić się śmierci jakby traci tu moc, nieświadomie i bezwolnie odsłania swoje triki. Radosny Łukaszewicz płynie wśród brzóz, a ja nieuchronnie wizualizuję sobie filmowy wózek, na którym ktoś go ciągnie. Zaczynam się zastanawiać, gdzie u Wajdy metafizyka, i mam ochotę przejść wystawowe terytorium jeszcze raz...

Pasaż

Wzbudzenie takiego pragnienia to jeden z mierników sukcesu twórców krakowskiej ekspozycji. Rzadko mi się zdarza, żebym chciał wrócić na wystawę (nie do konkretnego dzieła – to zupełnie co innego), a „Wajdę" chciałem niemal natychmiast obejrzeć po raz kolejny. Oczywiście musiałem biec dalej, więc tylko solennie obiecałem sobie powrót i wyszedłem na słoneczny plac przed muzeum. Może zresztą takie doznawanie wystawy, jakiego właśnie doświadczyłem – raczej wrażeniowe, afektywne i przedstawieniowe – jest najczęstsze i najważniejsze z perspektywy jej skuteczności.

Niewielu może zapamięta, czym różnili się Józef Tejchma i Janusz Wilhelmi (choć chwała kuratorom, że oddali Tejchmie sprawiedliwość), ale własne odbicie w lustrze w otoczeniu obrazów z „Kanału" ma szansę zapaść w pamięć i pozostać w niej, jak w mojej zostały kamień i skrwawiona chustka.

Wielu osobom może na tej wystawie brakować wielu rzeczy. Mnie najbardziej rozczarowała rachityczna reprezentacja teatru Wajdy, umieszczonego w bocznym pokoiku, wypchniętego poza nawias, jakby bez świadomości, że to właśnie pewna teatralność wytworzyła moc obrazów filmowych. Nie mam jednak wątpliwości, że twórcom udało się najważniejsze i najtrudniejsze – przywrócenie dziełu Andrzeja Wajdy życia poprzez umożliwienie doznania siły jego oddziaływania. Muzeum, które od lat kojarzy się z hołdem pośmiertnym, stało się miejscem reinkarnacji.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

WAJDA, *kurator: Rafał Syska, Muzeum Narodowe w Krakowie, wystawa czynna do 8 września.*

Sztuka w ciekawych czasach

TEKST I ZDJĘCIA:
PIOTR KOSIEWSKI Z WENECJI

Twórcy 58. Międzynarodowego Biennale Sztuki w Wenecji przekonują, że sztuka wprawdzie nie zmieni świata, ale może nam pomóc lepiej zrozumieć czasy, w których żyjemy.

Cathy Wilkes, 2019, pawilon brytyjski

W 1936 r. sir Austen Chamberlain przywołał chińską klątwę: „Obyś żył w ciekawych czasach". „Nie ma wątpliwości – podkreślał – że nas dosięgła. Przechodzimy od jednego kryzysu do następnego". I chociaż mylne okazało się przekonanie o starożytnym chińskim pochodzeniu tego przekleństwa, słowa brytyjskiego polityka dobrze opisywały czasy, w których przyszło mu żyć.

Do słów Chamberlaina nawiązał Ralph Rugoff, dyrektor cenionej londyńskiej Hayward Gallery i kurator tegorocznej edycji Biennale. Bo dziś żyjemy w czasach – używając tytułu książki francuskiego politologa Pierre'a Hassnera – końca pewników: rozpadu powojennego ładu, kryzysu państwa demokratycznego i zachodniego modelu państwa opiekuńczego, konfliktów zbrojnych i terroryzmu, sporów tożsamościowych i wojen kulturowych. Rugoff nie ma złudzeń. Sztuka nie powstrzyma „wzrostu nastrojów nacjonalistycznych i autorytarnych tendencji w różnych częściach świata" ani nie poprawi losu uchodźców. Może jednak udzielić wskazówek, jak dzisiaj żyć i myśleć.

Prawda do odkrycia

„Obyś żył w ciekawych czasach" stało się hasłem tegorocznego Biennale. Jemu też podporządkowano główną wystawę, tradycyjnie już zorganizowaną w dawnym Arsenale oraz na terenach Giardini. Rugoff szukał artystów, którzy mogą pomóc w rozpoznaniu rzeczywistości, przybliżyć do prawdy, co nie jest łatwe w dobie fake newsów i „alternatywnych faktów". Jak celnie zauważyła niemiecka artystka Hito Steyerl, dziś jedna z najbardziej wpływowych postaci w świecie sztuki, „prawda to rzecz o nieuporządkowanych i pokręconych szczegółach, wymaga szczególnego skupienia, a i tak zawsze trochę brakuje jej spójności. Zwykle jest zbyt skomplikowana, żeby się przy niej dobrze bawić... Może więc wcale nie uczynić spraw prostszymi i bardziej praktycznymi". Więcej: „często dzieje się na odwrót".

Ralph Rugoff przekonuje, że chociaż sztuka nie zmienia rzeczywistości, może nam umożliwić odkrywanie rzeczy dotąd skrywanych, niedostrzeganych, niedostępnych. Równocześnie ma moc ukrywania, mylenia, wodzenia na manowce. Dobitnie, chociaż może zbyt dosłownie pokazała to włoska artystka Lara Favaretto, za której sprawą budynek głównej wystawy w Giardini okrywała chwilami gęsta mgła. Widzowie szli po omacku, nie wiedząc, co ich za chwilę spotka. Kurator znacząco ograniczył liczbę prezentowanych twórców. Na wystawie głównej poprzedniego Biennale pokazano 120 artystów lub kolektywów, w tym roku zaledwie 79. Chodziło o to, by można było lepiej poznać ich twórczość – to się udało. Drugi istotny wybór dotyczył wieku: ponad 35 proc. uczestników urodziło się w latach 80. ubiegłego stulecia. Można więc zobaczyć sztukę aktualnie tworzoną. I wystawa ta wywołuje bardzo sprzeczne uczucia.

Twórczość w nieustannych odsłonach

Od kuratorów wielkich wystaw często oczekuje się, by były one spektakularne, przyciągały uwagę. A weneckie Biennale jest najbardziej prestiżową z wielkich imprez, z ogromną publicznością – poprzednią edycję obejrzało 615 tys. osób. Chociaż w tym roku dominują twórcy średniego i młodego pokolenia, większość z nich jest dobrze znana i ceniona, jak Lawrence Abu Hamdan, właśnie nominowany do Nagrody Turnera. Próżno tu szukać odkryć, artystów przeoczonych czy jeszcze niedostrzeżonych.

Paradoks drugi: mimo ograniczenia liczby uczestników poszczególne prace niejednokrotnie konkurowały ze sobą o uwagę oglądających. Miało się poczucie przesytu, chwilami nawet chaosu. Rugoff odzwierciedlił – nie wiem, czy do końca świadomie – rzeczywistość współczesnego świata z nadmiarem obrazów wytwarzanych przez media. Z nieustannymi wizualnymi impulsami, z którymi musimy się konfrontować.

Problem nadmiaru obrazów udało się uchwycić Christianowi Marclayowi. Jego wideo „48 War Movies", jedna z prac otwierających odsłonę głównej wystawy w Arsenale, wykorzystuje filmy wojenne nałożone na siebie – widoczne są tylko fragmenty kadrów. Całość przypomina dziecięcy kalejdoskop, z trudem się domyślamy, z którego filmu pochodzą poszczególne ujęcia. Świetnym domknięciem

ekspozycji był natomiast film Cypriena Gaillarda, który zmieszał ujęcia z moskiewskiego metra oraz z morskiego „cmentarzyska wagonów" w Nowym Jorku, opanowanego przez podwodną faunę i florę. Świat ludzki miesza się ze światem roślin i zwierząt. Oglądając poszczególne ujęcia nie zawsze wiemy, co w rzeczywistości oglądamy i gdzie jesteśmy.

Obie prace pokazują paradoks dzisiejszych czasów: wizualny świat nas zwodzi, niejednokrotnie oszukuje. Jednocześnie na wystawie znalazło się wielu artystów sięgających po tradycyjne techniki: malarstwo, rysunek, rzeźbę, fotografię. Paradoksalnie to oni często potrafili powiedzieć więcej o współczesności. We współczesnej sztuce wiele jest zresztą powrotów, odwołań do przeszłości, repetycji.

Cypryjka Haris Epaminonda, nagrodzona Srebrnym Lwem dla najlepszego młodego uczestnika wystawy głównej, wraca do ubiegłowiecznej, modernistycznej estetyki. Wykorzystuje istniejące rzeźby, meble, ceramikę czy fotografie. Jej nostalgiczne instalacje przypominają fragmenty dawnych wnętrz, czy może filmowej scenografii. Oglądający wystawę sam musi sobie dopowiedzieć historie, które mogłyby się w tych przestrzeniach rozgrywać.

Odwołanie do określonych estetyk bywa sposobem na opowiadanie o tożsamości. Świetnym przykładem są tu prace Żanny Kadyrowej, która sięga m.in. po płytki ceramiczne, chętnie wykorzystywane w architekturze późnego modernizmu w ZSRR, ale też na Zachodzie. W Wenecji znalazł się m.in. stragan, znany dobrze ze wschodnioeuropejskich bazarów, cały wykonany z ceramiki. Slavs and Tatars – kolektyw artystyczny założony przez Polkę Kasię Korczak i osiadłego w Europie Amerykanina irańskiego pochodzenia Payama Sharifi – tworzy przestrzeń prezentującą niby-regionalne produkty, przyglądając się codzienności przywołuje zapoznane tradycje, jak ogórek trocki, uprawiany przez podwileńskich Karaimów.

Wyraźnie bowiem widać – to kolejny paradoks – że w dobie globalizacji i unifikacji kultury coraz większą rolę odgrywają własne tożsamości, odrębności, różnice. Zwłaszcza tożsamości grup przez stulecia wykluczonych. Silnie obecni na wystawie są twórcy afroamerykańscy, którzy zresztą bardzo różnie o swojej odrębności opowiadają.

Henry Taylor, Elan Supreme, 2016
Poniżej: Slavs and Tatars, Dillio Plaza, 2019

Jest tu urodzony w 1958 r. Henry Taylor, jeden z najciekawszych dziś malarzy, który w swych obrazach pokazuje mieszkańców Kalifornii: zwykłych, przeciętnych ludzi, znajomych i obcych, ale też polityków, sportowców, medialne gwiazdy i postaci historyczne ważne dla afroamerykańskiej społeczności. Dwa lata młodszy od Taylora Arthur Jafa z Los Angeles posługuje się całkiem inną estetyką. Jego wideo „The White Album", za które otrzymał Złotego Lwa, jest niezwykłym kolażem filmów, chwilami zabawnych, innym razem bardzo poważnych, poświęconych problemom rasy, bycia i niebycia białym, a jednocześnie opowiadających o rodzinie i znajomych.

Wśród tej wielości wybitnych i mniej udanych dzieł, efektownych i uwodzących oryginalnymi formami, szczególną uwagę przykuwały prace Teresy Margolles. Są wśród nich wielkie tafle brudnego, zakurzonego szkła, pochodzące z witryn w meksykańskim Ciudad Juárez. Nalepiono na nich zdjęcia osób zaginionych, zazwyczaj młodych. Papier już pożółkł, rogi papieru się postrzępiły – to jedynie ślady po ofiarach. Margolles dobitnie przywołała brutalną rzeczywistość współczesnego Meksyku. Nic dziwnego, że otrzymała jedno ze specjalnych wyróżnień.

Narodowe spojrzenia

Biennale to też prezentacje narodowe – w tym roku było ich aż 90. Formuła narodowej rywalizacji może się wydawać archaiczna, ale okazuje się nadal atrakcyjna. I bywa okazją do przedstawienia bardzo ciekawych wystaw.

Pawilon litewski zaskakiwał. Jego przestrzeń zamieniono w plażę: piasek, leżaki, koce. Grupa plażowiczów w różnym wieku opala się, czyta, rozmawia. Czas płynie leniwie. Podobne sceny można zobaczyć w dowolnym zakątku świata. Jest tylko jedna zasadnicza różnica: plażowicze wykonują operę „Sun&Sea (Marina)" autorstwa Liny Lapelytė, Vaivy Grainytė i Rugilė Barzdžiukaitė. A wsłuchując się w tekst, odkrywamy, że wszystko zapowiada tu kres.

„Płakałam tak bardzo, gdy dowiedziałam się, że koralowce znikną. / I razem z Wielką Rafą Koralową ryby wyginęłyby / Od rekinów do najmniejszego narybku. / Płakałam tak bardzo, kiedy dowiedziałam się, że pszczoły masowo spadają z nieba, / A wraz z nimi umrze całe życie na świecie" – śpiewają siostry bliźniaczki. Jest jednak nadzieja: są przecież drukarki 3D! Można na nowo stworzyć sobie świat. „3D korale nigdy nie znikną! / Zwierzęta 3D nigdy nie tracą rogów! / Żywność 3D nie ma ceny! / Moje 3D żyje wiecznie". Przewrotna opowieść o świecie zmierzającym ku ekologicznej katastrofie podbiła publiczność, a pawilon nagrodzono Złotym Lwem.

Nie mniej zaskakujący był pawilon francuski, w którym Laure Prouvost relacjonuje niebanalną podróż grupki ↦

Lina Lapelytė, Vaiva Grainytė i Rugilė Barzdžiukaitė, Sun and Sea (Marina), 2019, pawilon litewski

↦ ludzi z Paryża do Wenecji – z dystansem i wręcz surrealistycznym humorem, chociaż chwilami trącając o pretensjonalność. Wizualnie za to uwodzi,oszałamia. A przede wszystkim – odzwierciedla estetykę części młodego pokolenia, powrót do porzuconych stylistyk, zaprzeszłej mody, zużytych rzeczy czy fascynację kolażowością i fragmentarycznością obrazu. Artystka zdaje się lepiej wyczuwać przyszłość, którą przyniesie zmiana generacyjna, niż twórcy animacji komputerowych.

Inny, bardzo kameralny okazał się pawilon brytyjski. Cathy Wilkes stworzyła w nim wielowątkową opowieść o tajemniczym świecie, z postaciami dzieci z nabrzmiałymi brzuszkami, z tajemniczą kobietą w zielonej sukni oraz dziwną konstrukcją, ni to stołem, ni to grobowcem pokrytym delikatną tkaniną, na której pozostały suszone kwiaty, liście oraz inne szczątki. Nic tu nie szokowało, nie walczyło o uwagę widza. Dominowała cisza.

„Lot"

W polskim pawilonie znalazła się tylko jedna rzeźba: „Lot" Romana Stańczaka. Stoi w pustej, białej przestrzeni. To prawdziwy, niewielki samolot z lat 90., który wypożyczano na prywatne loty, tyle że całkowicie odmieniony. Stańczak odwrócił go jakby na lewą stronę. Każda jego część zmieniła swoje miejsce – zrolowane skrzydła znalazły się we wnętrzu, siedzenia wylądowały pod kadłubem. Statecznik także został przenicowany, choć pozostał jego dawny kształt. Teraz może się kojarzyć z krzyżem wznoszącym się nad ruiną.

Wszystkie zmiany Stańczak wykonał sam, kawałek po kawałku przekształcając samolot w autorską rzeźbę. Niszczenie stało się tu sposobem tworzenia. Powstała praca, która pozwala na wielość interpretacji. Jedna z nich – zwłaszcza dla polskich odbiorców – wręcz się narzuca. Jednak sam artysta podkreśla: „W moim przypadku Smoleńsk pojawia się raczej jako senna mara". Tym bardziej warto wspomnieć o innych interpretacjach. O nieustannym dążeniu Stańczaka do wydobycia idei rzeczy, dotarcia do tego, co stanowi o ich istocie.

Można też spojrzeć na „Lot" jako na opowieść o transformacji, o głodzie rzeczy, a potem ich nadmiarze. Zniszczenie luksusowego samolotu, a następnie jego wtórne wykorzystanie jest znaczącym gestem, wręcz manifestem. Zwłaszcza w dobie przymusu nieustannego wytwarzania rzeczy nowych, niezbędnego dla sprawnego funkcjonowania gospodarki opartej na konsumpcji.

W 2009 r. Steve McQueen, autor m.in. „Głodu" i „Zniewolonego", pokazał film o życiu Giardini po zakończeniu wystaw: opuszczone budynki, zalegające śmieci, postępująca degradacja. Zamiast artystów – wałęsające się psy i poszukiwacze przygodnego seksu.

Kiedy trwa Biennale, przewijają się tu tłumy, coś nieustannie się dzieje. Tym bardziej zaskakujący był w tym roku widok zamkniętego pawilonu Wenezueli. Jedno z najwybitniejszych dzieł włoskiego architekta Carla Scarpy położone jest tuż obok pawilonów Szwajcarii i Rosji. Nieopodal – Niemcy, Wielka Brytania i Francja. Już ta lokalizacja pokazuje znaczenie, jakie niegdyś miał ten kraj. Zamknięty na cztery spusty gmach (ponoć ma zostać później otwarty) chyba najlepiej mówił o niepewnych czasach, w jakich żyjemy. Był przestrogą: nic nie jest dane na stałe.

© PIOTR KOSIEWSKI
współpraca ROBERT ZAKRZEWSKI

58. MIĘDZYNARODOWE BIENNALE SZTUKI W WENECJI, *wystawy czynne do 24 listopada br.*

Cienka czarna linia

NINO HARATISCHWILI:

Jako dojrzała kobieta i pisarka pisząca po niemiecku mam coraz silniejsze poczucie, jak bardzo jestem gruzińska. Im dłużej mieszkam w Niemczech, tym bardziej to odczuwam. Jestem ze Wschodu.

ANNA DZIEWIT-MELLER: Babcia Kotki, bohaterki twojej nowej powieści „Kotka i Generał", lecąc z Tbilisi do Berlina zastanawia się, czy jest wyraźna granica między Wschodem i Zachodem, a jeśli tak, to gdzie właściwie przebiega. Ty to wiesz?

NINO HARATISCHWILI: Trudne pytanie, a odpowiedź musi być złożona. Jestem przekonana, że istnieje taka granica, choć może niekoniecznie przebiega wzdłuż Odry albo Bugu, albo gór Kaukazu czy Uralu. Ta granica znajduje się przede wszystkim w duchowej naturze człowieka, w czymś, co jest niematerialne. Podróżując samochodem albo pociągiem na wschód, zaczynasz tę zmianę coraz mniej subtelną widzieć, odczuwać ją jak stopniową zmianę temperatury, nic nie dzieje się nagle. Wjeżdżasz we „wschodniość" jak w mgłę.

Kiedy dziś podróżuję między Gruzją a Niemcami, niestety już tylko samolotem i nie mając z Hamburga, w którym od lat mieszkam, bezpośredniego lotu do Tbilisi, to przejście jest nagłe i ogłuszające. Zawsze bowiem przesiadam się na lotnisku w Stambule – i to jest absolutny skok na Wschód. Straszliwe, męczące, głośne, zatłoczone lotnisko Atatürka nie jest łagodnym przejściem. Dla mnie granica między Wschodem a Zachodem jest przede wszystkim emocjonalna i można ją równie dobrze nosić w sobie. Nie umieć być kimś innym niż człowiekiem ze Wschodu.

Kotka, gruzińska emigrantka do Niemiec, bardzo chce, by jej pierwszy niemiecki chłopak Johann nauczył ją prawidłowego bycia Niemką. Marzy, by tę granicę w sobie przekroczyć, ale to okazuje się niemożliwe. Wielu ludzi na Wschodzie chce stać się Zachodem. W Ushguli, małej wiosce na Kaukazie, wciąż słyszałam od mieszkańców: to najwyżej położona wioska w Europie!

No tak. Choć ja bym powiedziała, że Ushguli nie jest nawet specjalnie gruzińskie, a cóż dopiero mówić o jego europejskości. Aczkolwiek faktycznie, przy odrobinie dobrej woli można i tak na to miejsce spojrzeć, geograficznie rzecz ujmując. Ludzie nie są w stanie dobrze określić, czym tak naprawdę jest Gruzja, bo jakkolwiek zwracamy się od dawna ku Zachodowi, nie można zaprzeczyć, że jest to przestrzeń uformowana w dużej mierze przez wpływy i wartości idące ze Wschodu.

Sama emigrowałam na Zachód i choć los Kotki nie jest moim, to dzielimy pewne doświadczenia. Przyjeżdżając jako nastolatka do Niemiec, bardzo chciałam być taka jak oni, a to okazało się po prostu niemożliwe. Dziś jako dojrzała kobieta i pisarka pisząca po niemiecku mam jednak coraz silniejsze poczucie, jak bardzo gruzińska jestem, jak bardzo nie jestem niemiecka. Im dłużej mieszkam w Niemczech, tym bardziej to odczuwam. Jestem ze Wschodu.

Moi przyjaciele w Tbilisi mówiąc o przyszłości i o tym, co dzieje się teraz, zawsze zwracają się do mnie po angielsku. Kiedy jednak przyjdzie im wspominać przeszłość – niemal odruchowo przechodzą na rosyjski.

To bardzo ciekawe! Nie miałam szansy tego doświadczyć, bo rozmawiam po prostu po gruzińsku, ale prawdą jest, że wielu ludzi mocno zanurzonych w przeszłości używa uparcie i automatycznie rosyjskiego. To, co robią twoi przyjaciele, zdaje się być zrozumiałe – Rosja i Związek Radziecki stanowią ogromną część naszej historii, nawet jeśli ludzie starają się to wypierać. Ja nie uważam, że powinniśmy pamięć o tej trudnej przeszłości wymazać.

Twoja poprzednia powieść „Ósme życie (dla Brilki)" była takim skokiem na głęboką wodę wspólnej krwawej przeszłości Gruzji i Rosji. W nowej książce, która właśnie ukazuje się w Polsce, piszesz o trudnej historii najnowszej Rosji, wracasz do autentycznych wydarzeń z czasów pierwszej wojny czeczeńskiej.

W jednej z książek zamordowanej w październiku 2006 r. Anny Politkowskiej, wielkiej rosyjskiej dziennikarki znanej z krytycznej postawy wobec Władimira Putina i wojen prowadzonych przez Rosję w Czeczenii, znalazłam historię, od której nie mogłam się uwolnić. Politkowska specjalizowała się w Kaukazie, była szalenie odważną kobietą i wszystkie jej książki były dla mnie ogromnie poruszające, ale też odkrywcze.

Wiem, jak to brzmi – urodziłam się w Gruzji, kraju sąsiadującym z Czeczenią, i powinnam się doskonale orientować w tym, co słychać u sąsiadów, ale prawda jest taka, że bardzo mało o sobie nawzajem wiedzieliśmy i wiemy po dziś dzień. Czeczenia, choć geograficznie tak bliska, zawsze zdawała mi się strasznie odległa i inna. Wszystko, co o niej wiedziałam, to była wiedza z informacji telewizyjnych i doniesień prasowych. Ale potem zaczęłam szukać głębiej. I właśnie w jednej z książek Politkowskiej przeczytałam tragiczną historię, która stała się potem kanwą mojej powieści. Mogę śmiało powiedzieć, że zostałam przez tę historię opętana. To historia rosyjskiego żołnierza, Jurija Budanowa, bohatera wojennego z Afganistanu, dowódcy 160. Pułku Czołgów w czasie wojny czeczeńskiej, człowieka, który zmagał się z wielkim problemem alkoholowym i który jako pierwszy rosyjski oficer został zdegradowany i skazany za zbrodnie wojenne w Czeczenii.

Stało się to po ujawnieniu gwałtu i zabójstwa dokonanego na czeczeńskiej dziewczynie.

Podczas dramatycznych walk o Grozny (miasto, które w owym czasie było ponoć zniszczone bardziej niż dzisiejsze Aleppo) Budanow razem z kolegami wyjechał na wieś. Oficjalnie była to kolejna operacja antyterrorystyczna, nieoficjalnie po prostu urlop. Wieś, do której dotarli, zamieszkiwały wówczas głównie kobiety, dzieci i starcy – większość mężczyzn walczyła na wojnie lub już nie żyła. Po kolejnej alkoholowej libacji Budanow wpadł ↦

↦ ponoć w paranoję, zaczęło mu się wydawać, że jest otoczony przez szpiegów, był przekonany, że w wiosce znajduje się czeczeński snajper, w swoim szaleństwie zobaczył w bezbronnych mieszkańcach wsi wrogów i terrorystów. Postanowił ostrzelać wioskę, spalić domy i torturować jej mieszkańców.

Najgłośniejszą zbrodnią było zgwałcenie i zamordowanie 18-letniej Elzy Kungajewej. Elza zdaniem broniących się przed zarzutami rosyjskich żołnierzy miała być właśnie owym snajperem, bezpośrednio zagrażającym ich życiu. Budanow tłumaczył podczas procesu, że dziewczyna zginęła właśnie podczas przesłuchania, że była to zbrodnia w afekcie, a nie żadne brutalne morderstwo i gwałt.

Proces rozpoczął się w 2000 r. i – przyznajmy to – był farsą, można go nazwać pokazowym i całkowicie politycznym. Odbył się tylko i wyłącznie dlatego, że Putin chciał wygrać wybory, do których szedł z hasłem „Rządy prawa!", trzeba więc było uniknąć wrażenia, że ktoś jest ponad tym prawem. Budanow, skazany na 10 lat łagru, wyszedł z więzienia już w 2009 r., a jego wcześniejsze zwolnienie wywołało protesty obrońców praw człowieka i Czeczenów. Jednocześnie stał się bohaterem rosyjskiej nacjonalistycznej prawicy. Wielbią go po dziś dzień, wystarczy wejść na prawicowe fora.

Dodajmy dla porządku, bo o tym już nie piszę w książce, że ciąg wydarzeń, jaki zapoczątkowało zamordowanie Elzy Kungajewej, wygląda niemal jak grecka tragedia albo przypowieść ze Starego Testamentu. Śmierć Elzy zgodnie z regułami wendety musiała być pomszczona, a potem mściły się obie strony. Krwawy ślad nie urywa się więc w momencie zbrodni w czeczeńskiej wiosce. W 2011 r. Budanow został zastrzelony przez nieznanych sprawców, ostatnia zaś z ofiar – Czeczen zamieszany w zabójstwo Budanowa – zginęła w 2014 r. Prawie 20 lat rozlewu krwi, kto wie, czy już zakończonego.

Gwałt zdaje się być tymczasem najokrutniejszą zbrodnią wojenną, zwłaszcza w takich kulturach jak czeczeńska kultura honoru.

W takich miejscach jak Czeczenia gwałt jest czymś gorszym od śmierci – zabiera tobie i całej twojej rodzinie, twojemu krajowi, twojej kulturze godność i honor, które są dla ciebie kluczowe. Wymaga więc pomsty. Człowiek, który zastrzelił Budanowa, nie był nawet krewnym ofiary, a jednak poczuł się zobowiązany do jej pomszczenia. Kobiety zaś są ofiarami w podwójnym znaczeniu – zarówno gwałtu, jak i tej kultury, która godność i honor przedkłada nad ich dobrostan. Często nie zgłaszają gwałtu, obawiając się między innymi rozpoczęcia takiego właśnie łańcucha zemsty.

W miejscach jak Czeczenia gwałt jest gorszy od śmierci – zabiera tobie i całej twojej rodzinie, twojemu krajowi godność i honor, które są dla ciebie kluczowe. Wymaga więc pomsty.

Czy spotkałaś się z rodziną Elzy Kungajewej?

Nie, jadąc do Czeczenii, by zbierać materiały do książki, postanowiłam, że nie będę się z nimi spotykać. Miałam poczucie, że takie spotkanie wcale by mi nie pomogło. Po takiej tragedii nie ma zbyt wielu słów, które można by powiedzieć, ani zbyt wielu pytań, które można by postawić. Z drugiej zaś strony nie chciałam się czuć zobowiązana do czegokolwiek – znając ich osobiście, miałabym poczucie, że nie jestem już niezależna w pisaniu, że muszę przyjąć ich perspektywę. Pojechałam, żeby dowiedzieć się więcej o Czeczenii, zobaczyć ją na własne oczy.

Bo choć mieszkałaś niedaleko, nie wiedziałaś wiele.

Pierwszy raz spotkałam Czeczenów, gdy w trakcie pierwszej wojny czeczeńskiej zaczęli do Gruzji przyjeżdżać uchodźcy z Groznego. W domu, w którym mieszkała moja babcia, pojawiła się rodzina z czwórką dzieci. Ojciec tej rodziny był wielokrotnie ranny, walczył o życie w tbiliskim szpitalu. Gdy okazało się, że szczęśliwie się wyliże, moja babcia, szczerze ucieszona, powiedziała jego czeczeńskiej żonie coś w rodzaju: „Och, to wspaniała wiadomość, wreszcie będziecie mogli odetchnąć, twój mąż wróci do domu, będziecie razem tu w Gruzji, w końcu bezpieczni!". Czeczenka spojrzała na moją babcię zdumiona i wyraźnie urażona, po czym niemal wycedziła przez zęby: „Jak pani śmie w ogóle mówić mi takie rzeczy! Mój mąż, gdy tylko stanie na nogi, wraca do Czeczenii i walczy!".

Pamiętam doskonale moje zdumienie tymi słowami. Nie znam ani jednej gruzińskiej kobiety, która powiedziałaby coś takiego. Przeciwnie – każda z nas zrobiłaby wszystko, by mężczyznę zatrzymać w domu. Babcia nic już nie odpowiedziała, ale wiem, że słowa Czeczenki niesamowicie jej zaimponowały. Czeczeni to naród wojowników, nigdy nie mieli króla, zawsze byli zorganizowani w klany i tejpy (rodzaj wspólnoty terytorialnej) i zawsze mieli poczucie, że walczą o siebie, o swoją niezależność. Czy za cara, czy za Stalina, czy za Putina.

Wydaje się, że ten ostatni odkrył sposób, w jaki może ich ujarzmić. Próbuje ich po prostu kupić.

Rosyjskie pieniądze to jedyna rzecz, która jest w stanie utrzymać Czeczenię w jakichś ryzach. Moja bohaterka jedzie do Czeczenii i odkrywa we współczesnym Groznym coś na kształt kaukaskiego Dubaju. Wszystko tam błyszczy i wygląda jak jedna wielka dekoracja świąteczna, ale to tylko fasada, która ma przykryć jakąkolwiek pamięć o wojnie. Nie zobaczysz w Groznym – mieście, z którego nie został prawie kamień na kamieniu! – ani jednego śladu po kuli w murze, ani jednej ruiny z tamtego czasu, wszystko zostało przykryte pozłotkiem. Przeszłość wymazano, ludziom nie wolno o niej mówić głośno. Wojna nie pojawia się w publicznym dyskursie, bo obowiązuje paradygmat przyjaźni z Rosją, z Putinem jako zbawcą i bohaterem.

W Muzeum Historii Czeczenii w Groznym oniemiałam: tam ostatnią wojną, o której się mówi, jest – uwaga – II wojna światowa... Jakby potem już nic się nie działo! Nie mogłam w to uwierzyć. A tuż obok gablot ze średniowiecznymi artefaktami zawsze musi stać albo wisieć portret obecnego prezydenta Ramzana Kadyrowa, jakby żył i rządził w tej Czeczenii od tysiąca lat. To muzeum było szokujące. Ani słowa o wojnach, które tak dramatycznie doświadczyły kolejne pokolenia.

Istnieją więc dwie Czeczenie: ta oficjalna, wygładzona i zakłamana, i ta prywatna, podwójnie straumatyzowana – po raz drugi poprzez urzędowe wyparcie prawdy. W samolocie do Groznego słuchałam przez całą drogę opowieści obcej kobiety, która nie mówiła mi o niczym in-

BASSO CANNARSA / OPALE / EAST NEWS

NINO HARATISCHWILI (ur. 1983 r. w Tbilisi) jest gruzińską powieściopisarką, dramatopisarką i reżyserką teatralną mieszkającą od lat w Hamburgu. Języka niemieckiego uczyła się jako nastolatka, a po przeprowadzce do Niemiec zdecydowała się pisać w tym języku. Jej debiutancka powieść „Juja" (2010) została wyróżniona Nagrodą im. Adalberta von Chamisso, przyznawaną przez Fundację im. Roberta Boscha. W 2014 r. bestsellerem w Niemczech stała się jej kolejna, licząca 1300 stron powieść „Ósme życie (dla Brilki)", doceniona także przez polskich czytelników. „Kotka i Generał" – powieść o dramacie wojny czeczeńskiej, winie i odpowiedzialności – ukazuje się właśnie nakładem Wydawnictwa Otwarte w tłumaczeniu Urszuli Poprawskiej.

nym, jak tylko o wojnie. Więc jest to sytuacja nienormalna – chcieć mówić tylko o tym i nie móc o tym wspominać we własnym kraju! Kiedy o tym myślę, mam poczucie, że nie powinno nas dziwić na przykład przyłączanie się Czeczenów do Państwa Islamskiego czy ich wyjazdy na wojnę w Syrii – islamizm jest dla nich paradoksalnie sferą wolności.

To zresztą symptomatyczne – kobiety ze starszego i średniego pokolenia, które spotykałam w Czeczenii, chodzą z odkrytą głową albo w małej chustce, wyglądając bardziej jak farmerki niż jak muzułmanki, ale już kobiety młode są niejednokrotnie zakryte od stop do głów, żyjąc w państwie kłamstwa szukają w islamskiej tożsamości jakiejś prawdy dla siebie. Islam zdaje się także naturalnym wyborem dla tych, którzy chcą odróżnić się od prawosławnych „okupantów". To jest nasza rewolucja – zdają się mówić ci Czeczeni, którzy się radykalizują.

„Kotka i Generał", powieść inspirowana wydarzeniami wojny czeczeńskiej, jest jednak również powieścią o Rosji w dobie transformacji. Jednym z częstszych określeń, które pada, gdy piszesz o Rosji lat 90., jest słowo „gnijący". Tak właśnie było?

To był czas – okres upadku Związku Radzieckiego i to, co działo się później – który miał gigantyczny wpływ na mnie i moje życie. I choć nie mieszkałam w Moskwie, tylko w Tbilisi, jestem przekonana, że upadek ZSRR dotknął nas równie boleśnie. Dla mojej rodziny było to doświadczenie ekstremalne i mam poczucie, że właśnie w ekstremalny sposób uwypukliło ludzkie cechy – wielu z nas stało się potworami, ale wielu też gotowych było podjąć trud pomocy tym, którzy sobie nie potrafili poradzić ze zmianą.

Doskonale pamiętam na przykład, jak w ciągu krótkiego czasu porządni ludzie, których znałam od lat, stawali się kryminalistami, bo struktura, w której wcześniej funkcjonowaliśmy, zupełnie się załamała, Gruzja popadła w anarchię, wyjście z niej zajęło nam znacznie więcej czasu niż w innych krajach postsowieckich – bo aż sześć lat. Pamiętam, że gdy w 1989 r. poszłam ↦

↦ do szkoły, jej dyrektor został zastrzelony na ulicy, ot tak, bo ktoś go poprosił o papierosy, których na swoje nieszczęście nie miał. To naprawdę był bandycki kraj i niełatwo było w nim żyć. W Rosji zaś te procesy były po prostu zwielokrotnione. Mam też poczucie, że dzisiejsza Rosja Putina ma korzenie właśnie w owym okresie, gdy dokonano wielu najgorszych z możliwych wyborów.

W książce opisujesz drogę tytułowego Generała do pozycji putinowskiego oligarchy. Mechanizm wykupywania na własność upadającej gospodarski jest przerażający.

To prawda. Należało się znaleźć w odpowiednim miejscu i odpowiednim czasie, ot co. Ale skoro już o tym mówimy – byłam zaskoczona, jak mało się na Zachodzie pisze o powstawaniu tych fortun. Nie śledzi się dokładnie przeszłości oligarchów. Nawet w Niemczech, gdzie mieszkam, nie ma obszernej literatury na ten temat. Najpewniej jest to po prostu materia niebezpieczna do badania i niewielu po nią sięga.

Wzorowany na Budanowie Generał to człowiek, którego droga życiowa zdaje się mówić: winien tworzenia zbrodniarzy jest system. On chciał być kimś zupełnie innym, ale zamiast wybrać własną drogę musiał pójść śladami ojca – bohatera wojennego. Wojna zaś okazała się dla niego destrukcyjna. Czy zatem on też jest ofiarą?

Czytałam dużo wywiadów z żołnierzami, którzy zostali wysłani na wojnę do Czeczenii – wielu mówiło, że w tych „gnijących" latach 90. kariera w wojsku była dla nich po prostu jedyną perspektywą. Nie mieli ani pieniędzy, ani widoków na karierę, nic do stracenia. Mam zresztą wrażenie, że niewiele się w tym zakresie zmieniło. Chciałam pokazać złożoność tych wyborów życiowych. Generał i jego koledzy z wojska są więc pokazani w sposób, który ukazuje ich cały *background* i wynikające z niego ograniczenia. Interesowało mnie, jak zwykli ludzie stają się mordercami, co zmienia ich w prześladowców i przestępców takich jak Budanow. Gdzie jest ta cienka linia, którą przekroczyli, i czy każdy z nas nosi w sobie taki czarny potencjał? Kiedy myślę o sobie, chcę wierzyć, że ja oczywiście wybrałabym dobro, ale czy na pewno? Nie mam pojęcia.

© Rozmawiała ANNA DZIEWIT-MELLER

MATERIAŁY PRASOWE KFF

Kadr z dokumentu „Syndrom zimowników"

Spirytus i pingwiny

ANITA PIOTROWSKA

Z materiałów nagranych współcześnie oraz z fragmentów dzienników pisanych w stacji badawczej na Wyspie Króla Jerzego wyłania się frapująca opowieść o pewnym ambitnym projekcie.

Piotr Jaworski kręci filmy rzadko – a szkoda, bo wypełniają one różne ślepe plamki w kinie dokumentalnym sięgającym do naszej XX-wiecznej historii. Dekadę temu zrealizował wielce ironiczny dokument „Kiedyś w Afryce", który za pomocą rzadkich archiwaliów opowiadał o fantazjach mocarstwowych polskiego międzywojnia. Ich wyrazem stało się powstanie i działalność Ligi Morskiej i Kolonialnej, lecz wyprawa statku „Poznań" do zachodniej Afryki nie przyniosła, jak wiadomo, spodziewanych sukcesów. Trzeba było zapomnieć o plantacjach kauczuku i o rynku zbytu dla emaliowanych nocników rodzimej produkcji.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej w głowach politycznych wizjonerów II Rzeczypospolitej pojawiła się perspektywa nowych posiadłości zamorskich, tym razem na... Antarktydzie. W tym miejscu film się kończy, a my dostajemy właśnie kolejny dokument Jaworskiego, „Syndrom zimowników", osadzony w zupełnie innej epoce, traktujący o zupełnie innych aspiracjach, lecz powracający do miejsca porzuconego we wcześniejszym filmie. Chodzi o polską stację polarną, gdzie pod koniec lat 70. przeprowadzano kontrowersyjne z dzisiejszego punktu widzenia eksperymenty psychologiczne.

Makietę stacji badawczej imienia Henryka Arctowskiego na Wyspie Króla Jerzego tworzą rzędy mieszkalnych kontenerów, ustawione pośrodku niczego, smagane antarktycznym wiatrem. W tekturowym pudełku podpisanym tajemniczym słowem „Projekt" spoczywają ludziki w czerwonych uniformach, które za chwilę zostaną wprawione w ruch. To właśnie zimownicy – uczestnicy pionierskiej, trwającej aż dziesięć miesięcy wyprawy: biolodzy, glacjolodzy, pracownicy techniczni.

Zastosowane w dokumencie Jaworskiego animacje figurek mają swój dodatkowy sens, bo przedstawiona w filmie placówka Polskiej Akademii Nauk to zarazem coś na kształt poletka Pana Boga. Tę rolę spełnia doktor (dziś już

profesor) Jan F. Terelak, zasłużony psycholog wojskowy zajmujący się badaniem stresu w warunkach ekstremalnych. Z materiałów nagranych współcześnie oraz z fragmentów pisanych na wyspie dzienników wyłania się frapująca opowieść o pewnym ambitnym projekcie. Nie ma wątpliwości, że obecnie aż tak inwazyjne badanie „syndromu zimowników" napotkałoby na wiele przeszkód. Tymczasem w głębokim PRL-u, w erze pierwszych lotów kosmicznych, takie eksperymenty miały wagę szczególną, by nie rzec – strategiczną. Podobnie jak cała inżynieria dusz praktykowana w naszej części Europy na szeroką skalę.

Po 40 latach ze swadą i uśmiechem polarnicy wspominają, jak radzili sobie z nadchodzącym „stresem zimowania". Relacjonują, co wówczas jedli (a mimo odcięcia od świata i komunistycznej gospodarki niedoboru na zaopatrzenie nie mogli narzekać), czy też jak odreagowywali wielomiesięczną „deprywację seksualną". Stopniowo ton tych wspomnień poważnieje – w pewnym momencie u zimowników zaczęły nasilać się zmiany w sferze percepcyjnej, poznawczej i emocjonalnej.

Nakłada się na to jeszcze inna narracja, wpisana w ramy naukowego eksperymentu. W jaki sposób funkcjonowała zamknięta i wyizolowana grupa dwudziestu ludzi? Jak zmieniała się jej dynamika? Jak kształtowały się jej wewnętrzne podziały, napięcia, konflikty? Uczestnicy wyprawy już w trakcie rekrutacji musieli przejść rozliczne testy. Wiedzieli również, że będą obserwowani na miejscu, i wyrazili zgodę na udział w badaniach. Po tych najbardziej drastycznych, np. testujących reakcje na zimno, można było dostać w nagrodę setkę spirytusu. Terapeutyczne właściwości alkoholu to zresztą istotny rozdział w historii polskich zimowników. Ale na samych obserwacjach eksperyment się nie kończył.

Dzisiaj, przywołując przed kamerą rozmaite barwne anegdoty z życia na placówce, mają krytyczny stosunek do niektórych stosowanych podówczas metod. Mówią o manipulacjach i prowokacjach, których nie byli do końca świadomi, a które uczyniły z nich króliki doświadczalne. Np. wtedy, gdy doktor Terelak, nazywany żartobliwie „Psychicznym", wyłączał nagle w całej bazie prąd, by sprawdzić, jak zmienia się u polarników poziom niepokoju. Dziś bohaterowie, włącznie z przeprowadzającym ów eksperyment, nie mają wątpliwości, że były to działania wysoce ryzykowne. Jednocześnie zanurzony w przeszłości dokument Jaworskiego wychyla się w przyszłość, pytając o etyczne granice nauki i zmieniające się w jej ramach standardy.

Chociaż komunistyczny reżym dawał o sobie znać nawet na końcu świata, i to w formie jak najbardziej bezpośredniej, totalitarna metafora nie została, na szczęście, zbytnio wyeksploatowana w filmie. I jakkolwiek pod wieloma względami blisko „Syndromowi..." do głośnego dokumentu Wernera Herzoga „Spotkania na krańcach świata" (2007), polski reżyser rezygnuje z nawiedzonego komentarza odautorskiego i spojrzenia kosmity. Zamiast dostarczać apokaliptycznych proroctw, dokument Jaworskiego przede wszystkim analizuje poszczególne fazy „syndromu zimowników" i odtwarza etapy towarzyszącego mu eksperymentu. Służą temu wspomniane już współczesne relacje i animowane rekonstrukcje (patrz: ciało zmarłego przyrodnika Włodzimierza Puchalskiego „opłakiwane" przez pingwiny), a także bogate archiwalia fotograficzne i filmowe.

Sam eksperyment okazał się koniec końców wybitnym osiągnięciem polskiej psychologii, wzbudzając zainteresowanie na świecie, włącznie z agencją kosmiczną NASA, ale w filmie aż tak wielkiego entuzjazmu nie odnajdziemy. Podobnie jak w „Kiedyś w Afryce", mamy do czynienia z historią potencjalnego podboju. Bo czymże innym jest programowanie ludzkich zachowań? Choć trzeba przyznać, że z punktu widzenia dzisiejszych socjotechnik, znacznie bardziej podstępnych i skutecznych, stosowanych przez szamanów marketingu biznesowego i politycznego czy wpisanych w całe nasze funkcjonowanie w cybersferze, metody stosowane ongiś na antarktycznej placówce mogą wydawać się doprawdy niewinne. Pod warunkiem jednak, że my sami nie znajdziemy się w sytuacji ekstremalnej. ©

SYNDROM ZIMOWNIKÓW – *reż. Piotr Jaworski. Prod. Polska 2019. Film będzie miał premierę na 59. Krakowskim Festiwalu Filmowym (26 maja – 2 czerwca).*

Wywiad z Krzysztofem Gieratem, dyrektorem Krakowskiego Festiwalu Filmowego, oraz zaproszenie na spotkania pod patronatem „Tygodnika" na stronie 92.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [25 – 31 V]

1. Satan i Adam. Braterstwo bluesa

Dokumentalny, reż. V. Scott Balcerek, USA 2018, Canal+ Discovery, 25 V, 23.40

Tytuł filmu to nazwa niezwykłego duetu, który narodził się w latach 80. na ulicach Nowego Jorku. Biały chłopak z klasy średniej, zafascynowany występami starszego Afroamerykanina grającego dla przechodniów, któregoś dnia dołączył do niego, co przyniosło muzyczną sensację, wykraczającą daleko poza granice Harlemu.

2. Janka

Dokumentalny, reż. Adela Kaczmarek, Polska 2018, Canal+, 28 V, 15.35, Canal+ 1, 28 V, 16.35

Żeby pomieścić wszystkie dokonania szefowej Polskiej Akcji Humanitarnej, z pewnością nie starczyłoby jednego filmu. Dlatego reżyserka stworzyła kameralny portret Janiny Ochojskiej, w którym bohaterka opowiada o tym, co ją ukształtowało i co daje jej siłę mimo licznych przeciwności losu. Wspomnienia z dzieciństwa ilustrowane są animacjami.

3. Miłość bezwarunkowa

Dokumentalny, reż. Rafał Łysak, Polska 2018, VOD.pl, do 2 czerwca

Do końca trwania Krakowskiego Festiwalu Filmowego można obejrzeć bezpłatnie kilka filmów nagrodzonych podczas poprzedniej edycji. Wśród nich uhonorowany Złotym Lajkonikiem niezwykle osobisty dokument młodego debiutanta, który dokonuje homoseksualnego coming outu przed własną babcią.

4. Oni

Komediodramat, reż. Paolo Sorrentino, Włochy/Francja 2018, Cineman

Twórca „Wielkiego piękna" portretuje Silvia Berlusconiego i jego świtę, uciekając się do tego samego kiczowatego przepychu, który stał się znakiem rozpoznawczym włoskiego polityka. Toni Servillo wciela się w postać człowieka, który za pieniądze jest w stanie kupić seks i władzę, ale jedno pozostaje dlań nieosiągalnym fetyszem – młodość.

JAN

Klata:
Krew zalewa

Majowe święto konstytucji na ulicach stolicy jak co roku przyciągnęło tłumy. Tłumy, tłumy, tłumy, jak okiem sięgnąć, tłumy wyjątkowe, niewątpliwie z jednostek się składające, bo różnorodne w swej odświętności. Z początku przybysz ma wrażenie, że trafił na gigantyczny, ogarniający całe miasto zlot zespołów folklorystycznych. Nie ma jednego uniformu, stroje są różnorodne, szarych koszul brak. Główną rolę odgrywają dzieci, ubrane równie wyjątkowo jak dorośli, dzieci maszerujące ulicami, machające flagami, śpiewające, grające na instrumentach, radośnie pokrzykujące. Dzieci, rzecz jasna, różnokolorowe.

Majowe święto konstytucji nie jest – broń Boże – wydarzeniem politycznym, organizowane oddolnie, ponad podziałami, nie ma trybuny honorowej z członkami najwyższych władz państwa, nie jadą czołgi, zero myśliwców i rosomaków. Tylko ludzie, dumni z tego, że są razem w ramach swojej wspólnoty. Ludzie ubrani jak ich ojcowie, jak pradziad przykazał, noszący swój strój nie bez poczucia humoru, bardzo na miejscu przy uroczystej, acz spontanicznej okazji, co to jedynie raz w roku, za to od wielu lat. Bez politycznej propagandy aktualnie rządzącej opcji, bez jednoczenia się wokół dumnych i bladych włodarzy traktujących swe owieczki jak głupawe stadko, mamiących je obiecankami przed cynicznym przystrzyżeniem, wabiących nacjonalistyczną propagandą. Ludzie ubrani jak pradziad przykazał... no, nie do końca, sporo dzieci imigrantów, drugiego-trzeciego pokolenia obywateli, ubranych zgodnie z tradycją swojego kraju, nie kraju pradziada. Pradziad zapewne szczęśliwy radością prawnuków, o nowy strój niezbyt zazdrosny, choć oczywiście kto go tam wie, i kto by się tym przejmował.

Patrzę na majowe święto konstytucji i serce roście, i zazdroszczę, oczywiście, spontaniczości, braku czynników oficjalnych, niekłamanej pozytywnej radości, braku rac, sekciarskiej agresji, nadęcia, nabzdyczenia. Po paradzie dzieci powrócą do klas, gdzie będą się ścigać w workach, biegać przenosząc ziemniaka w łyżce, i generalnie pozytywnie kojarzyć narodowe święto. Po paradzie dorośli będą spacerować i świętować w gronie przyjaciół, nie bez udziału alkoholu (raz w roku można), ale absolutnie bez ekscesów i agresji.

Majowe święto konstytucji... zbyt piękne, aby było prawdziwe? Nie znam norweskiego, ale język ojczysty mi nieobcy, więc może przytoczę pierwszą wypowiedź usłyszaną na ulicy w języku polskim, troszkę ocenzurowaną (wiele wulgaryzmów). Młody zarobkowy rodak do swych zarobkowych kolegów: „Patrzcie... ci Norwegowie... współczuję im... tacy z nich super naziole, a tyle tych ciapatych po ulicach im się szwenda, poprzebieranych... Przecież ich musi teraz... krew zalewać!”.

Oslo, 17 maja 2019. Święto narodowe Norwegii. Dzień Konstytucji. ©

Lektor:
Poezja żywa

▪ *Ewa Lipska*
MIŁOŚĆ W TRYBIE AWARYJNYM
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019, ss. 60.

Dobry czas Ewy Lipskiej. Na początku roku Nagroda Jerzego Turowicza za „Pamięć operacyjną”, potem Wrocławska Nagroda Poetycka Silesius za całokształt twórczości, a niemal równocześnie z uroczystością wokół Silesiusa – najnowszy tom wierszy. Trzeci (bo najpierw był „Czytnik linii papilarnych”) i, jak zapowiada autorka, ostatni z cyklu odwołującego się w tytułach do terminologii komputerowej. Od razu powiedzmy – znakomity. Lapidarność, wręcz asceza. Ironia i wyczucie absurdu. Paradoksalne metafory. Gra językowa, która jest grą o życie. Wszystko to już powiedziano, próbując dzieło Lipskiej ująć w jakieś schematy – i jej wiersze wciąż na nowo nas poruszają, dalej wymykając się schematom. Są, jak mówił Paweł Próchniak w laudacji podczas wręczenia Nagrody Turowicza, „czujne niczym wykrywacz kłamstw, uczciwe do bólu, podszyte snami i dlatego upiornie trzeźwe, przeszyte czymś na wskroś prawdziwym, przewleczone przez ucho paradoksu”. Techniczny żargon stwarza dystans pozwalający opisać najgłębiej egzystencjalne przeżycie. Jak w „Układach scalonych”: „Kiedy zawiodły / układy scalone / naszych ciał / byliśmy strzępem kabli / kłębkiem nerwów. // Na multimedialnym głodzie / włączaliśmy życie. / Wyłączaliśmy życie. // Nasze baterie / ładowały się w piekle”.

Szalenie trudno pisać o tej książce, bo jej tajemnica tkwi właśnie w znalezieniu nowego sposobu nazwania jednostkowych doświadczeń, które łatwo zbanalizować nieporadnym opisem. Przemijanie, odchodzenie bliskich, śmierć naszych emocji, świat, który pustoszeje – przecież wiemy, że i nas to czeka. Kiedy jednak czytamy „Sale”, najkrótszy wiersz z „Miłości w czasie awaryjnym”: „Willa naszego łóżka / Wystawiona na sprzedaż” – ta świadomość uderza nas z nową, niespodziewaną siłą. Podobnie jak niewiele dłuższy wiersz „Znowu pijemy”, który zapamiętałem po pierwszej lekturze i od którego nie potrafię się teraz uwolnić: „Znowu pijemy. / Litr umarłych na stole. / Już nie ma nikogo / kto jest”.

„Migawki z głębią ostrości nastawioną na nieskończoność” – jeszcze jedno trafne określenie Pawła Próchniaka. Migawki, które uświadamiają znikomość naszego istnienia, a równocześnie pozwalają ocalić okruchy, które stanowiły być może o jego sensie. Są lekiem na otaczające nas puste wielosłowie, budzą z emocjonalnego uśpienia, niosą gorzką, ale wyzwalającą mądrość. Wiersze Lipskiej to wspaniała, żywa poezja. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Kadr dla rabarbaru

Cztery. Od tylu tygodni nie ma mnie na Facebooku. A ściślej, wyklikałem sobie próbny odwyk. Diaboliczna wielkość tego Wielkiego Brata wyraża się także w tym, że z wytrawną znajomością mechanizmów uzależnień pozwala dobrotliwie na częściowy bunt, niecałkowite zerwanie. Dobrze rozumie rozterki jednostki targanej lękiem przed samotnością i ciszą. Dla stadnego z natury zwierzęcia człowieczego oba te stany mają posmak śmierci. Dlatego władca naszych umysłów przewidział przebiegłą procedurę zerwania: „Ależ proszę, zamrozimy ci konto na miesiąc, przez ten czas nie będziesz dla nas istniał. Przekonaj się, jak to jest wypaść z obiegu. Może jednak wrócisz do nas z krzykiem. Wszystko wróci do normy, oddamy ci zaraz pięciuset znajomych, wszystkie uciułane lajeczki i dziesięcioletni dorobek narcystycznego mielenia ozorem". Znów poczujesz, jak to cudownie znaleźć się w epicentrum gonitwy słownej na niecierpiący zwłoki temat dnia, którą Anglicy z sobie właściwym sznytem dosadnej inteligencji nazwali gównoburzą.

Szybko zleciało, do dziś nie odczuwam syndromu odstawienia, o wszystkim, co społecznie lub politycznie ważne, a co zaszło w „soszialach" dowiaduję się z ust kompetentnych, zaufanych bliźnich, którzy pełnią teraz dla mnie rolę żywego filtra. Ale i nie zrobiło mi się specjalnie lżej, nikt nie zadzwonił z pytaniem, gdzież to się podziałem, co było nawet przez moment bolesne.

Nie piszę jednak tego wszystkiego, by wyżebrać poniewczasie litość podszytą nieszczerym podziwem, bo z drugiej strony ten tuzin ludzi jakoś ważnych spośród pięciuset nie zniknął mi całkiem z ekranu – pozostał w okienkach komunikatorów. W tych rozmównicach znika co prawda różnica na „tu" i „tam". Ale chociaż respektują podział na to, co wypowiadane prywatnie, szczerze i w bezpośredniej relacji do człowieka, i na to, co publiczne, a więc wyrzucane w przestrzeń z czujną świadomością, że każdy może z tego zrobić potem użytek życzliwy albo i wrogi. To właśnie pomieszanie dwóch porządków komunikowania się w jeden nowy, jednocześnie bliski jak rozmowa na kanapie i daleki jak krzyk na wiecu, tworzy narkotyczny sens nowego rodzaju bytowania.

Cztery. Tyle lat minęło, odkąd odszedł Oliver Sacks. Znawca ludzkiego mózgu jako lekarz, którego zajmowały fantastyczne wręcz przypadki zaburzeń. Przy nich określenie „normalność" kojarzy się z nudą egzystencji przewidywalnej jak poranny tłok w metrze i przedwyborcze wstępniaki w gazetach. A do tego opowiadacz popularyzujący swoją dziedzinę w przystępnej formie powiastek medyczno-filozoficznych. Krótko przed śmiercią zdążył napisać nieco słów o nadciągającej „katastrofie neurologicznej na gigantyczną skalę" – sądził bowiem, patrząc na ulice swojego Nowego Jorku, że ludzie przyspawani do kieszonkowych ekranów przechodzą szybką metamorfozę w pęczek różnych percepcji, następujących szybko jedna po drugiej w wiecznym ruchu, co skutkuje zniszczeniem systemów pamięci w mózgach. „Zakleszczeni w wirtualnym świecie nigdy nie są sami, nigdy nie są zdolni do skoncentrowania się i odczuwania chwili po swojemu, w ciszy" – pisał.

Przypominam sobie teraz jego słowa w kontekście, który się bynajmniej z ciszą nie kojarzy, bo w samym środku gwarnego sobotniego targu. Sięgam po szparagi, szczerze zielone, rozrzeźbione z wyczuciem proporcji między gładkim trzonem a drobnymi łuskami, z kostropatą, a jakże zgrabną, budzącą nie całkiem przyzwoite myśli główką. Gładzę fakturę ziemniaków, tyle teraz jest tych młodych, to znaczy przyjezdnych... z Francji, z Hiszpanii, z Maroka, z Egiptu. Próbowaliście kiedyś dobrze pomacać w dłoni egipski kartofelek? Pod opuszkami kruszą się i sypią drobiny ziemi – jest całkiem inna niż ta, jaką znamy stąd. Drobniejsza, ma coś w sobie z pustynnego pyłu, budzi egzotyczne rozmarzenie jak pocztówka z wielbłądem i piramidą nadesłana przez mamę z wykopalisk w dalekich latach 70. Gapię się jak w hipnozie w lekko spoconą bryłę bundzu, w jego sprężystą masę. Wiem, że po lekkim dociśnięciu ukazałaby ona delikatne włókna i mikroskopijne bąbelki... ale przecież nie będę wtykał palucha w towar na straganie.

Co dwa kroki czuję przymus, żeby to sfotografować. Facebooka się pozbyłem, ale przecież jest Instagram. Dopóki się nie podzielę, to kontemplacja będzie niepełna. Chodźcie wszyscy do mojej głowy, przeżywajcie ze mną. Objuczony zakupami, ledwo trzymam telefon, odstawiam je wreszcie, żeby spokojnie dobrać kadr dla rabarbaru, na który słońce padło tak, że jest naraz czerwony i zielony. Zrobione, może wrzucić od razu? Nie, wyjdę najpierw stąd. Ale zaraz – gdzie moje siaty? Ukradli je. Smacznego, drogi złodzieju, wyjdzie ci niezła zupa jarzynowa, jak się postarasz. A ja powrócę robić od zera zakupy. I więcej się z nikim już nie podzielę. ©℗

Jak już wiecie, mógłbym ze wszystkiego zrobić risotto – to jedna z moich ulubionych form gotowania i może czasami przesadzam. Ale przepis jest naprawdę arcyciekawy i wart spróbowania w okresie, kiedy przyroda jeszcze nie rozpieszcza nas świeżymi aromatami. Dobrze pocieszy w oczekiwaniu na spóźniające się z powodu zimnego maja nowe warzywa. Na 4 osoby topimy na dużej patelni łyżkę masła, dodajemy drobno posiekane dwie szalotki lub jedną cebulę, szklimy, dosypujemy 320 g odpowiedniego ryżu, prażymy go na większym ogniu parę minut, „gasimy" kieliszkiem białego wina, zalewamy lekkim bulionem warzywnym, gotujemy wedle zwyczajnej procedury. W połowie procesu dodajemy posiekane w drobniutką kostkę dwie łodygi rabarbaru, które uprzednio poddusiliśmy kilka minut na osobnej patelni na maśle. Kiedy risotto już dojdzie, na wydaniu posypujemy świeżo utartą skórką cytrynową i startym imbirem – w takiej ilości (raczej niewielkiej), żeby zbilansować te trzy osobne, choć pokrewne głosy w chórze.

BIRGIT REITZ-HOFMANN / ADOBE STOCK

59.KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY 59th KRAKOW FILM FESTIVAL

26.05 — 2.06.2019
krakowfilmfestival.pl

Być blisko siebie

„Miasto psów", reż. Jesse Alk

KRZYSZTOF GIERAT, DYREKTOR KFF:

Kino uczy empatii, szczególnie filmy pokazywane na Krakowskim Festiwalu Filmowym. Zależy nam na historiach, których próżno szukać w prasie czy telewizji.

ALEKSANDRA WOJTASZEK: W poprzednich edycjach Krakowskiego Festiwalu Filmowego dominowały intymne filmy o rodzinie. Tym razem więcej jest historii o ludziach z marginesu.

KRZYSZTOF GIERAT: Najwięcej mamy dokumentów, które mówią o wykluczeniu, odrzuceniu, ale także dominacji i próbie podporządkowania sobie jednych ludzi przez drugich.

Kino uczy empatii?

Z pewnością! Filmy pokazują historie, których próżno szukać w prasie czy telewizji. Starają się także przekazać je w sposób pogłębiony, w całej ich złożoności. To właśnie cecha charakterystyczna Festiwalu. Nie pokazujemy filmów o problemach ogólnych, jak globalizacja czy ocieplenie klimatu, ale konkretne ludzkie historie.

„Wiatr" otwierający tegoroczną edycję opowiada na przykład o halnym i jego wpływie na mieszkańców Podhala.

To film o zagadkowej sile przyrody, ciekawy także z powodów formalnych – thriller dokumentalny, który pokazuje, co można zrobić z gatunkiem, gdy śmiało wkracza się w schematy typowe dla filmów fabularnych. Samo zjawisko halnego to raczej pretekst, choć czasem dosłownie pokazuje się jego niszczycielską moc. To przede wszystkim piękne, a przy tym dowcipne kino o góralszczyźnie. Towarzyszyliśmy temu projektowi od początku i nawet martwiliśmy się, czy nie wyjdzie obraz nazbyt lokalny, ale świetne przyjęcie na festiwalu Visions du Réel w Nyon dowodzi jego uniwersalności.

Górale bywają egzotyczni nie tylko dla szwajcarskiej, ale i dla polskiej publiczności.

Dlatego producenci wprowadzili polskie napisy w partiach mówionych gwarą. W rodzimym konkursie jest jeszcze jeden film, którego temat i formuła powinny zachwycić widzów za granicą. „Syndrom zimowników" opowiada o stacji polarnej na Antarktydzie, gdzie polski naukowiec przeprowadzał w latach 70. eksperymenty na odizolowanej grupie polarników. Z dzisiejszej perspektywy były one mocno nieetyczne – utrudniano na przykład naukowcom łączność z krajem. Te badania miały pomóc amerykańskim misjom marsjańskim, do których, jak wiemy, nigdy nie doszło.

Z kolei w filmie „Miasto psów" zajmujący się bezdomnymi psami bohater tłumaczy, że to nadmiar cierpienia nauczył go empatii wobec innych stworzeń.

Dopiero po zakończeniu selekcji dostrzegamy, jak niektóre filmy ze sobą korespondują. W „Mieście psów", opowiadającym o bezpańskich psach żyjących na ulicach Delhi, wolność okazuje się przekleństwem – zwierzęta są chore i przymierają głodem. A w polskim obrazie „O psach i ludziach" przedstawiamy historię dyrektora warszawskiego zoo, który w trakcie wojny przechowywał uciekinierów z getta w klatkach dla zwierząt – w ten sposób stały się one narzędziem wolności i ocalenia. Właśnie takie relacje między filmami okazują się często najciekawsze.

Zwierzęta powracają także w „Czwartym królestwie", gdzie ludzie żyjący na marginesie amerykańskiego społeczeństwa szukają ratunku w przyjaźni z kotami i psami.

Wszyscy ludzcy bohaterowie „Miasta psów" czują się niespełnieni, choć z odmiennych powodów, podobnie jak różne są ich pochodzenie i marzenia. Tak samo jak w przypadku mieszkańców nowojorskiego skupu odpadów w „Czwartym królestwie". Wcześniej bezdomni tam znaleźli schronienie, które jednak czasem bywa także więzieniem, marzą więc o ucieczce. „*Sure, we can*" – ironia zawarta w nazwie tego miejsca jest w tym kontekście bardzo wymowna. Ciekawe, że w obydwu tych filmach eksperymentuje się z gatunkiem dokumentu. Pojawiają się występy wokalne czy teatralne, które dopełniają całość, znosząc jednocześnie sztywne granice formalne.

To mieszanie się gatunków jest typowe dla dzisiejszego kina dokumentalnego?

W ostatnich latach dokument bardzo zmienił się wizualnie, chętniej używa animacji, inscenizacji aktorskiej, kreuje też bohatera, nawet przy pomocy autentycznych archiwaliów. Różnice między gatunkami faktycznie się zacierają – być może kiedyś nie będzie już różnych kategorii? Zresztą coraz częściej w konkursach filmów fabularnych wygrywają dokumenty. Dla nas ważny jest przekaz filmu, jego uczciwość, ale też sposób realizacji – musi być to dzieło artystyczne, na którym autorskie piętno odciska twórca. Z tego zresztą słynie polskie kino dokumentalne.

Jak jeszcze dokument zmienił się w ciągu tych prawie dwóch dekad, od kiedy szefuje Pan Krakowskiemu Festiwalowi Filmowemu?

Dokument już nie trzyma się reguł tak ortodoksyjnie jak kiedyś, choć może wtedy po prostu tego nie dostrzegaliśmy. W międzyczasie poznaliśmy też termin Marcela Łozińskiego „zagęszczanie rzeczywistości", a Marcin Koszałka twierdzi, że każde włączenie kamery jest ingerencją w rzeczywistość.

Pytanie o granice ingerencji w życie bohaterów towarzyszyło mi podczas oglądania dwóch filmów o bezdomnych – holenderskiej „Opery ulicznej" oraz polskiego dokumentu „Listy do Artura".

Poprzedni film reżysera Ramóna Gielinga „Erbarme dich" także opowiadał o inscenizacji teatralnej realizowanej wśród ludzi odrzuconych, uliczników. Widać, że to temat, który go pasjonuje i nad którym potrafi pracować, dotrzeć do filmowanych ludzi, odkryć prawdę o nich.

Z kolei komentarze z offu reżyserki filmu o bezdomnym Arturze wydają się początkowo pretensjonalne, ostatecznie jednak dzięki nim widz zaczyna się zastanawiać nad relacją reżysera dokumentu i jego bohaterów.

Tak samo odbierałem ten film. Dzienniki reżyserki, które słyszymy w tle, są bardzo egzaltowane, brzmią chwilami jak memuary gimnazjalistki, ale faktycznie pozwalają dostrzec, jak osobista relacja między reżyserką a bohaterem filmu zmienia się w trakcie realizacji. Reżyser nie jest przecież automatem ani bezdusznym obiektywem kamery.

Ale zazwyczaj nie może też zmienić życia swoich bohaterów.

To nierozstrzygalne dylematy, szczególnie gdy nasz bohater wymaga wsparcia czy opieki. Helena Třeštíková, laureatka Smoka Smoków, przez wiele lat podążała za swoimi bohaterami, zwykle kilkoma równolegle. Przychodził jednak moment, kiedy musiała zadecydować o zakończeniu realizacji – zmontować historię, puścić ją w świat, a bohatera zostawić. Napisano liczne rozprawy o tym, na ile reżyser może i powinien wchodzić w relację ze swoim bohaterem. Jacek Bławut, kręcąc film o alkoholikach, miał dylemat, czy powinien dawać im te „pięć złotych na bułkę". Najbardziej skrajnym przypadkiem jest oczywiście reportaż wojenny, gdy czasem nie wiadomo – filmować czy biec pomagać?

Jak zdobywa się zaufanie bohaterów?

Bardzo długo, bo niezbędny jest etap przygotowawczy, gdy przebywa się z bohaterami bez filmowania, nawet jeśli wiele wtedy bezpowrotnie umyka. Liczni twórcy mówią o tym, że trzeba oswoić bohatera, zaprzyjaźnić się. Ważne, aby zrozumiał on, że nie zostanie skrzywdzony. Z kolei Wojciech Kasperski, który często realizuje filmy w Rosji, twierdzi, że należy doprowadzić do stanu, w którym ludzie przestają widzieć kamery. Dlatego dokumenty często robione są bardzo skromną ekipą.

Juror tej edycji, autor filmu „O ojcach i synach", który zwyciężył w ubiegłym roku, przez trzy lata mieszkał z rodziną dżihadystów.

Talal Derki musiał oszukać swoich bohaterów, powiedzieć im, że jest korespondentem wojennym, ideowo z nimi związanym. To oczywiście ogromny problem etyczny, ale zakładam, że zwyciężyła w nim potrzeba pokazania światu, gdzie leży źródło zła. Tymczasem w filmie widzimy normalną, kochającą się rodzinę, może nieco inną niż europejska, ale w wielu kwestiach podobną. Ojciec, choć surowy, czasem nawet okrutny, bywa przecież także dobroduszny. Dba o synów, jednocześnie szkoląc ich na wojowników świętej wojny.

Specjalne pasmo festiwalu poświęcone jest Finlandii, która przoduje w rankingach najlepszych miejsc do życia. Filmy będą szukać źródeł tego fenomenu czy raczej mrocznych tajemnic?

Pojawi się między innymi film Jörna Donnera „Fuck Off 2" – kontynuacja nakręconego przed laty dokumentu o fińskim społeczeństwie, w którym wcześniejsze tezy skonfrontowane zostaną z nowymi czasami. Fińska kinematografia dokumentalna w ogóle należy do światowej czołówki – zapewne dlatego, że opowiada nie tylko o własnym społeczeństwie, ale o problemach całego globu. Dlatego pasmo otworzy film „Bogowie z Molenbeek", którego akcja rozgrywa się w brukselskiej dzielnicy uważanej za wylęgarnię terrorystów. Dwaj mali chłopcy rozmawiają w nim na poważne tematy: mówią o religii, życiu i śmierci. To niezwykle ważny film, bo pokazuje, jak możemy, niezwykle się różniąc, nadal być blisko siebie.

© Rozmawiała ALEKSANDRA WOJTASZEK

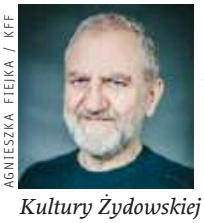

AGNIESZKA FIEJKA / KFF

KRZYSZTOF GIERAT *(ur. 1955) jest filmoznawcą, dyrektorem artystycznym Krakowskiego Festiwalu Filmowego, współtwórcą Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie oraz inicjatorem Festiwalu Filmu Niemego. W latach 1993-94 wiceprezydent Krakowa. Członek Polskiej Akademii Filmowej oraz Europejskiej Akademii Filmowej.*

59. KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY

26 MAJA DO 2 CZERWCA 2019

Centrum festiwalowe:
Małopolski Ogród Sztuki
Kina: Kino Pod Baranami, Kijów.Centrum, Mikro, MOS, Aula ASP, Agrafka, Paradox
Pokazy plenerowe: Kino pod Wawelem, Barbakan

„Tygodnik Powszechny" i Fundacja Tygodnika Powszechnego są partnerami festiwalu. Zapraszamy na spotkania z twórcami i bohaterami filmów:

- Po filmie Piotra Jaworskiego „Syndrom zimowników" – krakowskie Kino pod Baranami, 28 maja, 18.00, prowadzenie Łukasz Kwiatek
- Po filmie Tomasza Knittla „Złota" – krakowskie Kino pod Baranami, 30 maja, 18.45, prowadzenie Paweł Bravo

JESSE ALK / MATERIAŁY PRASOWE KFF

ZA WIATRU OBROTEM

Na obszernej liście badanych przez R. Murraya Schafera zjawisk znajdziemy klaksony w Argentynie, żaby w Kanadzie czy słyszalność głosu Boga według relacji historycznych.

JACEK PODSIADŁO

Chcę zacząć od zachwytu. Własnego, ale przecież nie jestem w nim odosobniony. Dźwięk dzwonu wydaje mi się jednym z najpiękniejszych, jakie można usłyszeć na ziemi. I nie chodzi o przejmujący, potężny, nierzadko przytłaczający człowieka jęk, święty hałas dzwonu zawieszonego nad jego głową, ale o dźwięk płynący z daleka, kojarzący się bardziej z muzyką niż hałasem, może nawet z dźwiękami natury. Można go usłyszeć w polu, na łące albo w lesie w takim oddaleniu od miasta, że miejski gwar nas nie sięga, ledwo słyszalne brzmienie dzwonu jest zaś jedynym docierającym do naszych uszu wysłannikiem ze świata ludzi. Taki dźwięk może się narodzić tylko w ciszy, od niej się zaczyna. Najłatwiej o niego o świcie lub o zmierzchu. I z im większej odległości przychodzi do nas, tym piękniejszy się wydaje. Czasami, kiedy jest to dźwięk na granicy słyszalności, można naprawdę się pogubić: czy to daleki dzwon, czy sama cisza dzwoni w uszach. Cisza i dźwięk przestają wzajem-

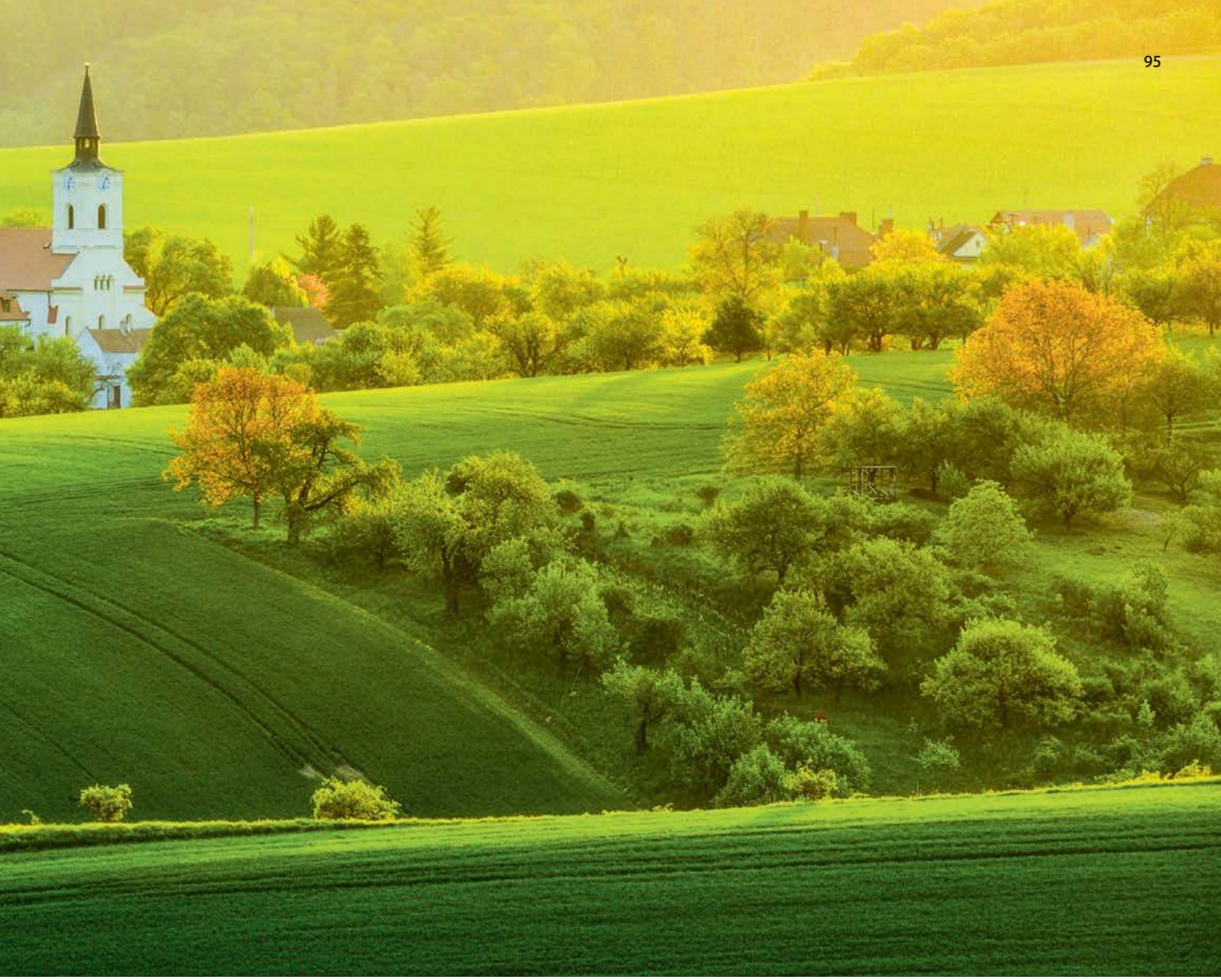

Krajobraz Południowych Moraw, Czechy

ANATOLY GORDIENKO / GETTY IMAGES

nie się wykluczać, przeciwieństwa spotykają się jak w przeboju Simona i Garfunkela, graniczną wartością piękna jest pustka.

Kwiat, który się miota

Według legendy brzmienie dzwonu w ten właśnie sposób, jako dźwięk znikąd, objawiło się św. Paulinowi, kiedy dzwonów nie było jeszcze na świecie. Urodzony ok. 353 r. w Bordeaux prawnik, filozof i poeta, ale jednak poganin, „nawrócił się" i przyjął chrzest w 391 r., a wkrótce także święcenia kapłańskie. Z wierszy opiewających zachody słońca, łąki i lasy przerzucił się na poezję religijną, ale długo jeszcze Chrystusa obdarzał epitetami zawarowanymi dotychczas dla słońca. Zawarł korespondencyjną przyjaźń ze św. Augustynem. Prowadził pustelnicze życie nieopodal Noli we włoskiej Kampanii, gdzie w 409 r. został biskupem. Legenda, którą winniśmy traktować z taką samą powagą, z jaką podchodzimy do faktów i cyfr, mówi o romantycznym spacerze świątobliwego samotnika. Łąka, skraj lasu, zachód słońca. Zatopienie w rozmyślaniach. Z tego wszystkiego św. Paulin zwrócił się do Boga z prośbą, żeby dał mu jakiś znak swej obecności, żeby łąka, las i słońce nie były niczyje, puste i postpogańskie. I wtedy Bóg od razu zadzwonił do Paulina. Tak, usłyszał on cichutkie, ale wyraźne dzwonienie. Rozejrzał się i dojrzał liczne niebieskie kwiatki, których kieliszeczki zdawały się brzęczeć cichutko na wietrze. Wzruszony tym Paulin jak tylko wrócił do Noli, wziął się za budowę dzwonnicy, na której zawisł wielki dzwon na podobieństwo małego, leśnego kwiatka. Od tej pory dzwon miał zostać nosicielem głosu Boga, jego wygodnym nośnikiem. Kwiatek, poprzez który Bóg przemówił do Paulina, nosi dziś nazwę kampanuli, dzwonka, a dzwonnica to po włosku campanile.

To legendarne, pierwotne pokrewieństwo kwiatów i dzwonów przetrwało do współczesnych czasów, przechowała je przynajmniej pamięć poetycka. Z naszych poetów dostrzegali je choćby Maria Pawlikowska-Jasnorzewska i Jan Pocek; ciekawe, że oni też dźwięk dzwonu sytuowali blisko ciszy. W wierszu „Słowo »Crépuscule«" Jasnorzewska pisała o upiorach dzwoniących „w kampanulę" na wieży: „Dzwonią, ciągną we dwóch – / Kwiat się rozmiotał! / Choć powiewny jak puch, / Ma serce ze złota. // Lecz nic nie słychać jeszcze / Nad łąk mglistą bielą, / Tylko grające świerszcze / Kumkaniem żabieją...". ↦

↦ I jeszcze w „Liliach": „Oto dzwony, pęknięte w płatki pięciokrotne, / jakby nadmiarom tonów nie mogły podołać... / Łagodnie i nużąco, za wiatru obrotem / okrąża cały ogród pieśń ich niewesoła. // Dzwonią pachnąc, pięciokroć rozszczepione dzwony...". A analizująca wiersze Pocka od strony dźwiękowej Katarzyna Smyk, po przytoczeniu fragmentów zrównujących milknięcie i ciche odchodzenie poety z milknięciem dzwonów, pisze: „To dzwonienie kojarzymy z głośnym dźwiękiem, ale zauważmy, że jest ono dla świata niesłyszalne". W wierszu „dobywam piękno" znajdziemy u Pocka już nie tylko ciszę w sąsiedztwie dzwonu, ale i świętopaulińską przemianę kwiatów w dzwony: „ciszą rozwszechmocniony / widzę jak polny konik / zamienia kwiaty w dzwony / na smukłych wieżach łodyg".

Jedną z nauk o pustce, jakiej dzwony nam udzielają, jest ta, że pustka to potęga. **Z próżni, z nicości może płynąć moc.**

Przepis na uniwersalną lirę

Z oglądanego we wczesnej młodości serialu „Daleko od szosy" zapadła mi w pamięć dramatyczna scena z komicznym dialogiem. To Leszek, a to Ania. Zakochany w dziewczynie z miasta chłopak ze wsi zabiera ją na spacer. Łąka, skraj lasu, zachód słońca. Kiedy są już naprawdę daleko od szosy, Leszkowi kończą się przygotowane wcześniej tematy do rozmowy. Nieporadnie próbuje podtrzymać dialog, a kiedy cisza staje się naprawdę kłopotliwa, zadaje pytanie prawdziwie desperackie: „Słyszysz, jak cicho?". Ania nie wie, co odpowiedzieć, i do dzisiaj pielęgnuję nadzieję, że jej milczenie spowodowane jest wielkim paradoksem mimowolnie sformułowanym przez wiejskiego adoratora. To pytanie skrywa przecież kwestię fundamentalną: czy cisza to jest „coś", czy „nic"?

Serial pochodzi z lat 70. i mniej więcej w tym samym czasie to samo pytanie, ale z całkowicie innych powodów, zadawał sobie na drugiej półkuli R. Murray Schafer, wielki kanadyjski nauczyciel słuchania, który m.in. dzięki popularyzatorskim pracom Sebastiana Bernata, Maksymiliana Kapelańskiego, Roberta Losiaka i Ewy Schreiber nie jest w Polsce postacią nieznaną. Ukute przez siebie pojęcie „pejzażu dźwiękowego", *soundscape*, utworzone na podobieństwo słowa „krajobraz" i dosłownie znaczące „dźwiękobraz", Schafer obudował całym zespołem terminów obłaskawiających złożoną przestrzeń foniczną współczesnego człowieka, któremu przypisuje specyficzne, uwarunkowane kulturowo „znieczulenie zmysłów". Przekonanie o dominacji wzroku jako przyczynie takiego stanu rzeczy stało się napędem do badania pozostałych zmysłów, a więc też historii zmysłów, a więc także historii słuchu, co nie może się obyć bez studiowania historii dźwięku. A że wśród zachowanych w literaturze i ikonografii świadectw „nausznych świadków" (*earwitness*) dźwięków z przeszłości szczególnie wiele dotyczy bicia w dzwony, Schafer wraz z licznymi uczniami również się w nie wsłuchał. Określiwszy pejzaż dźwiękowy jako środowisko akustyczne, w którym pozostajemy zanurzeni, wypracował koncepcje inspirowanych nim kompozycji, „spacerów dźwiękowych", wzornictwa akustycznego i edukacji w zakresie słuchania (program nazwany „czyszczeniem uszu"), przyłożył też rękę do przełożenia na środowisko człowieka pojęć z dziedziny elektroakustyki, takich jak hi-fi i low-fi. Można powiedzieć, że porwał się na ustanowienie nowej dziedziny nauki dotyczącej pejzażu dźwiękowego. Na obszernej liście badanych przez niego zjawisk znajdziemy klaksony w Argentynie, żaby w Kanadzie czy słyszalność głosu Boga według relacji historycznych. Z książek Schafera najbardziej znane są chyba „Strojenie świata" i „Głosy tyranii, świątynie ciszy". Wśród swoich mistrzów miał m.in. McLuhana (uczęszczał na jego wykłady w Toronto) i Johna Cage'a. Tego ostatniego poprosił o definicję muzyki, którą przyjął za własną i do dzisiaj powtarza. Sformułowana w nieoficjalnej korespondencji definicja brzmi: „Muzyka to dźwięki, dźwięki wokół nas, czy jesteśmy w sali koncertowej czy poza nią – patrz: Thoreau".

Mnie najbardziej urzeka w niej końcowe wezwanie: „patrz: Thoreau". Chodzi tu zapewne o rozdział książki „Walden, czyli życie w lesie " zatytułowany „Dźwięki" i opowiadający m.in. o odległym dźwięku dzwonów: „Niekiedy w niedziele przy sprzyjającym wietrze dochodziło mnie bicie dzwonów w Lincoln, Acton, Bedford czy Concord – nikła, słodka melodia, jak gdyby dzieło Natury, które warto było przenieść do leśnej głuszy. Dźwięk ten niesiony przez las z dostatecznie dużej odległości nabiera pewnego rodzaju wibrującego poszumu, jak gdyby igły sosnowe na horyzoncie były strunami szarpanej przez niego harfy. Wszelkie dźwięki dolatujące z większej odległości robią jedno i to samo wrażenie – wibrują niby harfa wszechświata, podobnie jak za sprawą atmosfery odległa krawędź ziemi przyciąga nasze oko swym błękitnym zabarwieniem. Dolatywała mnie zatem melodia przesiana przez powietrze, melodia, która prowadziła rozmowę z każdym liściem i igłą w lesie, owa porcja dźwięków wchłonięta i modulowana przez żywioły, odbijająca się echem z jednej dolinki do drugiej. Echo to w pewnym stopniu dźwięk pierwotny, stąd też jego magia i urok. Nie jest ledwie powtórką tego, co warto powtórzyć w dzwonie, lecz w pewnej mierze jest głosem lasu – te same błahe słowa i nuty śpiewane przez leśną nimfę".

Harfa wszechświata z przekładu Haliny Cieplińskiej jest też w oryginale lirą (*universal lyre*). To może być o tyle istotne, że lira umożliwia Thoreau spotkanie się za pośrednictwem Homera z Schaferem, który idei muzyki jak tworu artysty przeciwstawił wizję muzyki organicznie obecnej w naturze, a jej patronem uczynił Hermesa odkrywającego w homeryckim hymnie właśnie lirę. Lirę, czyli według Schafera „właściwości dźwiękowe wszechświata" ujawnione poprzez odpowiednie połączenie skorupy żółwia z jelitami barana i kawałkami trzciny. I póki mamy przed sobą tę żółwią skorupę: jedną jeszcze nauką o pustce, jakiej dzwony nam udzielają, jest ta, że pustka to potęga. Że z próżni, z nicości może płynąć moc. W polszczyźnie prawda ta ładnie się zadomowiła dzięki staremu powiedzeniu: „Dlatego dzwon głośny, że wewnątrz próżny". Bez pustki nie byłoby rezonansu.

Do zatytułowania swojego najważniejszego dzieła „Strojenie świata" natchnął Kanadyjczyka drzeworyt Roberta Fludda z początków XVII w., przedstawiający wyobrażenie układu harmonii sfer rzuconego na mapę wszechświata, przez którego oś przebiega „monochord świata" strojony widoczną u góry ręką Boga. I dla Schafera Bóg jest właśnie stroicielem, akustykiem, wręcz inżynierem dźwięku! Pisze: „Bóg był, lub raczej

jest, pierwszorzędnym inżynierem akustycznym. My radzimy sobie gorzej w projektowaniu naszych maszyn, pochodzący z nich hałas jest bowiem straconą energią. Stworzone przez Boga maszyny nie tracą energii poprzez hałas. Dlaczego nie umiemy naśladować inżynieryjnego geniuszu Boga?".

Gorąca linia z Bogiem

Rozproszone po całej twórczości Schafera wątki kosmologiczne uporządkował w mrówczej pracy opublikowanej w 2005 r. na łamach „Sztuki i Filozofii" Maksymilian Kapelański. Harmonia sfer i cisza zajmują wśród nich rolę szczególną. Mówiąc o tych sprawach, Schafer często wyraża się jak poeta. Również wtedy, kiedy odpowiada Leszkowi z „Daleko od szosy": „Czy można usłyszeć ciszę? Owszem – jeśli zdołalibyśmy rozszerzyć swą świadomość ku wszechświatowi i nieskończoności, moglibyśmy usłyszeć ciszę. Stopniowo, przez praktykę kontemplacji, mięśnie i umysł umieją się rozluźnić, a całe ciało otworzyć, by stać się samym słuchem. Gdy indyjski jogin osiąga stan uwolnienia od zmysłów, słyszy anahatę – dźwięk niewydobyty. Osiągnięta jest wtedy doskonałość. Ujawniony jest tajemny hieroglif Wszechświata".

Zatem, choć język temu przeczy i zalicza ciszę do *singularia tantum*, może jest wiele cisz, tak jak wiele jest dźwięków? Przywiązany do obecnej już u myślicieli średniowiecza i renesansu idei dźwięku doskonałego, niesłyszalnego dla niedoskonałego człowieka, Schafer na wzór dawnych mistrzów postrzega muzykę w kategoriach kosmicznych, a kosmos w kategoriach muzycznych. Historia świata ma, jego zdaniem, formę sonaty. Jak streszcza Kapelański: „Ciągły, doskonały dźwięk rozpoczęty przed powstaniem ludzkości nie byłby prawdopodobnie świadomie postrzegany jako dźwięk, lecz jako cisza", a „Harmonia sfer może być zespołem takich właśnie dźwięków (nie jest zatem postrzegana żadnym ze zmysłów)". Czyli harmonię sfer można by wyobrażać sobie jako, powiedzmy, kwartet smyczkowy złożony z czterech cisz. Albo całą orkiestrę różnych rodzajów ciszy. Ale właśnie: raczej wyobrażać sobie, niż usłyszeć. Być może doświadczać ciszy można tylko poprzez dźwięk. Schafer zdaje się to potwierdzać, kiedy nazywa ciszę zbiornikiem, w którym może się objawić dźwięk. Poeta taki jak ja może zdać sobie z tego sprawę, kiedy próbuje oddać jakiś rodzaj ciszy słowami. I kiedy ma zarysować ciszę wnętrza katedry, spróbuje odtworzyć sposób, w jaki w katedrze rozchodzi się głos: „Ci mnisi, cisi i kościści, ściśnięci sznurem, zbici z tropu...".

Wspomniane wcześniej zainteresowanie Schafera słyszalnością głosu Boga potwierdzaną w najstarszych relacjach doprowadziło go do uznania, że kiedyś człowiek miał z Bogiem „bezpośrednią łączność", którą stopniowo tracił. W okresie przejściowym łączność tę zachowywali prorocy, później została zerwana. Donośny śpiew i bicie w dzwony mają być próbą ponownego jej nawiązania przez człowieka, do którego płynie z kosmosu jedynie cisza. W „Głosach tyranii..." Schafer pisze: „Na różne sposoby – za pomocą świętych kości, grzechotek, dzwonów czy głosu – człowiek chce jakby dotrzeć do ucha Bożego; chce skłonić Go do nadstawienia ucha". Nośnik głosu Boga okazał się też nośnikiem głosiku człowieka.

© JACEK PODSIADŁO

REKLAMA

DEBATA
POLSKA W PRACY.
O KONDYCJI PRACOWNIKÓW w III RP

GOŚCIE SPECJALNI:
Dorota Gardias, przewodnicząca Forum Związków Zawodowych, przewodnicząca Rady Dialogu Społecznego
prof. Elżbieta Mączyńska, prezes Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego
Marek Szymaniak, dziennikarz i reporter, autor książki *Urobieni. Reportaże o pracy*
Rafał Woś, dziennikarz ekonomiczny, obecnie związany z „Tygodnikiem Powszechnym", autor książki *To nie jest kraj dla pracowników*
Zbigniew Derdziuk, szef programowy Komitetu Dialogu Społecznego KIG

DEBATĘ POPROWADZĄ:
Magdalena Bigaj, ekspertka Komitetu Dialogu Społecznego KIG
Remigiusz Okraska, redaktor naczelny „Nowego Obywatela", pomysłodawca i redaktor książki *Dzieje życia i twórczości Edwarda Abramowskiego*

Przyjdź na debatę
i wygraj książki gości specjalnych!

KIEDY: 5 CZERWCA 2019, GODZ. 18.00
GDZIE: BIG BOOK CAFE, DĄBROWSKIEGO 81, WARSZAWA

promocja numeru!

ZAPRASZAJĄ
NOWY OBYWATEL
Komitet Dialogu Społecznego
Krajowej Izby Gospodarczej

STANISŁAW

Mancewicz:
Jajecznica w służbie wizerunku

Ocieplanie wizerunku będzie nam dziś znakomitym tematem do rozważań, tym lepszym, że żyjemy przecież w nieco odrealnionym świecie, nasyconym symboliką odczytywaną na ogół osobliwie. Ocieplanie w takiej aurze wygląda zawsze ciekawiej niźli w świecie zimnego konkretu i praw grawitacji.

Niewątpliwie do świata ociepleń należą przeprosiny. Śmiemy stwierdzić, a niech nam to będzie zapisane jako znakomite spostrzeżenie, że jeśli idzie o liczbę przeprosin, możemy dziś obserwować, jeżeli nie pierwszy, to chyba największy ich wysyp od czasu Mieszka I. Jest to więc zdarzenie nie tylko dla speców z branży PR, ale ma ono charakter znacznie szerszy. Ocieplanie przez przepraszanie ma, rzecz jasna, pułapki. Jest to zatem metoda dla zaawansowanych, bo tylko bardzo długi trening, lata ćwiczenia się w uprawianiu szczerości mogą dać tu efekt. Bez tej umiejętności przepraszanie jako bijąca armata na froncie dociepleń nie ma sensu i najpewniej właśnie takiż brak sensu obserwujemy. To, co widzimy i słyszymy teraz, to czysta amatorka, pozbawiona cienia profeski. Czasem amator budzi rozczulenie, ale nie tym razem. Każdy takoż wie, że w przepraszaniu kluczową rolę gra refleks. Przeprosiny mają zawsze swą chwilę, określoną precyzyjnie z dokładnością do ułamka sekundy. To trzeba czuć. Każda obsuwa wpływa osłabiająco bądź wręcz demolująco. Spóźnienie ma zawsze konsekwencje, podobnie jak spóźnienie się na pociąg. Trzeba po prostu kupić nowy bilet. Wychodzi drogo. I tyle. Idźmyż dalej, nikt bowiem nie woła.

W podręcznikach do ocieplania wizerunku, mamy na myśli te najtańsze, stoi jak byk, że dzieci, proste potrawy (jajecznica) i zwierzęta wspomagają jakość wizerunku. Bogacze, kawior, ostrygi, cygara, dolary, krzykliwe krawaty, koniak i wyszukana bielizna, odwrotnie – szkodzą. Podręczniki nieco droższe dają więcej szczegółów. Skupmy się na kilku drobnych elementach, bardzo widocznych w trwającej kampanii.

Obcowanie przez polityka z – dajmy na to – kopytnymi, które muszą być małe, daje murowany efekt cieplarniany. Bierut głaszczący sarenkę jest starym dowodem na tę tezę. Zważmy jednak, że konieczna małość fauny wykorzystywanej w walce o wizerunek nie jest dogmatem. Roślinożerne muszą być, owszem, w wieku juwenalnym, ale już drapieżniki, nawet te zmiennocieplne, powinny być bezwzględnie wielkie i najlepiej martwe. Ich drapieżność musi być widoczna, ale pokonana. Każdy widział Putina ze szczupakiem wielkości deski do prasowania. Owo zdjęcie jest modelowe. Spece Putina mają zawsze na podorędziu duże gryzące zwierzęta, które ich pryncypał akurat kiełzna bądź już to uczynił. Popatrzmy teraz na naszych. Piarowcy Gospodarza – zauważamy – grają w ten deseń. Kurica nie ptica, Polsza nie zagranica – chciałoby się rzec. Na fotografii, która obiegła ostatnio media, Gospodarz siedzi w czółnie zakotwiczonym na jeziorze. Oczywiście bardzo słabo go widać, jest bowiem obleczon w strój maskujący. W ręku trzyma – jak krzyczą nagłówki – szczupaka, długości plus minus widelca, nie przezeń złowionego, którego akurat wypuszcza, by nie narazić się na hejt przeczulonych na stabilność biotopu wędkarzy. Czego się z tej fotografii, upublicznionej nie bez powodu, dowiadujemy? Gospodarski PR załadował do jednej fotki wszystko naraz. Myśliwego w akcji i człowieka wrażliwego na problemy środowiska. Męską twardość i refleksję. Poza tym jest tu relaks utrudzonego przywódcy, ale chyba nie do końca skuteczny, jego mina bowiem burzy jakkolwiek zaplanowany efekt. Gospodarz nie jest zachwycony, stąd nasze mniemanie, że coś może nie być tak poza kadrem, obejmującym zaledwie fragment świata. Teoretycznie fotografia kampanijna nie może budzić wątpliwości. Musi przedstawiać świat domknięty i spójny. Cały. W tym sensie ta akurat próba zastosowania putinowskich chwytów w odróżnieniu od mnóstwa innych się nie udała. Dwója.

Na koniec musimy wrócić do wspomnianej tu mimochodem jajecznicy. Owa pojawiła się w ocieplającej porannej audycji telewizyjnej z udziałem przywódcy. Do jej poprowadzenia, pod groźbą utraty pracy, przymuszono pracownika owej stacji. Wydaje się, że prawdziwy szczupak komitetowi wizerunkowemu Gospodarza nie wystarczył, potrzebny był jeszcze aktor, który go zagra. I to jest nowość zasługująca na uwagę. Niezmiernie ciekawa jest proporcja pomiędzy tymi, którzy chcą wejść do tego teatru, a tymi, którzy chcą zeń wyjść. Dowiemy się tego niebawem. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

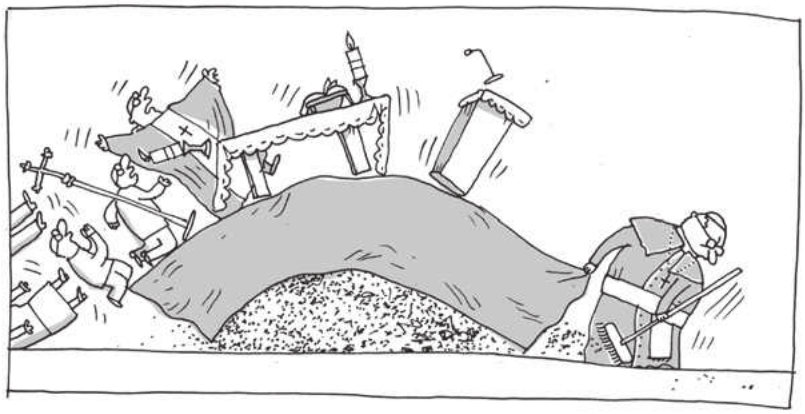

weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”
W PRENUMERACIE
4 wydania* **wraz z dostawą do domu**
za **69 zł**

**

* oferta dotyczy 4 kolejnych nadchodzących wydań (3, 4/2019 oraz 1, 2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj
** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

COPERNICUS FESTIVAL

COPERNICUS FESTIVAL 2019: JĘZYK

JĘZYK

ELŻBIETA TABAKOWSKA

PAUL DAVIES

JERZY BRALCZYK

CHARLES TAYLOR

DANIEL EVERETT

WWW.COPERNICUSFESTIVAL.COM

21–26.05.2019

Kraków
PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

Copernicus Center

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY